Krystyna Cierniak-
Morgenstern

Nasz film

Sceny z życia z Kubą. Wspomnienia

Krystyna Cierniak-
Morgenstern

WYDAWNICTWO
LITERACKIE

Nasz film

Sceny z życia z Kubą. Wspomnienia

Spis treści

Karta redakcyjna

Wstęp

KUBA

JA

KUBA

MY

- Moje podróże
- Nasze listy
- ...I przyszedł czas wspólnego mieszkania
- Artystyczna codzienność
- Przyjaciele / Ludzie wokół nas
- Nasz strych
- Filmy / Filmowe przyjaźnie Kuby
- Wspólne podróże / Festiwale
- Dom na Żoliborzu – nasze miejsce
- Nasze Chałupy

Kalendarium artystyczne

Janusz Kuba Morgenstern

Krystyna Cierniak-Morgenstern

Gobeliny Krystyny Cierniak-Morgenstern

Źródła wypowiedzi Janusza Kuby Morgensterna

Informacje o zdjęciach i dokumentach

Opieka redakcyjna: KATARZYNA KRZYŻAN-PEREK
Wysłuchała: MAGDALENA ŻAKOWSKA
Opracowanie tekstu, wybór i układ fotografii: KATARZYNA KRZYŻAN-PEREK
Konsultacja filmoznawcza, kalendarium artystyczne Janusza Kuby Morgensterna: ROMAN WŁODEK
Adiustacja: BARBARA GÓRSKA
Korekta: EWA KOCHANOWICZ, URSZULA SROKOSZ-MARTIUK, ANNA RUDNICKA
Opracowanie graficzne: BARBARA KUFTA
Przygotowanie zdjęć do druku: PIOTR KOŁODZIEJ
Zdjęcia na okładce i wyklejce pochodzą z archiwum Krystyny i Janusza Morgensternów
Na okładce wykorzystano motyw z gobelinu Krystyny Cierniak-Morgenstern *Pocałunek*
Redakcja techniczna: ROBERT GĘBUŚ
Skład i łamanie: Infomarket

© Copyright by Krystyna Cierniak-Morgenstern
© Copyright for this edition by Wydawnictwo Literackie, 2017

Wydanie pierwsze

ISBN 978-83-08-05951-7

Wydawnictwo Literackie Sp. z o.o.
ul. Długa 1, 31-147 Kraków
tel. (+48 12) 619 27 70
fax. (+48 12) 430 00 96
bezpłatna linia telefoniczna: 800 42 10 40
e-mail: ksiegarnia@wydawnictwoliterackie.pl
Księgarnia internetowa: www.wydawnictwoliterackie.pl

Konwersja: eLitera s.c.

Wczoraj słuchałam Édith Piaf wykonującej ostatni raz w swoim życiu piosenkę *Non, je ne regrette rien*. Jest tak przejmująca, że pod jej wpływem wczepiłam się w moje wspomnienia. Oczywiście wolałabym niczego nie żałować w życiu, ale jednak żałuję wielu rzeczy. Och, jak bardzo chciałabym mieć znów dwadzieścia osiem lat! Dlaczego dwadzieścia osiem? Nie wiem. Bo byłam jeszcze bardzo młoda, ale już mądrala? Może inaczej wyreżyserowałabym swoje życie? Może obiektywnie byłoby bardziej idealne? Ale byłoby kompletnie inne i pewnie nie tak ciekawe. Kuba, mój mąż – oficjalnie Janusz Morgenstern – też kiedyś powiedział: „Och, ile ja błędów zrobiłem w życiu!". Ale nie powiedział, jakie to były błędy. Teraz żałuję, że wielu rzeczy nie przedyskutowaliśmy, bo myślałam, że przed nami jeszcze wiele, wiele lat wspólnego życia.

KIEDY piszę te wspomnienia, ciągnie mnie do miejsc, które kiedyś były dla nas ważne.

Dzisiaj pewnie też kotłuje się gdzieś ciekawe życie towarzyskie młodzieży, ale nie wiem, gdzie to jest. Zajrzałam ostatnio do ASP na Krakowskim Przedmieściu. Chciałam zobaczyć miejsce, w którym po raz pierwszy, prawie sześćdziesiąt lat temu ujrzałam Kubę – schodziłam wtedy, jak Julia, po schodach z pierwszego piętra, tam gdzie była nasza pracownia, a on siedział na dole, rozparty, wspaniały brunet, przystojny, w brązowym kożuchu bułgarskim… to wtedy był cały szyk… schodziłam i poczułam intuicyjnie, że to On! I nie wiedziałam, że Kuba, siedząc tam, również już wiedział, „że to jest Ona".

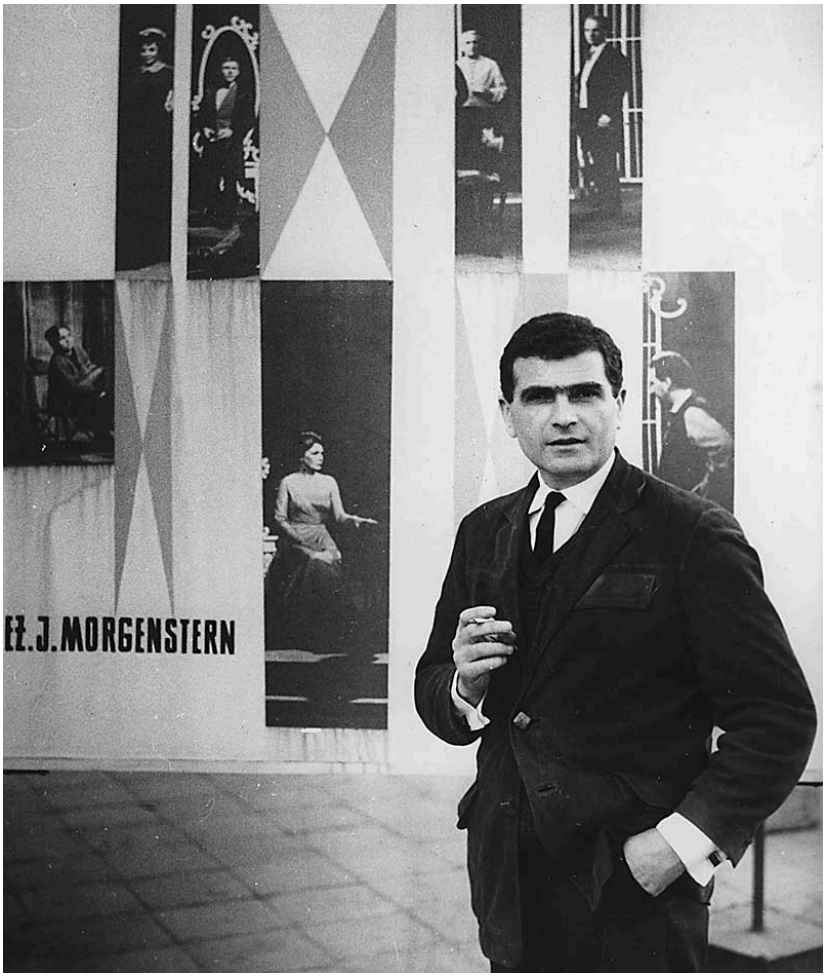

Kuba podczas pierwszego pokazu swojego filmu *Jutro premiera*, 1962.

Teraz chciałam jeszcze raz wejść na te schody, a tu woźna, zupełnie jak z PRL-u, wrzeszczy na mnie, że nie można tu wchodzić ani nawet stać. Przyjdę jeszcze raz kiedyś, może będzie inna woźna.

A potem poszłam Krakowskim Przedmieściem. Był wieczór, ciepło, na ulicy tłumy, bardzo fajnie, ludzie siedzieli przy stolikach, rozmawiali, tego nie było oczywiście za naszych czasów. My spotykaliśmy się w Związku Literatów codziennie na obiedzie. Weszłam tam, a tu zupełnie inny lokal niż ten nasz. Nie ma już w korytarzyku lustra, a ono było najważniejsze. Wszyscy wgapiali się w nie, by wyglądać jak najlepiej przed wejściem do środka. Teraz same marmury, białe kinkiety, pufy, wspaniałe fotele, no po prostu luksus. I pusto. Przeszłam się po sali, wszędzie widziałam kogoś ze znajomych, tych, którzy już

zresztą nie żyją. Danuta i Tadeusz Konwiccy, Zosia i Andrzej Łapiccy, Gustaw Holoubek, Władysław Szpilman. Zeszłam na dół – kiedyś były tam drewniane schody, jeszcze przedwojenne (ile zrobiliśmy po nich kilometrów!), teraz marmurowe. I zobaczyłam nasz stolik…

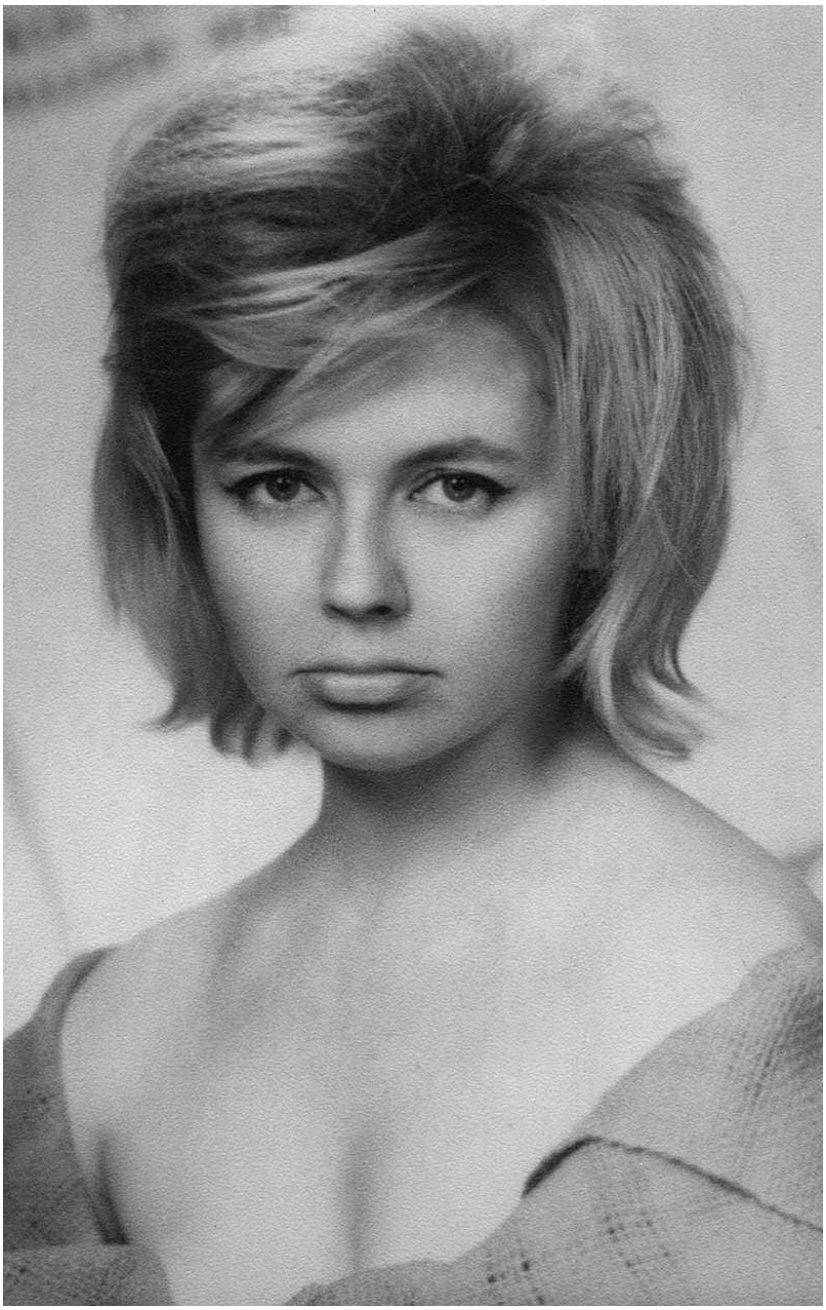

Ja w obiektywie Zofii Nasierowskiej, lata sześćdziesiąte XX w.

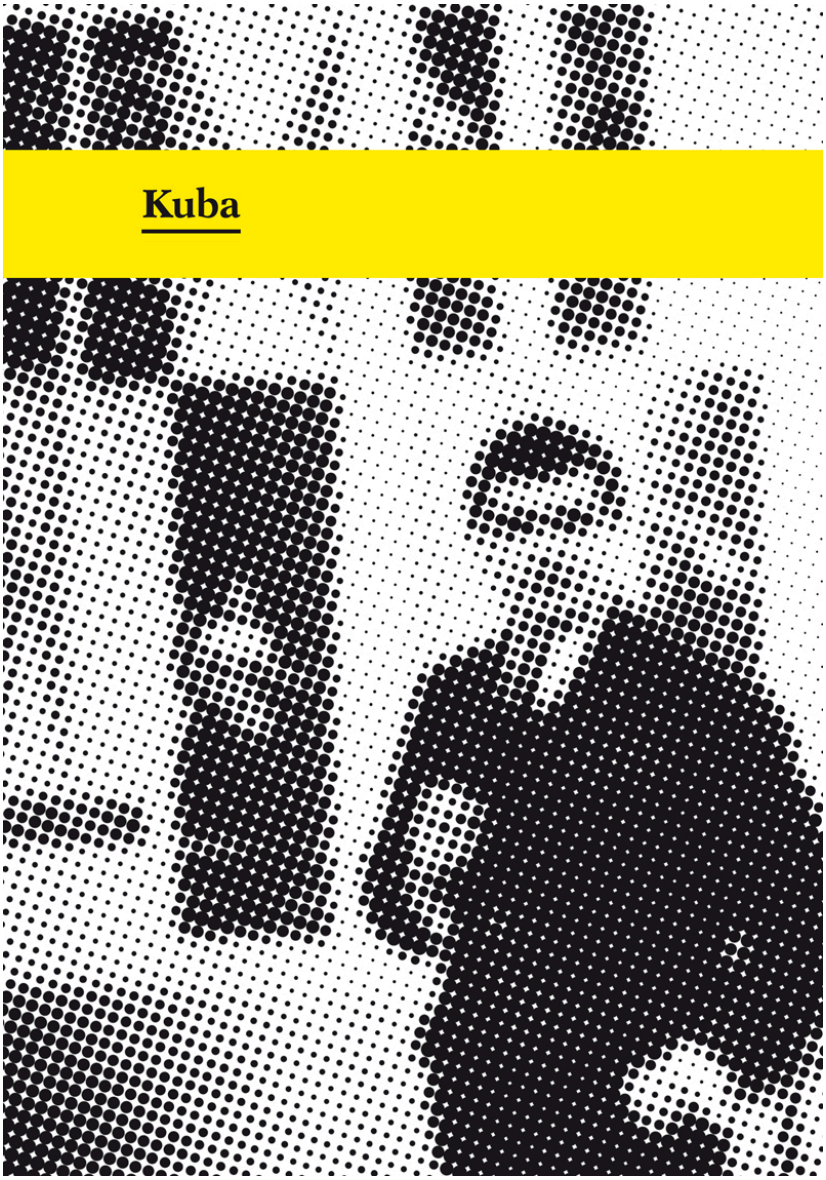
Kuba

Jedno z nielicznych ocalałych zdjęć Kuby z dzieciństwa, lata trzydzieste XX w.

MIKULIŃCE to mała miejscowość nieopodal Tarnopola, nad rzeką Seret na Podolu. Dzisiaj leży na Ukrainie. Pamiętam rozanieloną twarz Kuby, kiedy wspominał swoje miasteczko z czasów dzieciństwa. „Tam była rzeczka, w której kąpaliśmy się z kolegami – opowiadał. – Pagórki, łąki i wspaniały zapach polnych kwiatów". O tym zresztą mówi też w filmie o sobie (*Ćwiczenia z niepamięci* w reżyserii Antoniego Krauzego). Pochodził z inteligenckiej rodziny żydowskiej, spolszczonej. Urodził się w 1922 roku. Był podobny do ojca, semickiej urody, takiej, która bardzo mi się podobała. A matka, Estera, też Żydówka, blondynka – jak jej trzech braci – o dużych niebieskich oczach, pochodziła z Tarnopola. Kuba mówił, że jestem do niej podobna, taka w typie „Łagodnej"

(z Dostojewskiego). Sam miał silny charakter. Zresztą potem, wiele lat po ślubie, twierdził, że się jednak co do mnie pomylił z tą łagodnością.

Seret – ulubiona rzeka Kuby z dzieciństwa. Zrobił to zdjęcie podczas swojej sentymentalnej podróży do Mikulińców, początek lat dwutysięcznych.

Rodzice Kuby – Estera i Dawid Morgensternowie, I poł. XX w.

Mały Kuba (w środku) z kolegami, przełom lat dwudziestych i trzydziestych XX w.

WSPOMINAJĄC OJCA, mówił, że często dostawał od niego lanie za kopanie piłki całymi godzinami. A mama stawała w jego obronie. Był jedynakiem. Dopiero teraz, po jego śmierci, dostałam zdjęcia z miejsc jego dzieciństwa. Patrzę na nie z przerażeniem – jak to możliwe, że to spokojne, przyjazne

ludziom miasteczko o bogatej strukturze etnicznej mogła dotknąć taka potworność jak Holokaust?

NA ZDJĘCIU z dzisiaj: mały biedny domek, wtedy dyrektora gimnazjum, Ukraińca, nazywał się Hryncyszyn. W ostatnich miesiącach wojny, ryzykując życie swoje i rodziny, przyjął Kubę do piwnicy, pod pokojem dziennym. Potem, jak już z wyzwoleniem przyszli Rosjanie, Kuba jeszcze kilka dni nie mógł wyjść z tej piwniczki. Wykradł się nocą i przyszedł do wsi „znikąd". Hryncyszyn bał się, że zabiją go za ukrywanie Żyda. Nie bez podstaw, jak zresztą wiadomo. Patrzę na zdjęcie tej piwnicy – zimnej, ciemnej, wilgotnej, w środku stoją słoiki konfitur i powideł świeżo zawekowanych. Wstrząsające wrażenie. Zdjęcia dostałam od dalszej rodziny Hryncyszynów – Jana Łopatyńskiego z żoną. Mają gospodarstwo pod Inowrocławiem. On jest rolnikiem – wspaniały, dobry człowiek. Zawsze jak jestem w moim rodzinnym Inowrocławiu, to ich odwiedzam.

Małżeństwo Hryncyszynów; to oni ukrywali Kubę w czasie II wojny światowej.

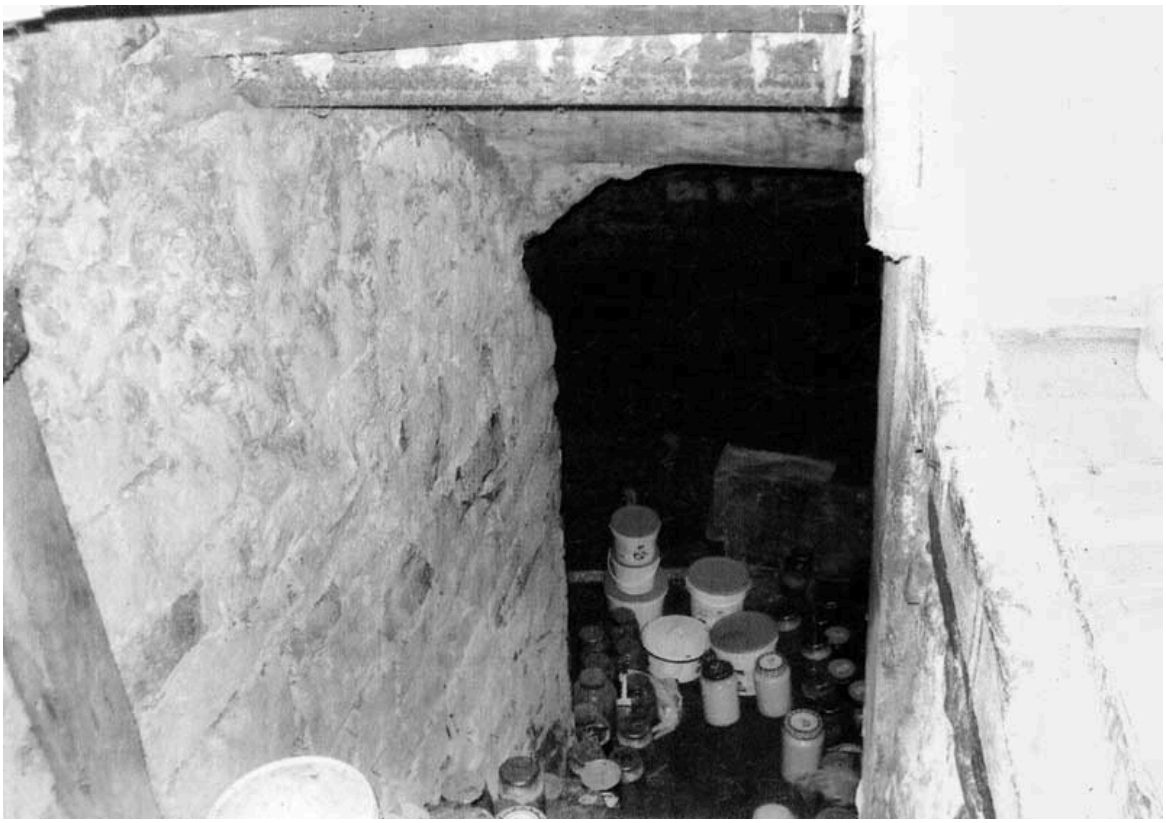

Ładyczyn, dom Hryncyszynów i piwnica, w której właściciele ukrywali Kubę, zdjęcie współczesne.

Nadal nie mogę sobie uzmysłowić, jak można przeżyć tyle lat okupacji, będąc ściganym jak zwierzyna. Z konieczności Kuba wraz z kolegami wykopał w lesie dużą dziurę przykrytą ziemią i tam siedział kilka miesięcy w zimnie i bez jedzenia. Ważne było, żeby się nie ruszać, bo naziści, specjaliści od tropienia, patrzyli na każdy ślad na ściółce leśnej. W nocy, co kilka dni, Kuba wychodził do wsi po coś do jedzenia. Żeby przeżyć.

COFNĘ SIĘ do wcześniejszych czasów. W Tarnopolu Niemcy zorganizowali getto. Kuba znalazł się tam wraz z rodzicami. Pewnego dnia w 1942 roku dowiedział się od koleżanki, która była kochanką Niemca, że trzeba

uciekać, bo zbliża się likwidacja getta. To znaczy, wszystkich zamordują. Rodzice błagali Kubę, żeby uciekł. Sami nie chcieli, nie mieli już siły.

Kuba zabrał ze sobą dwie koleżanki, Ruth i Marysię. Przeszli nocą na aryjską stronę pod drutami, a potem dla bezpieczeństwa się rozdzielili. Dziewczyny wytrzymały w ukryciu. Obie przeżyły wojnę.

Kuba z adwokat Ruth Buczyńską, Jurata 2000.

Ruth Buczyńska była niezwykłą żydowską pięknością – olbrzymie oczy, piękne ciemne włosy. Do końca życia pozostawali z Kubą w wielkiej przyjaźni. Okazuje się, że uroda bardzo często pomaga. W końcu Kuba nawet w tej sytuacji wybrał najładniejsze. Po wojnie Ruth mieszkała w Krakowie. Ona i jej mąż byli znanymi adwokatami. Przyjaźnili się z Kubą do końca, oboje mieli w oczach ten sam smutek. Nawet kiedy się cieszyli, a byli przecież bardzo pogodnymi ludźmi, to gdzieś w tle był smutek tych wspólnych strasznych wojennych przeżyć. To ich do siebie zbliżało.

Marysia Kwiatkowska była z kolei piękną blondynką. Po wojnie podobnie jak Kuba studiowała w szkole filmowej w Łodzi. Była dokumentalistką.

A Kuba po ucieczce nie wytrzymał w ukryciu i następnego dnia wrócił do rodziców do getta. Okazało się, że rodzice, nie przypuszczając, iż może wrócić, zdecydowali się popełnić samobójstwo, zażyli truciznę. Kiedy wszedł do ich mieszkania, tata już nie żył, mamę udało mu się jakimś sposobem uratować. Była jednak bardzo słaba, leżała w łóżku. Kiedy nadeszła likwidacja getta, Kuba z ukrycia widział, jak została zastrzelona. Kuba do końca życia nie mógł sobie darować, że ją wtedy uratował. Na próżno. Po śmierci matki uciekł po raz drugi. To właśnie wtedy z paroma kolegami przez kilka miesięcy ukrywali się w lesie. Potem, przez kolejne miesiące, aż do końca wojny w piwniczce pod podłogą przechowywał go Hryncyszyn. Nie znam więcej szczegółów. Nie wypytywałam. Uważałam, że jeśli sam mi nie powiedział, to znaczy, że nie chciał do tego wracać. Dopiero niedawno znalazłam wywiad opublikowany już po jego śmierci w „Newsweeku". Opowiedział w nim o tamtych przeżyciach.

KUBA MORGENSTERN:

„To był grudzień 1943 roku. Wigilia. Spadło dużo śniegu. Ukrywaliśmy się w lesie, w bunkrze.

To była Ukraina, Podole, wieś Ładyczyn. W tamtych rejonach był bardzo silny podział na Polaków i Ukraińców. Polaków nigdy się nie baliśmy, ale Ukraińców tak... Śniegu było tak dużo, że poczuliśmy się bezpiecznie.

Pozwoliliśmy sobie na hałas, głośniejsze zachowanie. I wtedy okazało się, że usłyszeli nas dwaj banderowcy, młode chłopaki. Mieli w rękach obrzyny. Stanęli u wejścia do bunkra i krzyknęli: «Wychodzić!». Chcieli od nas pieniędzy, kosztowności, wszystkiego, co mamy. Było nas osiemnastu. W trójkę z młodymi chłopakami postanowiliśmy coś im wynieść, już nie pamiętam co, a potem uciekać do lasu, ale w trzech kierunkach. Udało się. Błąkałem się całą noc, trzęsąc się z zimna, bo mróz był potworny. W końcu wróciłem do bunkra, ale tam już nie było bezpiecznie, no bo skąd mogliśmy wiedzieć, czy banderowcy nie wrócą?

Nie mówię, że wszyscy Ukraińcy na nas źle patrzyli, ale byli też tacy jak ci chłopcy. Nawet sporo ich było. Właśnie przez takich młodych chłopców baliśmy się Ukraińców...

Jak wyszedłem z tego bunkra, poszedłem do znajomego, który był dyrektorem szkoły. Dlatego że nauczyłem się ukraińskiego, bywałem nauczycielem – i tak go poznałem. On był Ukraińcem, co jest ważne. W tamtych stronach Ukraińców było znacznie więcej, ale akurat w jego wsi Polacy byli w większości. Często przychodziłem tu kupić jedzenie albo posłuchać wiadomości.

Szkoła była na wzgórzu. Jeszcze rok wcześniej uczyłem tam dzieci. Gdy przyszedłem do domu dyrektora Hryncyszyna, jego nie było. Była tylko żona, Polka (z domu Łopatyńska). Już tylko jeden człowiek z tej rodziny żyje. Przestraszona, to pamiętam, bo w okolicy zaczęło robić się naprawdę niebezpiecznie. Zamknęła mnie na kłódkę od zewnątrz w małym pokoju i kazała czekać na męża. Nie pamiętam, ile tam siedziałem. W końcu on przyszedł i powiedział: «Janusz, ty już nie możesz wyjść na zewnątrz, dla ciebie już jest zbyt niebezpiecznie. Ale nie martw się, zrobimy ci kryjówkę».

Moja skrytka była w podłodze, taka dziura zakrywana deską. Było tam łóżko, nad łóżkiem wyjmowana deska, na niej jakaś szmata. Te kilka miesięcy, jakie tam spędziłem, to były najbezpieczniejsze miesiące mojego życia podczas wojny. Raz było niebezpiecznie, gdy do dyrektora przyszła grupa banderowców. Zdążyłem się schować tak, że mnie nie widzieli. Mieli do dyrektora pretensje o to, że jego bratanek uciekł z UPA, ścigali go. (...) jaka to była tortura dla tego mężczyzny. Wiedział doskonale, że jestem w pokoju, musiał gadać z tymi ludźmi, którzy w każdej chwili mogli go zabić za bratanka. A gdyby się o mnie dowiedzieli, to byłby koniec całej rodziny. Ale udało się. Nie wiem, czy dyrektor miał dar przekonywania, czy mieliśmy szczęście. Wyszli.

Potem nadszedł kwiecień 1944 roku. Przez okno zobaczyłem, jak do wsi wkraczają Rosjanie. To nie była dzielna, bohaterska armia, ale

łachmaniarze z karabinami na sznurkach. Weszli do domu, rozstawili flaszki, a ja nie zdążyłem zamknąć klapy. Na szczęście pod stół nie zaglądali. W końcu poszli. Nie dlatego się schowałem, że bałem się Rosjan. Nie. Raczej o tego nauczyciela chodziło. Żeby we wsi się nie dowiedzieli, że Żyda ukrywał. Polacy by mu nic nie zrobili, ale z Ukraińcami nie było wiadomo. W nocy wymknąłem się z domu. Wcześniej uzgodniliśmy z nauczycielem, że nocą pójdę do miasta obok, a potem wrócę w ciągu dnia, żeby wszyscy myśleli, że przez minione miesiące ukrywałem się w mieście".

Kuba przed dawnym budynkiem szkoły w Ładyczynie, początek lat dwutysięcznych.

Z CZASÓW WOJNY Kuba zapamiętał też moment, kiedy do ciężarówki wrzucano jego wujka Marka, brata matki, adwokata i doktora filozofii, u którego mieszkał w Przeworsku, kiedy uczył się w gimnazjum. Wujek

jechał na pewną śmierć, ale trzymał przy sobie kurczowo cztery książki, nic więcej. Kuba go bardzo lubił, wujek Marek był ważny w jego życiu.

Z wujkiem Iro Druksem w Warszawie, na MDM-ie, lata sześćdziesiąte XX w.

Drugi brat matki, Iro Druks, był przed wojną adwokatem w Oświęcimiu, a jego teść miał fabryczkę i piękny dom letni w samym środku późniejszego Auschwitz. Niemcy postawili na tym miejscu baraki i otoczyli drutem kolczastym. Druksom udało się wcześniej uciec, wędrowali potem z Armią Andersa przez Iran do Palestyny. Tam zaczęli na szczęście nowe życie. Wujek był całe lata sędzią Sądu Najwyższego w Izraelu. Niesamowicie prawy człowiek. Byłam u nich w 2012 roku i w albumie rodzinnym znalazłam zdjęcia sprzed wojny, na których przed domem w Oświęcimiu, w wysokich kwiatach, siedzą dziadkowie Kuby. Czuje się na tym zdjęciu spokój i ciszę. Tam również odbył się ślub Iro Druksa ze wspaniałą żoną Lucy, mały Kuba niósł jej welon.

Ślub Lucy i Iro Druksów, Kuba trzyma welon panny młodej (pierwszy z prawej), lata dwudzieste XX w.

Piękny letni dom Druksów – za kilka lat w tym miejscu stanął KL Auschwitz.

Babcia Kuby w ogrodzie Druksów, I poł. XX w.

Lucy – niezwykła kobieta, z miejsca się pokochałyśmy – ona mnie jak córkę, ja ją jak matkę. Moja mama nigdy nie była dla mnie taka dobra jak ciotka Kuby. Fundowała nam wszystkie izraelskie wycieczki. I do końca życia mówiła piękną polszczyzną. Recytowała z pamięci całego Mickiewicza i innych poetów epoki romantyzmu. Umarła w wieku dziewięćdziesięciu sześciu lat. Iro i Lucy mieli dwoje dzieci – Elinkę, z którą do dzisiaj jestem w przyjaźni, szczególnie że tylko ona jedna z całej rodziny Kuby mówi jeszcze po polsku, reszta już tylko po hebrajsku albo angielsku, oraz syna Adama, znanego archeologa. Dziś już nie żyje (zmarł w 2006), ale gdy odwiedzaliśmy go jeszcze z Kubą, zabierał nas zawsze na wycieczki po Izraelu. Gdziekolwiek się zatrzymaliśmy, każde miejsce miało swoją historię. Takiego Izraela nie zna żaden turysta. Wydawało mi się, że Adam wie wszystko o tym państwie. W czasie wojny sześciodniowej odprysk bomby ranił go w głowę, a po wielu latach rana się odnowiła i zmarł.

PIERWSZY RAZ pojechałam do Izraela poznać rodzinę Kuby w 1967 roku. Teraz w Izraelu jest około sześciu milionów Żydów. Kiedy byłam pierwszy raz, było ich może dwa miliony. Kompletnie nic o nich nie wiedziałam. Do Jerozolimy zawiózł mnie wtedy Adam. Gdy zobaczyłam mężczyzn w czapach, to pomyślałam, że jakiś teatr przyjechał. Do jakiego stopnia nie wiedziałam, gdzie jadę! To oczywiście świadczy nie tylko o mnie, ale też o Polsce – bo w Polsce nie było po wojnie wielu Żydów. A już w moim rodzinnym Inowrocławiu to kompletnie się o nich nie mówiło.

Matka Kuby miała trzy siostry i czterech braci. Wszyscy jej bracia byli adwokatami lub sędziami. Kiedyś zapytałam Kubę: „A gdyby nie było wojny. Gdybyś nie został reżyserem. To kim byś był?". „Wtedy musiałbym zostać adwokatem" – odpowiedział.

Lucy pod koniec życia w Izraelu, lata dziewięćdziesiąte XX w.

Kuba miał też rodzinę w Wiedniu – przed wojną mieszkał tam Paul, brat matki, też adwokat, z żoną i córką. Jak byliśmy kilka lat temu w Izraelu, ciotka Lucy dała Kubie przed odjazdem w prezencie laskę. Zgubił ją potem kilka razy na lotnisku – bo Kuba wszystko ciągle gubił – ale w końcu przyjechała jakoś z nami do Warszawy. Nie wiedziałam wtedy jeszcze, że ta laska ma długą historię.

Otóż wiedeńska rodzina Kuby chciała tuż przed wojną wyjechać do Palestyny. Wysłali do Londynu stosowną prośbę o wizę do Palestyny (Palestyna była w latach 1922–1947 mandatem brytyjskim), ale wcześniej spakowali cały swój dobytek – łącznie z tą laską – i wysłali do Palestyny, gdzie była już ich córka, która ten dobytek odebrała. Ciotka i jej mąż nie dostali wizy, w krótkim czasie zostali z Wiednia wysłani wprost do Auschwitz. I tam zginęli, nieopodal domu, w którym przed wojną co roku spędzali letnie wakacje. Ich dobytek rozproszył się w Palestynie po rodzinie. Laska spędziła wiele lat u córki Paula, a potem u ciotki Lucy. Kiedy Kuba zachorował, poprosił mnie, żebym ją odnalazła, bo chce jej używać. Powiedziałam mu wtedy: „Nie! Bo jak raz jej użyjesz, to się przyzwyczaisz i już na zawsze zostaniesz starcem. A ty musisz być silny i młody". Ale po kolejnej wizycie w szpitalu, kiedy był już naprawdę słaby, przyniosłam mu tę laskę. Potem oddałam ją do Muzeum Historii Żydów Polskich w Warszawie.

Cała rodzina Kuby na zdjęciu ze ślubu cioci Lucy i wujka Iro Druksów, lata dwudzieste XX w. Wojnę przeżyli tylko państwo młodzi i Kuba (trzeci z lewej w pierwszym rzędzie).

PO ŚMIERCI Kuby byłam znów w Izraelu. U kuzynki Kuby, Eliny, która umówiła mnie wtedy na spotkanie w Yad Vashem, zapisując moje i Kuby nazwisko. Przyjechałyśmy tam z samego rana i już przy bramie dostałyśmy status vipowski. Przed wejściem – ekipa powitalna. Z hukiem wjeżdżam na piętro, a tam konferencja prasowa. Przy drzwiach podchodzą do mnie dwie tłumaczki i prowadzą dalej. Nagle znalazłam się w centrum uwagi. Ciekawiło ich wszystko – zadawali mi tak szczegółowe pytania, jakich nigdy nie zadawano Kubie nawet w Polsce. Nie mogłam się nadziwić, że po pierwsze wiedzą, kim był Kuba, a po drugie znają wszystkie jego filmy i życiorys. Okazało się, że to za sprawą jednego dziewięciominutowego filmu Kuby z 1961 roku – *Ambulans*. W Izraelu jest on bardzo znany, od lat jest puszczany non stop w Yad Vashem. To jest film, w którym nie pada ani

jedno słowo, ale każda scena mówi wszystko. We wspomnianym już wywiadzie Kuba tak opowiadał o tym filmie i o jego powstaniu:

KUBA MORGENSTERN:

„Mój drugi film, *Ambulans*, opowiadał o Zagładzie.

Trwał dziewięć minut. To było najtrudniejsze dziewięć minut w moim życiu. Te ambulanse. To była najokrutniejsza rzecz z całej okupacji, przecież oni zbierali żydowskie dzieci, wkładali je do ciężarówek i je tam zagazowywali. Czy może być coś bardziej bezwzględnego i okrutnego? Film był bez dialogów, tylko czysty obraz. Z muzyką Krzyśka Komedy.

Ambulans pojawił się nagle i zniknął. Jak tylko go skończyłem, poczułem się, jakbym zamknął pewien rozdział i zająłem się innym kinem".

I dalej Kuba dodaje:

„Przez lata, zresztą do tej pory, wydawało mi się, że nie ma nic atrakcyjnego w opowiadaniu o ludziach zamkniętych w piwnicy, którzy głodując, modlą się, by przeżyć. Ja to przeżyłem, to wystarczyło. Nie mogłem o tym opowiadać".

A JA SPĘDZIŁAM wtedy w Yad Vashem dwa dni, dużo opowiadając o Kubie. To było bardzo budujące. Mam nadzieję, że Kuba to wszystko widział. Bo ja ciągle mam wrażenie, że on przy mnie jest, że przygląda się wszystkiemu z boku. Czasem mam jakiś problem, nie wiem, jak go rozwiązać, pytam Kubę i nagle rozwiązanie przychodzi samo. Czyli od niego. Kiedyś, jak już

był chory, bardzo słaby, powiedział, że strasznie się martwi o mnie, jak go nie będzie. „Dlatego musisz być zawsze – odpowiedziałam mu wtedy. – Bo jak nie będzie ciebie, to kto się będzie mną opiekował?!". A on na to: „Ja". I mam wrażenie, że rzeczywiście tak jest. Że on się mną opiekuje.

MAM PRETENSJĘ, że Izrael wysyła młodzież na wycieczki do Polski przeważnie w listopadzie – wtedy, kiedy pada, jest brzydko i zimno. I dlaczego tylko trasą obozów koncentracyjnych? Przecież nasza wspólna historia to nie tylko obozy!

Z najmłodszym pokoleniem izraelskim, tym, które teraz ma dziesięć, piętnaście lat – nie potrafię się porozumieć, bo ja nie mówię po angielsku ani hebrajsku, a oni nie mówią po polsku. A mimo to te dzieci mnie pokochały. Pięcioletnia dziewczynka siedziała z mamą na tarasie swojego domku grubo wcześniej, zanim się zjawiłam, tak nie mogła się mnie doczekać. Inny chłopiec – teraz jest w wojsku – chce przyjechać do szkoły filmowej do Łodzi. Oczywiście dlatego że Kuba...

Cała izraelska rodzina Kuby to wyjątkowo zdolni i dobrzy ludzie. Wszyscy mają doktoraty. Większość z muzykologii, w szczególności z terapii muzyką, albo informatyki. Jeden z kuzynów Kuby, kiedy zapytałam go, czym się zajmuje, powiedział, że właśnie wyjeżdża do Tanzanii, bo zajmuje się tworzeniem oprogramowania komputerowego dla tamtejszego rządu.

Niestety, izraelska rodzina Kuby nie mogła przyjechać na jego pogrzeb.

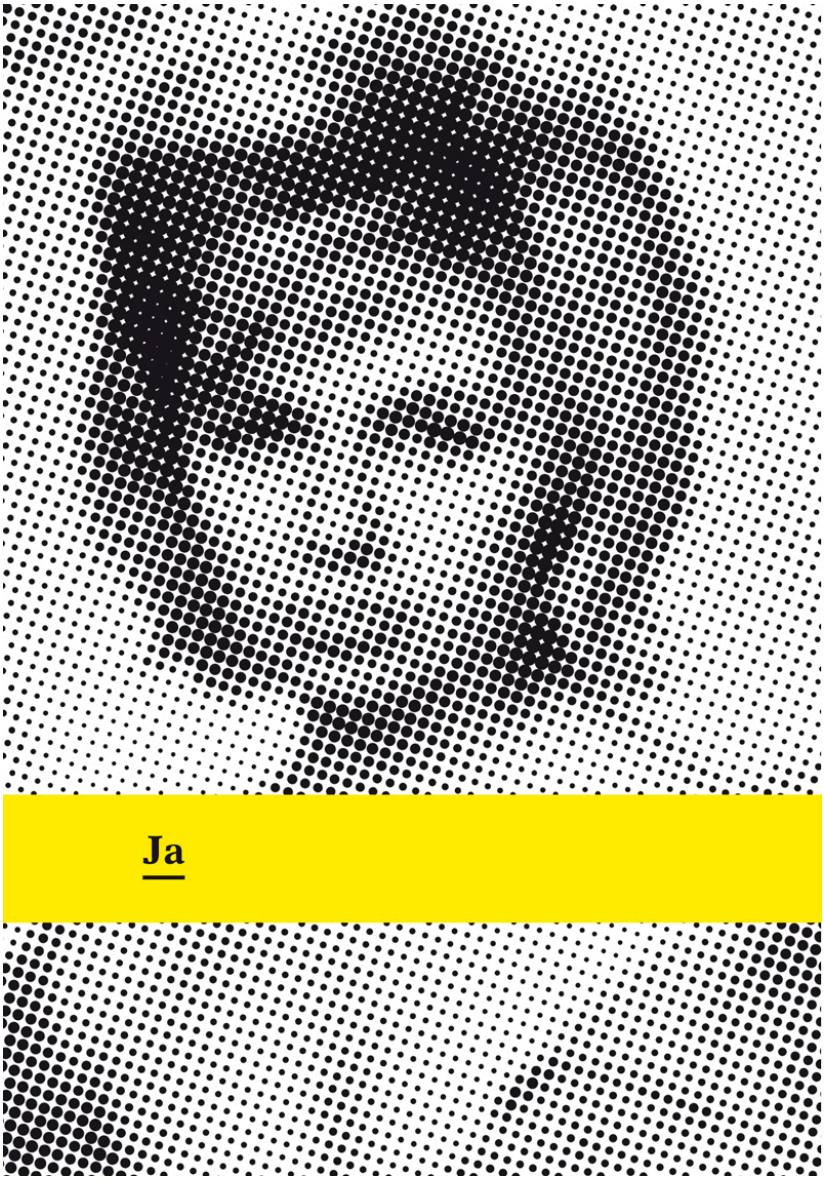
Ja

Moje dzieciństwo w Inowrocławiu, tuż przed II wojną światową.

MOJA RODZINA jest mniej ciekawa niż Kuby. Chociaż mój dziadek był królem kurkowym, znanym w Inowrocławiu notablem. Byłam jego pierwszą wnuczką, bardzo mnie kochał. Teraz zadaję szyku przed znajomymi jego portretem w moim pokoju. No bo nie każdy ma w rodzinie króla, prawda?

MÓJ OJCIEC był młodym eleganckim człowiekiem. Musiał być elegancki, bo piastował stanowisko wicedyrektora Kredyt Banku w Poznaniu, a wtedy to się naprawdę liczyło. Jaki był elegancki, widać na zdjęciu. Zdobywali jakiś szczyt w Tatrach – trzech panów w garniturach, białych koszulach. Jeden pod krawatem, a dwóch nawet w muszce. Jeszcze niedawno spotkałam staruszki, które z iskrami w oczach opowiadały, jak bardzo marzyły, żeby przejechać się z moim ojcem samochodem – rzadkością wtedy w Poznaniu. I przyszedł dzień, kiedy skończyła się sielanka. Ojca nie zabiła wojna, ale operacja. Nie urodziłam się w raju. Tylko po jego śmierci, w przeddzień wojny. Mama pojechała mnie urodzić do Inowrocławia, bliżej rodziny.

Mój ojciec (stoi z lewej strony) z przyjaciółmi na wycieczce w Tatrach, lata trzydzieste XX w.

Przypominam ją sobie – była bardzo elegancką kobietą. Nie dziwię się tacie, że zakochał się w mojej mamie na zabój. Przed wojną miała w szafie – tak mi opowiadała – cały arsenał kapeluszy i piękne sukienki. Widzę je na zdjęciach. Pamiętam też jej czarną panamę, kapelusz z pięknej słomki. Często go nosiła.

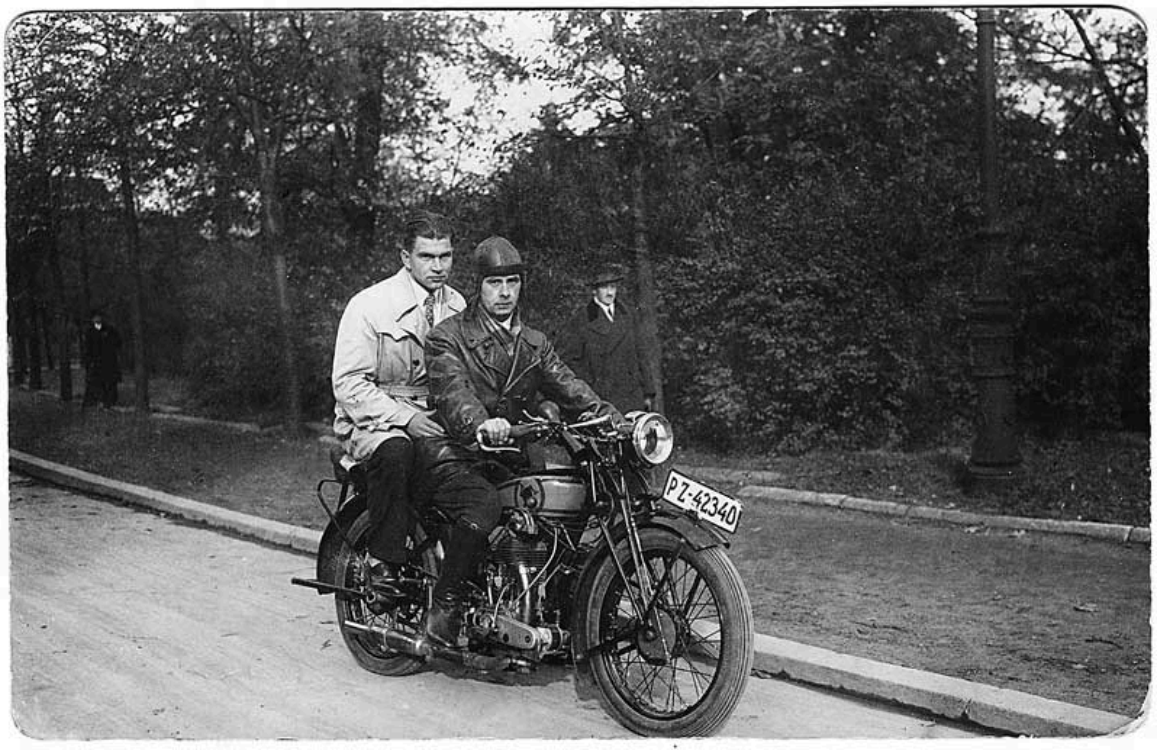

Tato (za kierownicą) z wujkiem (bratem mamy) na swoim motorze, Poznań, lata trzydzieste XX w.

Z mamą w Inowrocławiu, tuż przed II wojną światową.

Ślub moich rodziców, Poznań, lata trzydzieste XX w.

Moja mama, lata trzydzieste XX w.

Mój dziadek, Franciszek Drogowski, jako król kurkowy, początek XX w.

Na jednym z pierwszych bali gałganiarzy na ASP ubrałam się tak: na nogach czarne trykoty i szpilki, czarny gorsecik kupiony w komisie,

włosy długie blond i pożyczyłam od mamy tę czarną panamę. Rock'n'roll był za intensywny dla takiego kapelusza. W przerwie kapelusz leżał na jakimś stole. Myślałam sobie, że zabiorę go po następnym tańcu, ale już go nie było. Zmartwiłam się, ale nie przypuszczałam, że mama do końca życia będzie mi wypominała tę zgubę. Jedyne usprawiedliwienie, to że był związany z elegancką przeszłością mamy – rekwizyt z beztroskiej młodości – zanim umarł ojciec.

MAM ZDJĘCIE rodziców na plaży. Gdzie? W Jastarni. Tam spędzili miesiąc miodowy i tam mnie stworzyli. Kilkadziesiąt lat później zawiózł mnie do Jastarni Kuba, także na miesiąc miodowy, ale jeszcze przed ślubem. Inne czasy. Mieszkaliśmy w pokoiku na poddaszu, koło kościoła – stale słyszeliśmy bicie dzwonów. Po latach szukałam tego pokoiku. Nie znalazłam, został jedynie w mojej pamięci.

Patrzę na zdjęcie moich rodziców – na nim plaża taka sama wtedy i dzisiaj. Ale tej ładnej pary już nie ma. Nas też już nie ma na tej plaży.

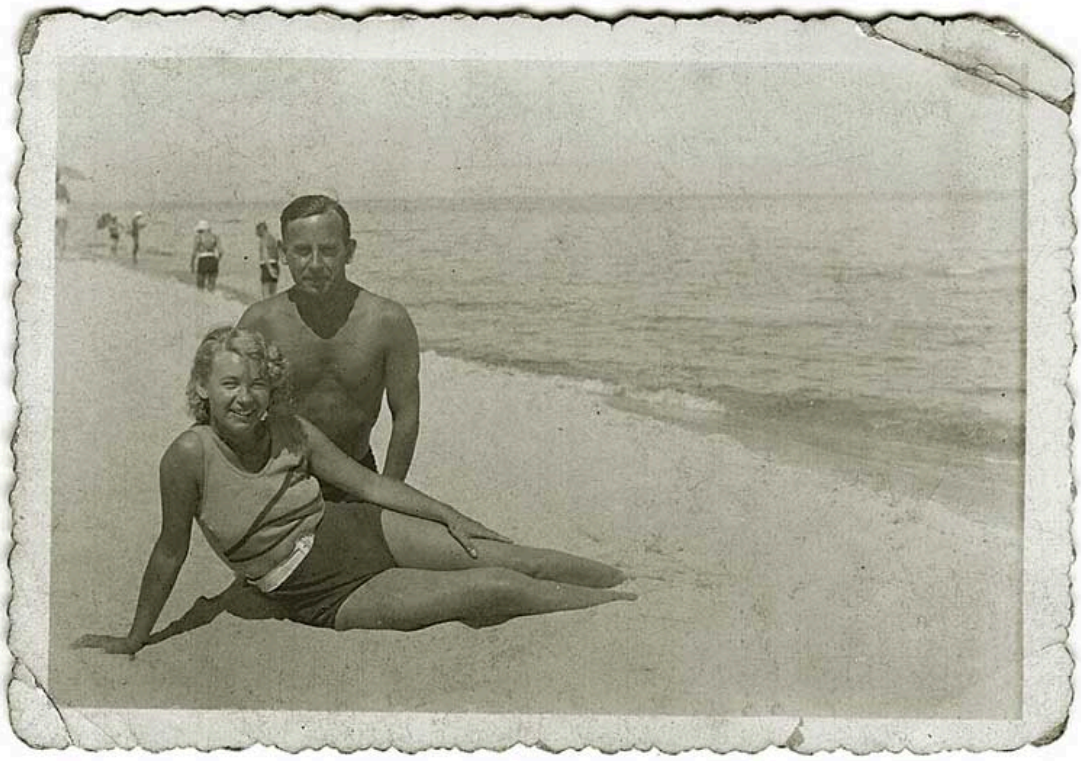

Rodzice na plaży w Jastarni, lata trzydzieste XX w.

DRUGĄ WOJNĘ zaczęłam niedobrze. Malutkiej dziewczynce, czyli mnie, rozlała się ślepa kiszka. Umierałam na stole operacyjnym. Ale byłam dzielna. Z dużą raną pooperacyjną mama przewiozła mnie na wozie drabiniastym na wieś. A tam żadnych antybiotyków, żadnych lekarstw, no i wojna. Był tylko jakiś biały proszek antybakteryjny. Widocznie bardzo chciałam żyć, tak jak i teraz.

Potem, jak byłam już trochę starsza, mieszkałyśmy w małym domku na obrzeżach Radomska. Mama pracowała całe dnie w biurze, a ja – wówczas dziewczynka – siedziałam zupełnie sama w domu. Pamiętam, że okna nie miały firan ani okiennic. Najgorzej było wieczorem. Usadawiałam się pod samym oknem, żeby nikt mnie nie widział.

Raz udało mi się uratować mamę. Nasz domek był dobrą lokalizacją dla partyzantów AK. Czasem coś przynosili. Ale ktoś doniósł i przyszli Niemcy. Zaczęli bić mamę. Byłam małą dziewczynką, ale wiedziałam, że muszę jej bronić. Objęłam ją z całych sił, szlochając i krzycząc: „Nie, nie, nie!". Ku naszemu zdumieniu wyszli i nie wrócili.

Dobrze pamiętam też koniec wojny. Wyszłam przed nasz dom. Był siarczysty mróz. Spojrzałam pod nogi. Stałam na zamarzniętym ciele niemieckiego żołnierza, leżącym tuż pod naszymi oknami.

Z mamą w czasie II wojny światowej, okolice Radomska.

I jeszcze inne koszmarne wspomnienie z czasów wojny, które do dziś mam przed oczami... Moją sąsiadką była śliczna dziewczynka, zapamiętałam ją sobie, bo zawsze była wspaniale ubrana w piękne sukienki, które dla mnie

były nieosiągalne. Nie znałam uczucia zazdrości, to raczej była ciekawość malucha, jak na nią patrzyłam. Jednego dnia szłam ulicą, a obok szły babcia i ona. Nagle straszny huk, ciężarówka wjechała w tę śliczną dziewczynkę, wyrzucając jej mózg tuż pod moje nogi. To było przerażające, ale ten mózg wydawał mi się tak samo piękny jak ta dziewczynka.

TUŻ PO WOJNIE wróciłyśmy z mamą do Inowrocławia, do naszego pięknego mieszkania. Straszny snobizm panował wtedy wśród kumoszek mojej mamy – same panie doktorowe, mecenasowe. Codziennie spotykały się w kawiarni, gdzie były pyszne eklerki.

Mama wyszła drugi raz za mąż, a ja bardzo płakałam na ślubie. Dlaczego? Nie wiem. Szlochałam, bo czułam, że coś się zmieni. Mój ojczym był bardzo inteligentnym człowiekiem. Skończył prawo w Wilnie, ale mama ze swoim silnym charakterem kompletnie go zawojowała i zabroniła mu piąć się zawodowo w górę. Stale mówiła, że przyjedzie rząd z Anglii i co wtedy?

Ostatnie lata w Inowrocławiu mieszkaliśmy w nietypowym domku. Należał do niego prawie hektar sadu przy samych Solankach, takich inowrocławskich Łazienkach. Prowadziliśmy rodzaj wyścigu ze złodziejami – kto pierwszy zbierze wszystkie owoce z pięciuset drzew. Pamiętam, jak któregoś roku zebraliśmy do koszy wszystkie jabłka, ale skończyliśmy pracę późno i zostawiliśmy te kosze w sadzie do rana. W nocy złodzieje weszli przez płot, zabrali wszystkie owoce, ale kosze zostawili. Uczciwi złodzieje – w końcu przyszli tylko po jabłka.

W naszym ogrodzie w Inowrocławiu, tuż przed II wojną światową.

Gdy byłam dzieckiem, do naszego ogrodu przybłąkał się pies. Przygarnęliśmy go i nazwaliśmy Nowy. Tak się zaczęło. Uwielbiał mieć pełną wolność w mieście. Czasem widziałam go na ulicach Inowrocławia na wozie drabiniastym lub na ciężarówce i wtedy udawał, że mnie nie widzi. A wracał do domu jako najczulszy piesek kanapowy. Lubił chodzić ze mną na mszę niedzielną do kościoła i wtedy nas razem wyrzucali, staliśmy nawet w zawieruchę na zewnątrz. Po naszej wyprowadzce Nowy został z nowym właścicielem domu. Parę lat później odwiedziłyśmy z mamą to miejsce, a właściciel z niezrozumiałym zadowoleniem rozpostarł przed nami piękną złocistą skórę naszego Nowego.

NIEDAWNO byłam w moim rodzinnym Inowrocławiu, na nowo zakochałam się w tym mieście! Piękne uzdrowisko – wspaniałe tężnie, nowa pijalnia. Ciechocinkowi rośnie poważna konkurencja.

Jak co roku przeszłam się ulicą Solankową, na której się urodziłam, to najpiękniejsza ulica Inowrocławia. Wpadłam na wspomnienia sprzed kilkudziesięciu lat – spojrzałam na mój rodzinny dom, okna mojego dziecięcego pokoju, i co widzę? Duży napis: „Wynajmę". Nie wiem dlaczego, ale zrobiło to na mnie mocne wrażenie. W głowie kłębiły się myśli: A może to ja wynajmę. Ktoś się z mojego mieszkania wyprowadził. Jest puste. Zaczyna nowe życie.

Inowrocław dzisiaj, ulica Solankowa – tutaj się urodziłam, tutaj mieszkałam z mamą po wojnie.

Parę lat temu odszukałam trzy najbliższe koleżanki ze szkoły podstawowej, z którymi przyjaźniłam się aż do matury. Każda z nas ma inny zawód, każda mieszka w innym mieście – jedna jest

konserwatorem zabytków w Toruniu, druga – chemiczka w Poznaniu, trzecia to okulistka w Olsztynie.

Zaproponowałam, że będziemy się spotykały raz do roku w Inowrocławiu w przepięknym sanatorium. Nie widziałyśmy się ponad czterdzieści lat, ale od razu złapałyśmy kontakt. Przez cały tydzień chodzimy na kąpiele, a wieczorem gadamy. Zauważyłam, że przy nich w ogóle nie potrzebuję się zastanawiać, co powiedzieć, nie martwię się, jak wypadnę, jestem naturalna i bardzo mi z tym dobrze.

Z koleżankami z liceum podczas prac społecznych (ja druga z prawej).

Zadałam im ostatnio pytanie, czy pamiętają mnie z jakiegoś skandalu w szkole. Jednogłośnie odpowiedziały: „Tak!”. W ostatniej klasie, tuż przed maturą, przyszłam do szkoły w trwałej ondulacji. Zostałam wezwana do dyrektorki, stałam ze spuszczoną głową, w granatowym mundurku z białym kołnierzykiem i trwałą na głowie. Dyrektorka z partyjnym błyskiem w oku mówiła, jak się na mnie zawiodła. Zrobili

mi duże zdjęcie w tej nowej fryzurze i „wisiałam” na tablicy ogłoszeń jako wywrotowa uczennica.

PO MOJEJ MATURZE przeprowadziliśmy się do Warszawy, a wcześniej mama poszła do ratusza w Inowrocławiu i oddała cały nasz hektar sadu za darmo, aby nie mieć nic „za tej władzy”. Urzędnicy się zdziwili, ale bardzo szybko jeden z nich sprzedał za milion całą działkę. Nasz milion, no!

W Warszawie mieszkaliśmy w kawalerce, gdzie było dużo ładnych mebli, jeszcze z posagu mamy, ale tak ciasno, że spałam w kącie za olbrzymim fortepianem – za to dobrej marki. W Inowrocławiu chodziłam dwanaście lat do szkoły muzycznej, bo każda dobrze wychowana dziewczynka musiała umieć grać. Niestety akurat dla mnie był to czas stracony. Umiałam grać na fortepianie, ale nie umiem mówić po angielsku. A po francusku uczyła mnie w szkole nauczycielka jeszcze przedwojenna. I tak mnie nauczyła, że do dzisiaj francuscy przyjaciele mówią, że nikt z ich zagranicznych przyjaciół nie mówi tak śmiesznie po francusku jak ja.

Ja jako licealistka na nartach, Kasprowy Wierch.

W Warszawie zdawałam na medycynę – było sześciu kandydatów na jedno miejsce. Do dzisiaj nie rozumiem, jak mogłam zdać wszystkie egzaminy z oceną dobrą. Ale przyjęli tylko tych z bardzo dobrym wynikiem albo robotniczym pochodzeniem. Sama zresztą sobie zaszkodziłam. Po egzaminie komisja wezwała mnie na rozmowę – i zapytała, czy mogę przestać myśleć o chirurgii i pójść na oddział sanitarno-epidemiologiczny. Na to ja – miałam wtedy siedemnaście lat, a wyglądałam jeszcze młodziej – odpowiedziałam, że muszę to omówić

z mamą. „To proszę nam dać znać za rok, co żeście panie zadecydowały".

Pomyślałam sobie – spróbuję na ASP. Narysowałam parę portretów rodziców i ich znajomych – podobno całkiem nieźle – i jeden komiks o tym, jak się rodzice kłócili. Zdawałam w drugiej turze, jesienią. Tym razem również sześciu kandydatów na jedno miejsce. Dziewczyny z Warszawy były strasznie pewne siebie, ale dostałam się. Byłam wtedy jeszcze przekonana, że za rok będę znów zdawała na medycynę, ale szybko zrozumiałam, że ASP to coś wspaniałego. Mało, że robię coś, co sprawia mi dużą radość – maluję, rysuję – to jeszcze w ogóle nie czuję, że żyję w PRL-u.

Byłam w fantastycznej pracowni malarskiej u profesora Eugeniusza Eibischa – wspaniałego malarza. Profesor wybierał najzdolniejszych studentów, ale i najładniejsze dziewczyny. Uwielbiał ładne dziewczyny. Do naszej pracowni często przychodzili Franciszek Starowieyski i Jan Lebenstein. Potem Lebensteina niejednokrotnie spotykałam w Paryżu i w jego paryskiej pracowni byłam częściej niż tu, w Warszawie. Był znany za granicą. W Paryżu moja bogata znajoma stale kupowała od niego obrazy i miała cały dom w jego płótnach, to robiło niesamowite wrażenie.

Z koleżankami, po naszej maturze (ja druga z prawej). Inowrocław, lata pięćdziesiąte XX w.

Chłopcy mieli upatrzony obok naszej akademii malutki sklepik z „winem patykiem pisanym" i jak nie było profesora Eibischa w pracowni, wychodzili tam, a jak stamtąd wracali, mówili, że na pewno będą wspaniałymi artystami. A my, dziewczyny, zawsze bez pieniędzy i zawsze bardziej głodne niż spragnione, uciekałyśmy do baru mlecznego naprzeciwko i tam wypatrywałyśmy talerzy, na których ktoś zostawił jakieś resztki. Sztuka polegała na tym, aby zjeść je tak, żeby nikt nie widział. A jak wracałyśmy do pracowni, to często zastawałyśmy tam Starowieyskiego, który nam rozkazywał, jak mamy się gimnastykować, aby robić wrażenie na mężczyznach. Jedno z tych ćwiczeń nawet zapadło mi w pamięć.

Czasem mówił głupoty, bo nie wiedział, jak nas zabawić, ale czasem naprawdę ciekawe rzeczy; opowiadał fajnie o swoim dzieciństwie, miał jakieś arystokratyczne powiązania, w każdym razie tak nam mówił, a my i tak mu nie wierzyłyśmy.

Do końca życia miał obsesję na punkcie dobrze zbudowanego ciała, sam był bardzo dobrze „wyrzeźbiony", a malować lubił stare i grube

kobiety. On rzeczywiście stał się wspaniałym światowym artystą. I to bez wina z naprzeciwka.

MY, DZIEWCZYNY z akademii, ubierałyśmy się inaczej niż dziewczyny z uniwersytetu. A dodatkowo te z pracowni Eibischa były najładniejsze. Wobec tego stale, niemal codziennie, przychodzili do nas jacyś reżyserzy, którzy chcieli nas zaprosić albo do statystowania, albo do jakichś filmowych epizodów. Trzeba przyznać, byłyśmy nietypowe. I wyglądałyśmy nietypowo. Wszystko malowałyśmy kolorowo. Nawet włosy, na przykład na czerwono. Pamiętam, raz miałam strasznie czerwone... to była henna... nie wiedziałam, że będą aż takie czerwone, nie mogłam ich wypłukać, nic nie schodziło, okropne... Przyszedł jeden asystent reżysera wziąć mnie do filmu i tak się przeraził... co to znaczył ten kolor w tamtych czasach... No i nie wziął mnie oczywiście. Zrobili zdjęcia, żeby pokazać reżyserowi, i nie przeszłam.

ten model z różowego płótna ozdobiony białą wypustką jest i ładny i oryginalny, jednak bardziej będzie odpowiedni na plażę ewentualnie na popołudniowy dansing w uzdrowisku. Ma smaczną nazwę „Lody" i kosztuje 450 zł. Spółdzielnia „Dzianina".

Gdy byłam studentką warszawskiej ASP, pracowałam jako modelka, a moje zdjęcia ukazywały się w prasie.

Szkoci noszą, oczywiście, kraciaste spódniczki szkockie, a warszawianka, którą „porwali" do wspólnego zdjęcia — spódniczkę w grochy z CPLiA. Fot. Eustachy Kossakowski

Moda i gwiazdy – redagowana przeze mnie rubryka. Tutaj bohaterką była Alina Janowska.

Nie miałyśmy grosza, wszystko więc farbowałyśmy albo robiłyśmy same, na przykład poskręcane na drutach krynoliny. Były absolutnie obowiązkowe. Okropnie uwierały, ale robiły wrażenie. Szłyśmy do jakichś sklepów ślusarskich i tam kupowałyśmy druty, same je obcinałyśmy albo prosiłyśmy o to w sklepie. Chodziło o to, żeby z drutów zrobić dwa ronda – jedno mniejsze, a drugie większe. Musiałyśmy je później łączyć tasiemkami. Dzięki temu gdy się w nich siadało, ładnie się układały. Do krynolinek robiłyśmy balerinki z farbowanych tenisówek. Wycinałyśmy je w miejscu, gdzie są sznurowadła, i malowałyśmy na różne kolory. Sama szyłam sobie też sukienki, „pod Brigitte Bardot", z dużym dekoltem. Nie wiem, jak to

robiłam, dzisiaj bym nie umiała już tak uszyć. W jednej takiej sukience byłam na wielu zdjęciach w gazetach.

Robiłyśmy też biżuterię, takie bzdurki – najczęściej to były obrączki z jakiejś cienkiej wikliny albo z cienkich drucików. Byłyśmy w tym nadzwyczajne. Obowiązkową fryzurą był kok, tapirowany oczywiście.

Dzisiaj mówi się „ale laska". W moich czasach mówiło się „kociak". Byłyśmy kociakami.

W CZASACH STUDIÓW na akademii miałam nawet rubrykę modową w „Filmie". Byłam wtedy już trochę znana z różnych epizodów filmowych, występowałam też w Kabarecie Starszych Panów, a moje zdjęcia pojawiały się w gazetach, często nawet na pierwszych stronach. Jakoś byłam wtedy strasznie forowana. Któregoś dnia zadzwonił do mnie sam naczelny „Filmu", zaproponował mi prowadzenie tej rubryki. Pisałam w niej o najbardziej eleganckich kobietach PRL-u, o aktorkach, artystkach. Spotykałam się z nimi i rozmawiałam o modzie, materiał uzupełniałam zdjęciami moich bohaterek w ich najlepszych kreacjach. Chętnie mi takie zdjęcia dawały. Wydaje mi się, że przypominało to dzisiejsze celebryckie rubryki.

Pamiętam, że pisałam o Ninie Andrycz, właściwie ją zapamiętałam najwyraźniej. Byłam w jej wspaniałym mieszkaniu, oglądałam jej eleganckie stroje. Była piękną kobietą. Powoli nabierałam pewności siebie w tym swoim pisaniu, a także jeżeli chodzi o modę. Po paru miesiącach, po tekście o Ninie Andrycz, wezwał mnie do siebie naczelny, ten sam, który mnie zatrudniał, i z bardzo surową miną powiedział, że bardzo mi już dziękuje. Podobno prowadziłam rubrykę zbyt snobistycznie. I nie pisałam już więcej o modzie.

PAMIĘTAM, jak na pierwszym roku studiów, zimą, stałam na schodach akademii i usłyszałam, jak moja koleżanka, później pierwsza żona Tyrmanda, głośno opowiadała, tak by wszyscy słyszeli, gdzie idą razem na sylwestra – tu, tam, do takiego klubu... Strasznie jej zazdrościłam. Kilka miesięcy potem poznałam Kubę i już nie musiałam nikomu zazdrościć.

Jedna z prasowych okładek z moim zdjęciem. Występuję na niej z pudlem, którego Kuba otrzymał w prezencie podczas kręcenia *Do widzenia, do jutra*, 1960.

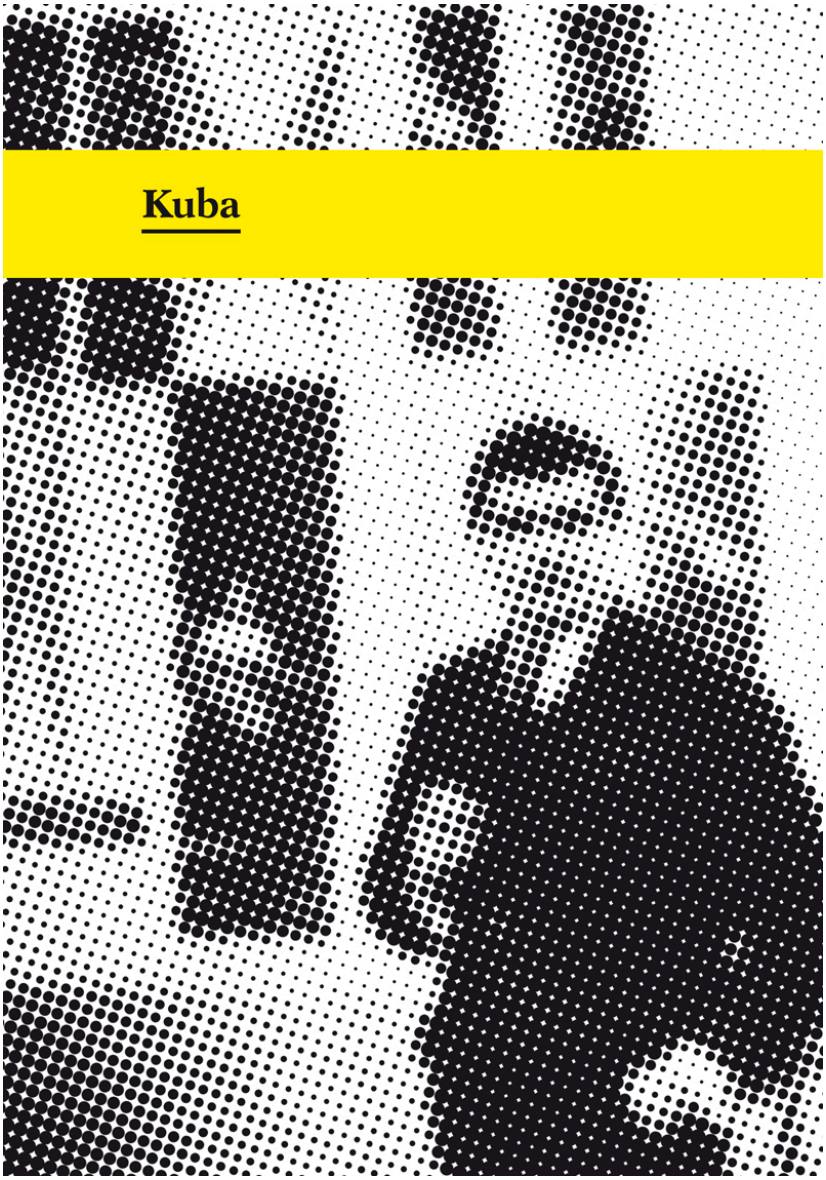
Kuba

PO WYZWOLENIU Kuba pracował w różnych urzędach – na przykład kontrolował młyny. Chciał zostać leśnikiem i zapisał się we Wrocławiu na studia rolnicze. Wymyślił sobie, że będzie wolny, otoczony przyrodą, że już nigdy nie będzie zamknięty. O to chodziło najbardziej. Potem, po latach, jak byłam zła, że mi nie chce pomagać w ogrodzie, zawsze mówiłam: „No wiesz, jesteś w końcu po roku rolnictwa i żadnego nie mam z ciebie pożytku". Jednego dnia we Wrocławiu (to było w 1949) spotkał przypadkiem kolegę z dawnych czasów, Kurta Webera, który potem został znanym operatorem, autorem zdjęć do między innymi *Bazy ludzi umarłych* Czesława Petelskiego i *Zaduszek* Tadeusza Konwickiego. Kurt opowiedział Kubie o szkole filmowej w Łodzi. Tak mu o tej szkole opowiedział, że Kuba z dnia na dzień rzucił studia rolnicze i pędem pojechał do Łodzi na egzaminy. I zdał za pierwszym razem. W programie telewizyjnym „Po oklaskach" w rozmowie z Anną Popek Kuba przyznał, że był to jeden z najważniejszych kroków w jego życiu, coś, co absolutnie zaważyło na wszystkim, i jest za to bardzo wdzięczny losowi.

MIESZKALI W AKADEMIKU, na początku w dużej sali z piętrowymi łóżkami. Później Kuba miał w pokoju Kutza, Bareję i jeszcze dwóch innych kolegów. Andrzej Wajda już też studiował w Filmówce (wcześniej malarstwo na ASP w Krakowie). Kiedyś, jesienią, Kubie i kolegom strasznie lało się z sufitu, dlatego zatkali obrazem Andrzeja dziurę w przeciekającym dachu. Potem mieli duże wyrzuty sumienia i Andrzejowi nigdy tego nie powiedzieli.

Pewnego razu Kuba, Bareja i Kutz spisali w zeszycie, kto jaką chce mieć żonę. Kuba napisał, że ma być to blondynka, Krystyna i najlepiej z Akademii Sztuk Pięknych. I powinna mieć kok! Dopiero po latach zorientowałam się, że jego mama, blondynka, też nosiła kok.

Bareja już był po ślubie, a Kuba i Kazik Kutz byli wtedy największymi szkolnymi podrywaczami. Nawet w filmie o Kubie (*Ćwiczenia z niepamięci*) Kutz opowiada, że codziennie, z wojskową dyscypliną, wyruszali na obchód po Piotrkowskiej i podrywali najładniejsze dziewczyny. Kuba zwracał uwagę tylko na blondynki, a Kazik na brunetki – w tej sprawie mieli różne gusta i do sprzeczek nie dochodziło.

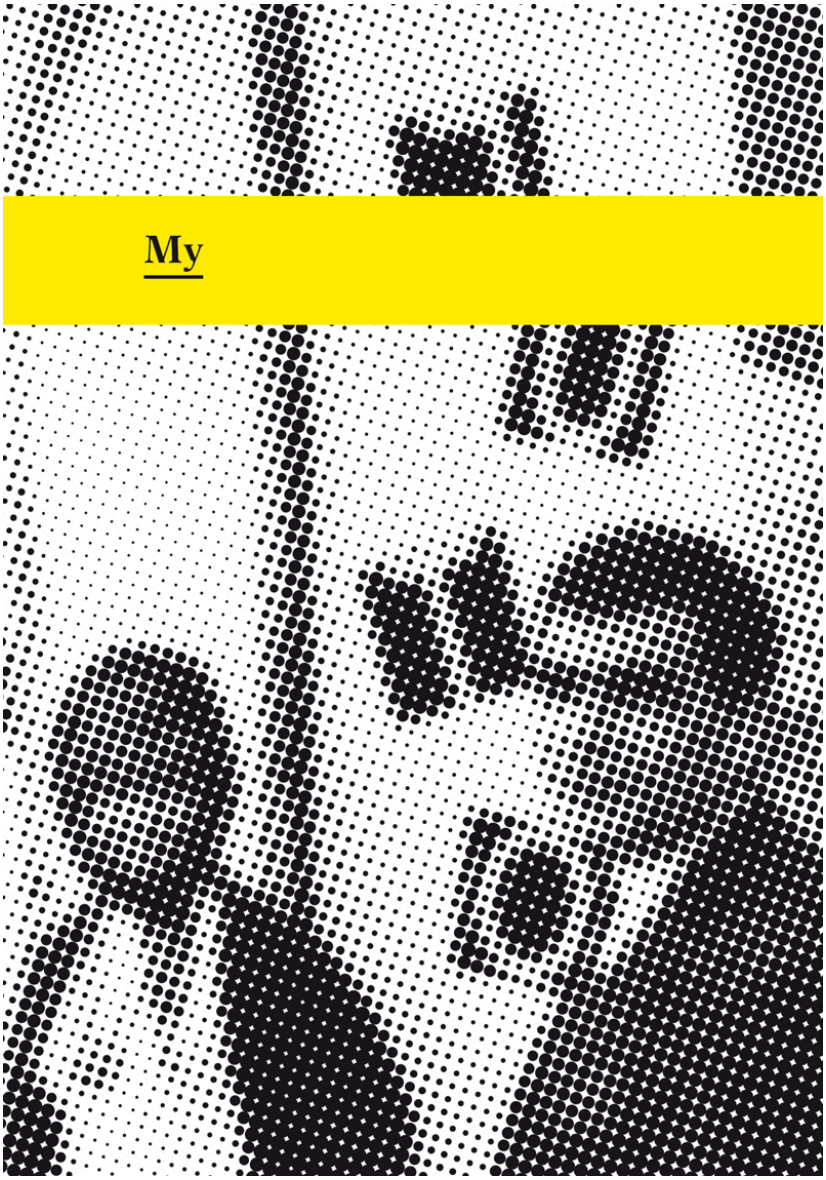
My

Z Kubą na pierwszym pokazie jego filmu *Jutro premiera*, 1962.

POZNALIŚMY się jesienią 1959 roku. Kuba miał trzydzieści siedem lat.

Wspominał, że gdy zobaczył mnie po raz pierwszy, byłam w czarnej chustce na głowie. Wtedy to było bardzo modne. Szczególnie na ASP. Siedziałam w tramwaju, a on stał na przystanku i jak przejeżdżał mój tramwaj, zobaczył dziewczynę w oknie. I wtedy powiedział, o, to jest ta. Muszę ją odnaleźć. Ja oczywiście o tym nie wiedziałam, bo go nie zauważyłam. Potem wychodziłam z Akademii Sztuk Pięknych, a on jechał autobusem i z okna autobusu znów mnie zobaczył. W tej samej chustce. Poznał mnie. No to się bardzo ucieszył; wtedy był asystentem reżysera, a wszyscy oni przychodzili przecież do akademii wybierać do

ról dziewczyny. I pomyślał sobie mój przyszły narzeczony, że usiądzie sobie właśnie tam na ławce… i akurat spotkał Rosława Szaybo, który jest teraz bardzo ważnym grafikiem, w Londynie i Warszawie, a Kuba zapytał: „Słuchaj, czy tu jest taka dziewczyna, która chodzi w czarnej chustce?". „Oj, tu prawie wszystkie tak chodzą, ale zobaczę". Od Eibischa sprowadził na dół, po kolei, wszystkie studentki, a ja jeszcze nie wiedziałam o tym, gdzieś się zabałaganiłam, zeszłam na końcu, strasznie ubazgrana farbami, w takim fartuchu. I to właśnie wtedy ja jako Julia schodziłam po schodach, a on jako Romeo siedział na dole i nie mówiąc sobie nic, wiedzieliśmy, że to jesteśmy my. I wówczas mój przyszły małżonek umówił się z wszystkimi moimi koleżankami z pracowni, mniej więcej co dwie godziny z każdą. Taki był sprytny, a one się strasznie szykowały na te randki… Ja byłam umówiona na ósmą wieczorem, czyli na najatrakcyjniejszą godzinę. Miałam więc najlepszą sytuację.

Kuba w Petersburgu, podczas kręcenia *Damy pikowej,* początek lat siedemdziesiątych XX w.

To rozzłościło moje koleżanki, bo w końcu nie były brzydsze, a może uważały, że jednak ładniejsze, i dlaczego akurat ja byłam wyróżniona. Kuba poddał się ich umizgom z całą przyjemnością, a może już mi chciał pokazać, choć ledwo mnie znał, jakie ma powodzenie? Ostatecznie do roli wybrał mnie.

Podczas paru dni na planie stale były do mnie jakieś telefony, co chwila musiałam biec do recepcji. Przychodzili też do mnie różni koledzy. Widziałam, że asystent reżysera, czyli Kuba, jest na mnie z tego powodu lekko wściekły, ale znowu zaprosił mnie na kolację. Oczywiście czegoś zapomniał, więc poszliśmy po to coś do jego domu… nie umiałabym wtedy jeszcze tego wyreżyserować, byłam kompletnie zielona… No, ale jak znaleźliśmy się w domu, okazało się, że było nam tam bardzo dobrze.

Taką mnie Kuba zobaczył po raz pierwszy.

Zaczęło się pięknie. Po tej pierwszej nocy miłosnej poszliśmy na kolację do Kameralnej na Foksal. Wtedy usłyszałam, że Kuba jest bardzo zakochany we mnie, ale ma taki pomysł na życie, że nigdy się nie ożeni i nie będzie miał dzieci. Później to zrozumiałam, trauma wojenna. I ja bezczelnie powiedziałam, że też mam taki sam pomysł, a miłość od pierwszego wejrzenia sprawiła, że stał się moim pierwszym, wspaniałym mężczyzną. Byłam na tyle przytomna, że powiedziałam:

„Czy sądzisz, że ja w ogóle myślałam, by wyjść za mąż za ciebie? Przecież w ogóle nie ma o tym mowy…”. To była taka pierwsza wyreżyserowana przeze mnie sytuacja między nami, i to mi się udało. I później tak już było – on był reżyserem filmowym, a ja reżyserowałam nasz związek.

Pamiętam, byliśmy na jakimś balu niedługo po naszym poznaniu. Jesteśmy w korytarzu… Kuba był przyzwyczajony, że na tych balach wyszukiwał dziewczyny do filmu, wiedział, która jest ładna czy fajna, dlatego tyle miał dobrych debiutów aktorskich. Wobec tego na początku, na korytarzu, nim weszliśmy na salę, powiedział: „Ale wiesz co, chyba nie będziesz miała mi za złe, że stale nie będziemy tańczyć ze sobą?”. Wtedy też strasznie się zdziwiłam, myślę sobie, że po co to w ogóle mówić, oczywiste jest, że stale nie będziemy tańczyć razem. Wchodzimy na salę, on natychmiast widzi jakąś dobrą laskę, od razu z nią tańczy, ja się zastanawiam, który tutaj z tych moich adoratorów jest najprzystojniejszy. Bawiliśmy się świetnie, Kuba przychodzi o trzeciej nad ranem, ileś już przetańczył, i mówi: „Idziemy do domu”. A ja na to: „O, nie”. Ale wykukując z ramion tego najprzystojniejszego kolegi, który myślał, że nagle jestem strasznie w nim zakochana, bo tańczymy w uniesieniu, mówię: „Idź do domu, przyjdę już sama”. A Kuba dopiero wtedy zobaczył, co się dzieje, i czekał do szóstej rano, a ja tańczyłam, tańczyłam, tańczyłam.

Wiedziałam, że on jest Skorpionem, to jest najtrudniejszy znak, ale i najciekawszy. Zawsze zresztą ciągnę do takich ludzi, trudnych, ale przez to ciekawych. Skorpion, jak już zje ofiarę, to przestaje go ona interesować. I zauważyłam przez te pięćdziesiąt lat, że ile razy stawałam się taką bez reżyserii, to było niedobrze…

GDY SIĘ POZNALIŚMY, Kuba był na początku kariery. Wydawałoby się, że powinien być już wtedy ustawionym zawodowo dojrzałym facetem, ale po wojnie wiek liczyło się inaczej. Wojna odebrała mu młodość, więc w wieku trzydziestu siedmiu lat był tak młody, jak nie jest młody żaden dzisiejszy

chłopak. Od razu wsiąknęłam w jego środowisko. Marek Hłasko, Adolf Rudnicki, Tadeusz Konwicki, Dygatowie, wszyscy najważniejsi reżyserzy, aktorzy, pisarze.

Jedno z naszych pierwszych wspólnych zdjęć.

TYDZIEŃ W FILMIE

NA TORWARZE

Młoda plastyczka i popularna „gwiazdka" — Krystyna Cierniak (widzieliśmy ją w epizodycznych rolach filmów „Miejsce na ziemi" i „Milion pana Anatola") próbuje swych sił jako łyżwiarka. Na zdjęciu — pani Krystyna na Torwarze.

O moich filmowych epizodach wspominała nawet prasa.

Kuba zaczął wyjeżdżać na plany filmowe, ja studiowałam i pogrywałam sobie w filmie, strasznie mi się to podobało. Mało tego, że zarabiałam pieniądze, to jeszcze świetnie się bawiłam. Byłam angażowana głównie do ról epizodycznych. Miałam okazję przebywać na planie filmowym takich reżyserów, jak: Tadeusz Konwicki, Kazimierz Kutz, Andrzej Munk, Stanisław Bareja, Jan Rybkowski i Leonard Buczkowski. I tak tańczę w scenie zbiorowej w *Salcie* Konwickiego. W *Zezowatym szczęściu* siedzę obok Bobka Kobieli w auli uniwersyteckiej, jestem w *Inspekcji pana Anatola* i w *Dziś w nocy umrze miasto*. Z tego okresu wyniosłam zarówno doświadczenie, jak i znajomości podtrzymywane później na licznych spotkaniach w SPATiF-ie.

Statystowałam również w Teatrze Dramatycznym w *Wizycie starszej pani* Friedricha Dürrenmatta w reżyserii Ludwika René. Pamiętam bardzo dobrze, że dostałam za miesiąc czterysta złotych i za całe te pieniądze kupiłam sobie modne szpilki. I okropnie byłam z nich dumna… Bardzo lubiłam to moje pogrywanie w filmach, a Kuba nienawidził. Powiedział: „Nigdy się nie ożenię z aktorką". Zapomniał, iż wcześniej mówił też, że nigdy się nie ożeni w ogóle. Ale na pewno kiedy zorientował się, że z mojej kariery aktorskiej nic nie będzie, odetchnął z ulgą.

A JA NAJBARDZIEJ lubię wspominać swój udział w Kabarecie Starszych Panów. Pewnego dnia zadzwonił do mnie sam Jeremi Przybora i zaprosił na próby do swojego kabaretu. Nic o nim nie wiedziałam, byłam zdziwiona, ale oczywiście to bardzo połechtało moją ambicję.

W studiu długo wchodziłam w panującą tam atmosferę, sposób pracy. Dla kogoś, kto nie jest aktorem, aktorką, tak jak ja, to było bardzo trudne. Jednocześnie byłam zauroczona tym, co się działo na planie… Ale i strasznie zestresowana, bo uciekałam z akademii z lekcji malarstwa… Dodatkowo z tych nerwów i roztrzepania wciąż gubiłam kartę wstępu do studia i ciecie nie chcieli mnie wpuszczać na próby. Trzeba więc było dzwonić, ściągać kogoś z ekipy. Przysięgałam, że na następny dzień będę już miała kartę, ale prawie codziennie powtarzało się to samo.

Kabaret był wtedy emitowany na żywo. Trzeba więc było się sprężyć i skupić. Nie mogłam narzekać na moje teksty, bo było ich bardzo mało. Ale pozostali aktorzy budzili mój podziw – tyle piosenek, tyle tekstów do wykonania i zaśpiewania, a oni wszystkiemu podołali. Mieli fantastyczny warsztat! Cała plejada najlepszych polskich aktorów. Byli tak śmieszni i tak wspaniali… Kalina Jędrusik, pamiętam, jak wspaniale śpiewała, Barbara Krafftówna, uroczy Wiesław Michnikowski.

Po kilku dniach czułam się tam jak w domu, zapominałam, że ja tam również pracuję. W momencie kiedy dawali mi jakieś zadania,

wykonywałam je zupełnie bez zastanowienia. Nie pamiętam wielu jakichś konkretnych swoich ról. Niektórzy mówią, że byłam bardzo śmieszna. Raz dostałam większą rolę – siedziałam na ławce i śpiewałam. Wtedy nagle bardzo mi się to spodobało, no ale spodobało na chwilkę, bo dali mi tylko parę sekund tego śpiewania. Po każdej premierze wszystkie kobiety dostawały od Przybory i Wasowskiego wspaniałe bukiety kwiatów. To był gest prawdziwych przedwojennych dżentelmenów. Teraz to się już oczywiście nie zdarza.

Miałam szczęście spotkać na planie *Inspekcji pana Anatola* wspaniałego Tadeusza Fijewskiego, 1959.

Byłam dumna z tych kwiatów, dostawałam je, chociaż grałam tylko epizodyczne role.

Po którymś kabarecie czekam, czekam, a tu nie ma propozycji. Po prostu już mnie nie wzięli. Niedawno przeczytałam w książce Jeremiego, że jak zwolnili „Cierniaczka", to już gorzej szło.

Kuba na temat moich występów w kabarecie jakoś nic nie mówił... Może dlatego że to nie film, tylko coś obok. Nie był więc to jego teren, teren, na którym czuł się silny. On w ogóle nie oglądał filmów, w których grałam, nie interesowało go to. Nie wiem, czy spodobałabym mu się jako aktorka.

Chciałam mu się pochwalić rolą w *Wizycie starszej pani,* to przecież rola, za którą kupiłam sobie wspaniałe szpilki! Okropnie naiwna zaprosiłam go więc na przedstawienie. Statystowałam tam, ale dosyć dużo byłam na scenie, więc byłam dumna, bo to były przecież moje pierwsze teatralne kroki... Pytałam potem Kubę o wrażenia, a on tylko

na mnie popatrzył, nic nie powiedział... Wystarczyło. Cóż, rola główna to nie była!

DZISIAJ gdybym miała siebie zapytać, czy Kubie podobał się jakiś film, w którym grałam, to odpowiedź jest prosta: żaden, nawet nie chciał ich oglądać. Natomiast jeśli ja miałabym odpowiedzieć na pytanie, który film Kuby mi się podoba najbardziej, po zastanowieniu powiedziałabym: wszystkie.

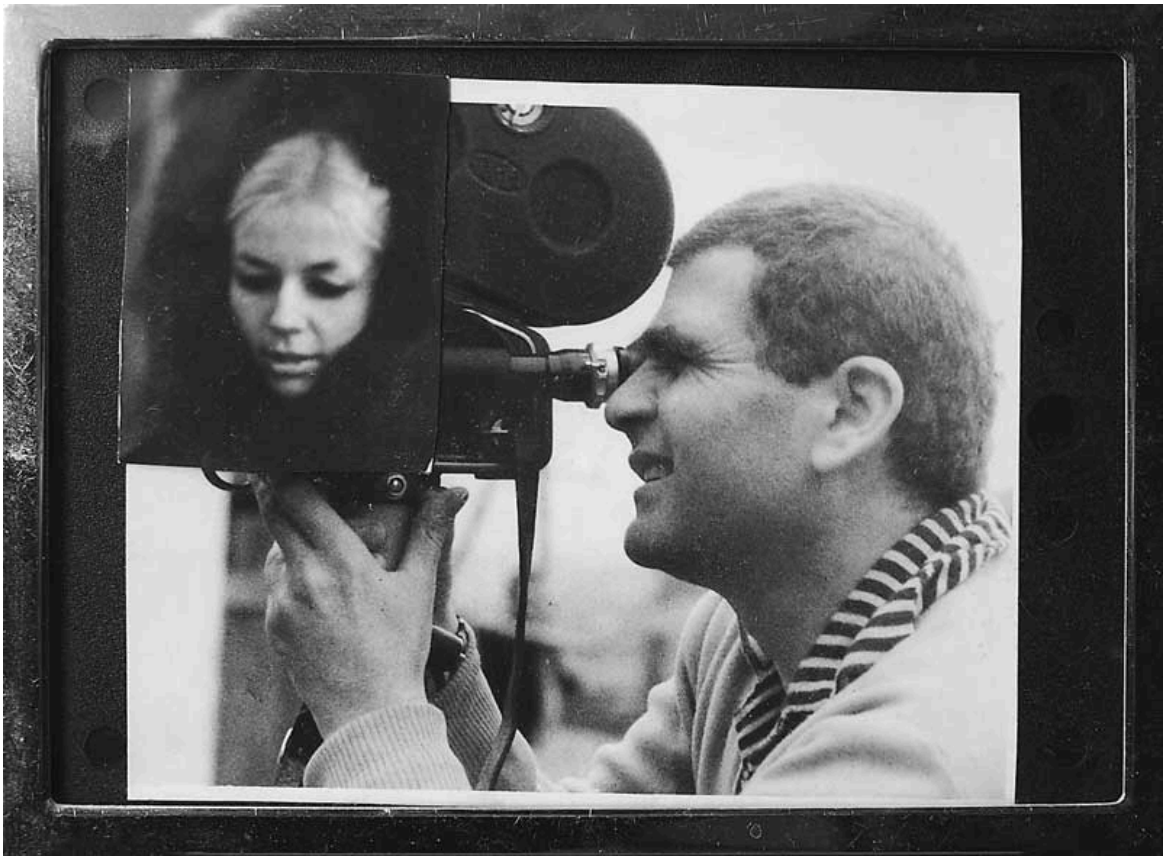

Zmontowałam Kubie takie zdjęcie, by zawsze (chciał czy nie chciał) widział mnie w swojej kamerze. Fotografia stała na jego biurku.

CZAS studiowania w akademii wspominam jako najlepsze moje lata. Nie mogliśmy narzekać, że był PRL, socjalizm, bo nie wiedzieliśmy, że w kraju może być lepiej. Zaczęłam wyjeżdżać co roku w czasie wakacji DO PARYŻA. Byłam wtedy zachłyśnięta Zachodem, zwłaszcza Paryżem. Dwa miesiące czekałam na paszport – pytanie, czy dadzą, rozmowy z esbekami, miesiąc czekania na wizę i nagle jestem w cudownym, nie zawsze dobrze pachnącym metrze. Myślałam: świat jest cudowny! A po dwóch miesiącach wracałam i znów podgrywałam sobie w filmach i zbierałam pieniądze na następny wyjazd, żeby mieć punkt odniesienia w życiu, sztuce, modzie itd.

Moja pierwsza podróż za granicę. Studentka ASP, 1959 rok. Profesor Janusz Strzałecki zorganizował nam, czterdziestu studentom, wyjazd autokarem do Francji, Belgii i Niemiec Zachodnich. Jechało dużo koleżanek z mojej pracowni. Nie darowały mi zwycięstwa z Kubą, w związku z czym stale siedziałam na kole. Oczywiście żadna z nich nie chciała się ze mną zamienić. Zresztą je rozumiem, bo to mnie co jakiś czas wynosili na zewnątrz – robiło mi się niedobrze od tego podskakiwania w górę i w dół. Od czasu do czasu spaliśmy w małych namiotach i dziwnym trafem to mój namiot miał zawsze nad ranem wyciągnięte kołki i leżał płasko.

W autokarze mogliśmy mieć duży bagaż, za to małe pieniądze. Pięć dolarów. Prawie wszyscy mieli po kilka puszek rosyjskich krabów marki Chatka, bo podobno kupią je za granicą, no i będzie ze dwadzieścia dolarów więcej. Ja miałam jeszcze większy skarb, bo Kuba gdzieś z trudem kupił mi radio Szarotka. Latałam potem po Paryżu z tą Szarotką i pisałam do Kuby: „Szarotki już nie idą i puszki też nie”.

SAMA pojechałam pierwszy raz do Paryża w 1960 roku. Podróżowałam chyba ze dwa dni pociągiem radzieckim Moskwa–Paryż. Wszystkie okna i drzwi zamknięte. W nocy się budzę, a byłam sama w przedziale, a tu ruski maładiec pakuje się na mnie. Tak wrzeszczałam, że cały pociąg stanął. Nie wiem już z jakiego powodu, ale zatrzymał się również w Brukseli i wyrzucono wszystkich na peron. Siedziałam więc na walizkach, a obok starsza i dystyngowana pani, z rodziny białych emigrantów, wracała z Moskwy. Wzięła mnie do taksówki i pojechałyśmy do Paryża. Pani Barbison, bo tak się nazywała, okazała się jedną z bogatszych kobiet mieszkających na Montmartrze w pięknym domu z ogrodem. Ona sama bardzo ładnie rysowała. Miała około sześćdziesięciu lat, była elegancką panią w stylu rosyjskich arystokratów. Ostra w obyciu, oschła i apodyktyczna niemal jak Władimir Putin, ale dla mnie zawsze ciepła i serdeczna. No i tak spotkałam matkującą, wspaniałą, co prawda dużo starszą, przyjaciółkę. Dwa razy w tygodniu musiałam biec na czubek Montmartre'u i dokładnie mówić, co robiłam i jakiego pochodzenia są moi nowi francuscy znajomi. Prawie wszyscy byli niewłaściwi, jeżeli nie skończyli École nationale d'administration (ENA). Za to jej znajomi, z najwyższej półki francuskiej, musieli się mną zachwycać jako wspaniałym produktem polskim z PRL-u. Dzięki pani Barbison parę lat później dostałam stypendium francuskiego Ministerstwa Kultury na trzy miesiące w Gobelins L'école de l'image, gdzie się tka najsłynniejsze gobeliny. Gdy pierwszy raz weszłam do gigantycznych pracowni, miałam usta otwarte z wrażenia. Nie wiedziałam, że może być tyle odcieni jednego koloru. W Polsce wełnę wkładałam do miski i wyszło jak wyszło, a i tak w tych latach to właśnie polskie gobeliny zdobyły świat.

W tamtym czasie mieszkałam na ulicy Lauristona w Stacji Naukowej PAN, w hotelu dla stypendystów. Oprócz studentów mieszkało tam też sporo esbeków. Nie zdawałam sobie sprawy z tego, do jakiego stopnia byłam obserwowana i ile donosów na mnie dotarło do Warszawy. Przekonałam się o tym dopiero teraz, czytając moją teczkę w IPN-ie.

Na zakończenie mojego pobytu w Paryżu pani Barbison zaprosiła mnie do Cortiny d'Ampezzo, włoskiego kurortu dla najbogatszych, gdzie miała dom. Uważała, że to dla mnie ostatnia szansa na znalezienie odpowiedniego kandydata na męża, wśród europejskiej

elity oczywiście. Głęboko gardziła moimi pomysłami powrotu do Polski, do jakiegoś mężczyzny, jakiegoś artysty reżysera, którego nawet nie znała, czyli do Kuby. Bardzo się ucieszyłam, bo nigdy nie byłam we Włoszech, ale kilka dni po zaproszeniu pokłóciłam się z Kubą przez telefon, nie pamiętam już o co, pamiętam tylko, że postanowiłam natychmiast wracać do Polski, aby mu osobiście nawtykać. Był wtedy w Olsztynie, gdzie kręcił odcinek *Stawki większej niż życie*. I tak, zamiast jechać do Cortiny, pojechałam prosto do Warszawy, gdzie przesiadłam się natychmiast – z całym paryskim bagażem – do pociągu do Olsztyna. W przedziale było okropnie zimno, bo był środek zimy, a ogrzewanie, oczywiście, się popsuło.

Kiedy dotarłam do Olsztyna, okazało się, że Kuba jest w trakcie zdjęć. Cały dzień przesiedziałam w lodowatym pokoju. I następny, i następny, bo on wciąż pracował. A trzeciego dnia pożałowałam, że odrzuciłam propozycję pani Barbison i nie jestem w Cortinie d'Ampezzo.

DZIEWCZĘTA mojego pokolenia, czyli powojenne, były jakby uśpione w sensie ekonomicznym. Żadna w moim otoczeniu nie szukała bogatego męża. W tamtych latach nikt nie miał pieniędzy, a prywatnego biznesu nie było. Potem zaczynały się małe interesy, a właścicieli nazywaliśmy prywaciarzami. Dla nas było ważne, aby mężczyzna był ciekawy, a już najlepiej uzdolniony artystycznie. No i tak zostało nam do dzisiaj.

Ale zawsze są wyjątki. Jedna koleżanka się zastanawiała, jak i gdzie znaleźć bogatego męża na przykład w Paryżu. Ktoś podsunął pomysł – bogaci mężczyźni robią sobie buty na miarę, czyli u dobrego szewca. Trzeba zaprzyjaźnić się z szewcem, przychodzić na kawę, oczywiście w dobrej dzielnicy, i w pewnym momencie na pewno wejdzie ten właściwy. I wyobraźcie sobie, że wszedł.

Kłóciliśmy się z Kubą na każdy temat i zawsze. Może dlatego byliśmy ze sobą ponad pięćdziesiąt lat? Kłóciliśmy się, kiedy byliśmy razem, i wtedy, kiedy któreś z nas wyjeżdżało. Tyle że wtedy przez telefon. Kłóciliśmy się, ale natychmiast zapominaliśmy o co. Może to nie były kłótnie, tylko przekomarzanie? Kuba wywodzi się z pokolenia, które nie powtarza ciągle „kocham cię". Powiedział mi kiedyś: „Albo to czujesz, albo chcesz to ciągle słyszeć". O uczuciach nie rozmawiał. Ja też mam problem z mówieniem o tym wprost. Wolę to okazywać.

Kuba był zazdrosny, ale nigdy tego nie okazywał. Był na to zbyt dumny. Kiedy wyjeżdżałam na kilka tygodni do Paryża, mówił: „Proszę bardzo, jedź. A nuż spotkasz tam kogoś lepszego ode mnie" – i nie było w tym złośliwości czy pretensji, on naprawdę tak myślał. On po prostu chciał, żebym była bardzo szczęśliwa, jeśli mogłabym być szczęśliwsza z kimś innym niż z nim, to powinnam go zostawić. Nie bardzo to rozumiałam.

PRZED moim kolejnym wyjazdem do Paryża, jeszcze studiując na ASP, przez rok chodziłam wieczorami na kurs kreślarski, żeby móc trochę dorobić. W Paryżu brakowało bowiem kreślarzy. W ciągu dnia pracowałam więc za grosze jako kreślarka w biurze architektonicznym albo jako projektantka tkanin, albo jako tkaczka cudzych gobelinów. A wieczorami był czas zabawy. Dużej zabawy. W latach sześćdziesiątych nasza polska elita kulturalna spotykała się w słynnej kawiarni Les Deux Magots. Zapamiętałam sobie siedzących przy stoliku Alinę Szapocznikow, Wojciecha Fangora, Romana Cieślewicza. Szczytem marzeń było znaleźć się w równie słynnej restauracji La Coupole – oczywiście zaproszonym przez bogatszych francuskich przyjaciół. Obok nas siedzieli znani aktorzy – na przykład Jean-Paul Belmondo, Marina Vlady. Rozpływałam się potem w naszym SPATiF-ie, opowiadając, kogo to ja nie znam, i przy okazji pokazując nowe francuskie buty.

W Paryżu kupiłam też buty Kubie, wysłałam mu je przez kogoś do Warszawy, ale okazało się, że są za małe. W tym samym czasie Zbyszek

Cybulski jechał do Paryża i zabrał buty do wymiany. Ale nie kontaktował się ze mną długo, bo wolał spotykać się z Marleną Dietrich, z którą właśnie romansował. Po paru dniach zadzwonił: „Stareńka (mówił tak do wszystkich koleżanek), miałem randkę, rozumiesz, że chciałem mieć nowe buty, a te były akurat dobre. No to ja już w nich chodzę. Kubie kupię, jak zarobię". Możecie się domyślić, jaki był koniec interesu z butami dla Kuby...

Krystyna Czerniak,
młoda polska aktorka komediowa we Francji

"Narodowiec" Nr. 206 3. IX. 1961.

Wydaje się, że producent filmowy Pierre Roustang, postanowił w Polsce szukać nowego narybku dla filmu zachodniego — pisze „Combat". Dla realizacji filmu „Tysiączne okno", sprowadził już Basię Kwiatkowską, której twarz po raz pierwszy ujrzał w ilustrowanym czasopiśmie niemieckim, a która okazała się najbardziej znaną aktorką komediową w Polsce. Wiadomym jest, że Basia Kwiatkowska, którą Włosi nazywają Barbarą Lass, została następnie zaangażowana przez René Clement i robi z drugiej strony Alp zawrotną karierę. Włosi uważają ją za swój najlepszy nabytek, jeśli chodzi o zagranicznych aktorów komediowych.

Podczas podróży do Warszawy, związanej z przedstawieniem swego nowego filmu, Pierre Roustang poznał przyjaciółkę Basi — Krystynę Czerniak i zaprosił ją do Francji, z zamiarem powierzenia jej roli w przyszłym filmie Trouffout: „Miłość w dwudziestym roku życia".

Krystyna Czerniak z entuzjazmem poznaje obecnie Paryż i francuskie filmy. W Polsce grała ona już w sześciu filmach i dziesięciu krótkometrażówkach. Jest ona najbardziej poszukiwaną „dziewczyną na okładkę" ilustrowanych czasopism wschodu a w międzyczasie pracuje jako rysownik w dużym dzienniku.

Jako, że wszystkie te zawody są uprawiane państwowe, pobiera ona za swą pracę tylko jedno łączne wynagrodzenie i chociaż nie jest karierowiczką, podobają się jej trochę kapitalistyczne metody, które pozwalają urzeczywistniać ambicje pracą.

Bardzo ładna wydaje

roli v swych filmach co znajduje ona całkowicie normalnym). Cechuje ją duża kultura kinematograficzna; ogląda na prywatnych seansach wszystkie niećozwolone dla Polaków filmy zagraniczne i do głębi zna francuską „nową falę".

WAKACJE KRYSTYNY CIERNIAK

Z zawodu jest plastyczką, ale podobnie jak Zofia Słaboszowska występuje czasem przed kamerą. W Polsce widzieliśmy ją w epizodycznych rolach w filmach Miejsce na ziemi i Dziś w nocy umrze miasto. Niedawno Krystyna Cierniak wystąpiła we francuskiej komedii Un cheval pour deux (Jeden koń dla dwojga). Akcja filmu toczy się tuż po wojnie w małym miasteczku. Jego mieszkańcy radośnie świętują — po raz pierwszy na wolności — dzień 14 lipca. Główne role w Un cheval grają popularni komicy francuscy: Roger Pierre (również scenarzysta tej komedii) i J. M. Thibault (reżyser). Poza rolą w Un cheval, Krystyna Cierniak zagrała także obok Lilli Palmer w filmie Le rendez-vous de minuit (Spotkanie o północy).

Na pytanie, czy ma zamiar porzucić swój zawód dla filmu — Krystyna odpowiada:

— Oczywiście — nie! Pracę w filmie traktuję po prostu jak wspaniałe wakacje... (bw)

Na zdjęciach — Krystyna Cierniak w filmie Un cheval pour deux i bohaterowie tej komedii — Roger Pierre (z prawej) i J. M. Thibault

Polska prasa pisała o moich francuskich filmowych wakacjach.

Pewnego razu załadowałam dużą walizę (nie było jeszcze wtedy bagaży na kółkach), a Kuba dorzucił mi parę puszek rosyjskiego kawioru na prezenty. Wtedy można było przez pewien czas kupić kawior jeszcze oficjalnie w tak zwanych delikatesach. Ale w Paryżu wszyscy znajomi wyjechali na wakacje, a ja byłam głodna, więc stopniowo zjadłam te prezenty. Po kilku dniach zapraszają mnie francuscy znajomi do super restauracji i proponują kawior, a wtedy ja, biedna Polka, mówię: „Och nie, tylko nie to, kawior jem codziennie!". Spojrzeli na mnie zdziwieni, bo oni nie jedli go codziennie. Do ich wyobrażenia biednej Polski nie pasowały też moje piękne walizy i torby, które były produkowane w Elblągu na eksport. Zawsze, jadąc latem nad morze, zahaczaliśmy z Kubą o sklep wytwórni skórzanej. Niektóre walizy, naprawdę świetnie wykonane, mam do dziś.

Z Romkiem Polańskim w Paryżu, lata sześćdziesiąte XX w.

Innym razem mieszkałam w Paryżu u przyjaciółki, Jadzi Kukułczanki (Koukou Chanska), tłumaczki dramatów Wojtyły, Gombrowicza, Witkacego. Pamiętam, jak przyszedł nas odwiedzić młody przystojny chłopak z Krakowa, malarz i grafik. Miał ze sobą małe śliczne rzeźbki, można było je schować w ręku. Przyrzekłyśmy mu z Jadzią, że będziemy o tych rzeźbkach mówić wśród bogatych znajomych. Ale nie bardzo nam się udawało. Pokazałam też jedną z nich Romkowi Polańskiemu, obejrzał, powiedział, że bardzo ładna i to wszystko. Sam również nie miał wtedy pieniędzy. Po wielu latach dowiaduję się, że ten ładny młody artysta, który nazywał się Igor Mitoraj, podbił świat swoją sztuką. W kontraście do pierwszych rzeźbek tworzył wspaniałe, imponujące rzeźby z marmuru i brązu. Słyszałam, że Romek parę lat później szukał z nim kontaktu.

W Paryżu spotkałam się też z Jeremim Przyborą i nigdy nie zapomnę jego miny, kiedy stanęliśmy przed straganem z warzywami. „Popatrz – powiedział z zachwytem – jak u nich wygląda marchew". Rzeczywiście była piękna, ale może nie tak dobra jak nasza?

JAK WAŻNA jest przyjaźń między ludźmi. Szuka jej się zawsze, wszędzie, a przede wszystkim, jak się jest gdzieś na obczyźnie. Koukou powiedziała: „Weź klucze, mnie nie ma cały dzień w domu, ale w lodówce będzie na ciebie codziennie czekał gar pysznej zupy". Nigdy jej tego nie zapomnę. Jak pracowałam w atelier przy cudzych gobelinach albo rysowałam projekty tkanin, to odliczałam czas, kiedy wreszcie wsiądę do metra i pojadę na tę zupę. Pewnego razu Koukou daje mi swoją sztukę teatralną pt. *Osioł grający na lirze* z prośbą, żebym oddała ją komuś w Ministerstwie Kultury i Sztuki, jak będę w Warszawie. Wysiadam na lotnisku w Warszawie, zupełnie nieświadoma tego, że według SB wiozę bibułę. Widzę z daleka Kubę, a tu prowadzą mnie na rewizję osobistą. On krzyczy, że to bezprawie. Później dowiedziałam się, że Has chciał zrobić z tej sztuki film, ale nie zdążył z powodu stanu wojennego. (W filmie mieli zagrać: Catherine Deneuve, Gérard Depardieu, Orson Welles, Gustaw Holoubek).

PAMIĘTAM też, jak podczas mojej pierwszej podróży DO IZRAELA jechałam przez pustynię Negew autokarem do Ejlatu. Ejlat to było dla mnie po prostu morze z plażą pełną handlarzy sprzedających kolczyki, naszyjniki, korale jakieś, a kawałek dalej przystań, to znaczy rodzaj pomostu z drewna. Dziś to luksusowe miejsce. A Tel Awiw to taki mały Manhattan.

Pamiętam, jaka trudna była moja podróż, nim dobrnęłam do Hajfy. Miałam ze sobą dużą, starą wojskową torbę Kuby, z którą się znalazłam w Atenach, a tam musiałam się przesiąść na statek i przez Cypr dotrzeć do Hajfy. Podczas przesiadki pomagał mi jakiś siedmioletni chłopiec, który oczywiście chciał mi tę torbę rąbnąć, ale na szczęście zorientowałam się na czas.

Potem był postój na Cyprze i pamiętam, że wysiadłam, aby się przejść – Cypr też był wtedy inny, dziewiczy – a za mną szedł cały czas jakiś chłopak. Nie bałam się go, bo był to jeden z pasażerów statku. W pewnym momencie podszedł do mnie i dał mi obrączkę zrobioną z trawy. Bardzo ładne wspomnienie bez dalszego ciągu.

Będąc w Tel Awiwie, spotkałam jednego z naszych znajomych z Londynu, wtedy mówiliśmy na niego milioner. Zaprosił mnie na kolację, a potem poszliśmy do kasyna. Bo ja uwielbiam grać. Przy barze siedziało kilku „milionerów", jego znajomych, a wszyscy tak smutni, że coś strasznego. To kasyno było w Hiltonie, jedynym porządnym hotelu w Tel Awiwie, a wokół same szałasy. Ja w ferworze gry krzyczałam tylko: „Wygram! Teraz na pewno wygram milion!". A oni patrzyli na mnie i pytali: „I co by pani za ten milion kupiła?". „Pojechałabym w podróż dookoła świata!". „A co potem?". „Jeszcze raz bym pojechała w podróż dookoła świata. I samochód bym kupiła! I dom!". „I jeszcze co by pani zrobiła?". „No, gdyby jeszcze coś zostało, to znowu bym pojechała dookoła świata!". A oni tylko tak smutno kiwają głowami: „Nic nam pani nie pomogła, my mamy ciągle te miliony i ciągle nie wiemy, co z nimi zrobić. Żony nam pouciekały, każda ze swoim kawałkiem miliona, i tak tu siedzimy". Wygrałam dwadzieścia cztery dolary i byłam bardzo szczęśliwa.

CIEKAWOŚĆ świata i zamiłowanie do podróży mam po mamie. Nawet gdy była staruszką, wsiadała na statek handlowy i pływała po świecie. Sama.

Gdy umarła, bardzo to przeżywałam. Kuba się wściekał, że aż tak długo. Wtedy zadzwoniła koleżanka, że we trzy, wszystkie pracujące w telewizji, płyną radzieckim statkiem na trzymiesięczną wycieczkę. Bo to było jeszcze za ZSRR. Potrzebowały czwartej do podróży. I ja wygrałam w ich rankingu kandydatek jako najmniej konfliktowa.

Najpierw poleciałyśmy do Moskwy, stamtąd samolotem do Władywostoku, a potem autobusem DO NACHODKI. Autobus był zamknięty od zewnątrz. Nie można było z niego wyjść. To, co zobaczyłam przez szybę w drodze do portu, wyglądało jak scenografia filmowa: wszystko szare i zimne, bo był listopad – kikuty drzew, małe zapadające się domy i smutne kobiety opatulone chustami. Polacy, z którymi mieliśmy płynąć, też byli wtedy szarzy – w sumie sto trzy osoby. Statek nazywał się Nadieżda Krupska. Był świeżo pomalowany od zewnątrz, ale zardzewiały w środku. Przez całą podróż non stop go malowano, bo farba trzymała odpadające części. Smród od tych farb był straszny, cud, że się nikt nie pochorował.

Na statku wieczorami odbywały się imprezy artystyczne organizowane przez polskiego kaowca. Rosjan – załogi i obsługi – było sto trzydzieści osób łącznie z orkiestrą. Składała się z chłopców, którym pozwolono grać jazz, mimo że na pokładzie mieli sekretarza partii. Codziennie tańczyliśmy pięć-sześć godzin, trzymając się sufitu, gdy kołysało. Podawano nam szampana i kawior. Kawioru było tyle, że wkrótce nie mogliśmy na niego patrzeć, a Rosjanie, nie wiedząc, co z nim zrobić, dodawali go do różnych potraw. Te kombinacje nie sprawdzały się smakowo.

Pamiętam, że W CHINACH niektórych z nas ograbiono. Zawinęliśmy do portu i poszliśmy zwiedzać jakieś miasto. Stanęliśmy przed sklepem z jedwabiami – ależ piękne były w nim sukienki. Żeby coś kupić, trzeba było wymienić dolary na tamtejsze juany. Zaraz pojawili się chińscy

waluciarze. Za późno zorientowaliśmy się, że w paczkach, które nam dali, tylko wierzchnie banknoty są prawdziwe, pod spodem był zwykły papier. W ten sposób jedwabie ominęły chyba z piętnaście osób. Dopiero W TAJLANDII wszyscy Polacy kupili sobie kolorowe ciuchy. I nagle, już trochę opaleni, zaczęli wyglądać fantastycznie.

Z FILIPIN uciekaliśmy, bo do nas strzelano. Zobaczyli, że to radziecki statek, a akurat skłócili się z ZSRR. NA BORNEO wspinaliśmy się wysoko, w dżungli. Był tam wielki goryl trzymany w żelaznej klatce. Mizdrzyłam się do niego, a on złapał mnie za spodnie i mną rzucił. Poleciałam daleko w dół po zmurszałych schodach. Cztery osoby wnosiły mnie na statek. Okazało się, że mam mocno poobijane nogi, ale na szczęście niezłamane. Lekarz okrętowy powiedział: „Dziewczyno, gdybyś się połamała, nie mógłbym ci pomóc, mam tylko skromną apteczkę". Leżałam przez dwa dni, gdy reszta tańczyła, co mnie okropnie złościło. Podpierając się na rękach, doczołgałam się do sali tanecznej. Gdy już tam się znalazłam, dolegliwości szybko minęły.

W drodze powrotnej do Nachodki zawinęliśmy DO JAPONII. Zawieziono nas na parking, gdzie stały czteroletnie samochody japońskie wystawione na sprzedaż przez właścicieli, którym nie opłacało się już robić przeglądu technicznego. A po czterech latach eksploatacji japońskie auta wciąż są dobre. Wszystkie kosztowały po czterysta dolarów. Wtedy okazało się, że Rosjanie na naszym statku, w nagrodę od partii, płynęli, żeby kupić te samochody. Jednemu nie było wolno, bo go o coś podejrzewano, a inny miał ledwie czterdzieści dolarów, więc chciał kupić chociaż radio. Japończycy wyrywali je przy nas i nie mogli wyrwać. W końcu machnęli ręką – za czterdzieści dolarów sprzedali mu samochód z radiem.

Rosjanie wsadzili auta na statek. Przymocowane linami stały wszędzie – w basenie, w jadalni, w każdym korytarzu. Między Japonią i Nachodką rozpętała się burza i samochody suwały się po pokładzie. Gdy cudem dopłynęliśmy do celu, w porcie przywitała nas potworna ilość milicjantów. Wyszło na jaw, że te auta miała przechwycić mafia radziecka. Milicja wszystkich zgarnęła. I tak zakończyła się moja wielka morska przygoda.

NA WIELKANOC 2013 roku, w zawiei śnieżnej, pojechałam z suczką Ami do Radziejowic. To wspaniałe miejsce do odpoczynku, ale i do każdej twórczości, jest tam tak jakby sto lat temu – pałac, modrzewiowy dworek, jezioro. Z Kubą byliśmy tam wiele razy. Teraz zawiozłam do Radziejowic cenny woreczek z listami Kuby do mnie i moimi do Kuby z lat sześćdziesiątych. Najczęściej Warszawa – Paryż, Paryż – Warszawa. Bywało, że w tych listach się awanturowaliśmy – a wszystko przez nieudane telefony. Dzisiaj, w dobie telefonów komórkowych, trudno zrozumieć, co to znaczy nie mieć żadnej łączności z bliskimi czasem przez wiele, wiele dni. A wyglądało to tak: najpierw pisałam list do Kuby, którego dnia, o której godzinie będę pod telefonem, a potem, najczęściej po tygodniu, siedziałam przy tym telefonie i czekałam. Czasem parę godzin. Jak czekałam bez skutku, to pisałam list, oburzona na Kubę, że zrywam z nim, bo nawet mu się nie chce czekać na dźwięk mojego głosu. Wtedy z reguły po tygodniu otrzymywałam list od wściekłego Kuby, że czekał na połączenie pięć godzin, a mnie już nie było.

Te nasze listy znalazłam dziwnym trafem w starych szpargałach na strychu. Jak czytałam, a trwało to trzy dni, świat mi zawirował. Jego listy tak szczere w miłości do mnie, tak rozczulające w pierwszych latach naszego związku. Potem już nie ma listów, bo najczęściej wyjeżdżaliśmy razem. Na festiwale, święta w tropikach, stypendium Kuby w Ameryce.

Czy może być coś wspanialszego, niż czytać po pięćdziesięciu latach: „Miła, cudna, droga, kochana. Tęsknię bardzo". Och, jak bym chciała wrócić do tamtych lat. Wiele bym dała, żeby tylko móc przeżyć to wszystko od początku...

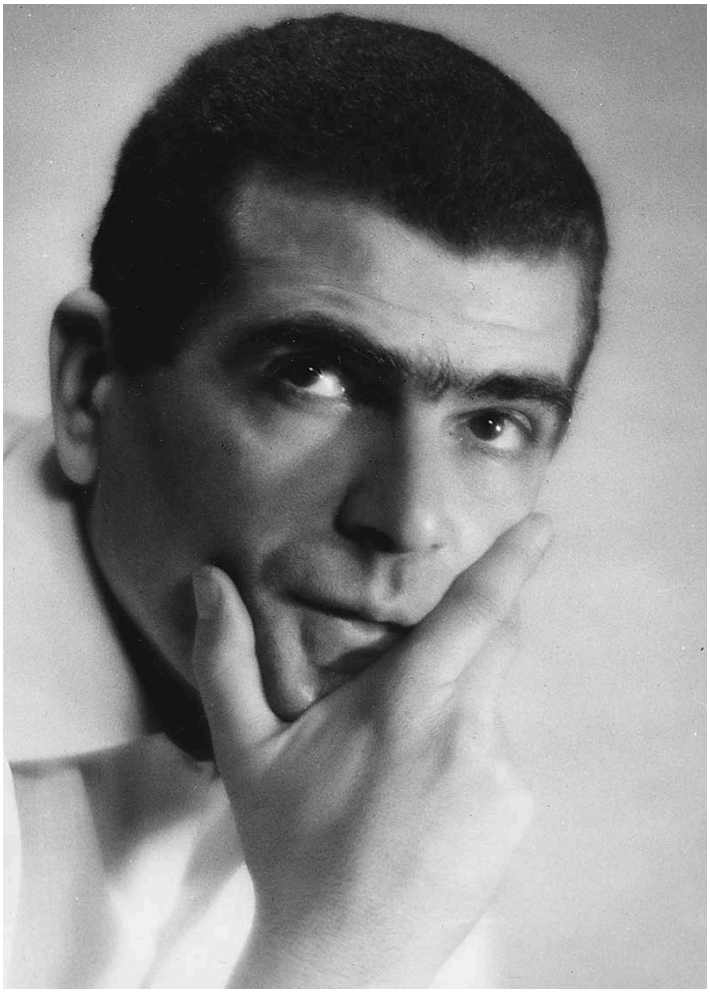

CZYTAM DZIŚ:

„Krystyno, jesteś mi potrzebna. Sama nie zdajesz sobie sprawy jak strasznie, bardzo. Właśnie wtedy, kiedy się z tobą rozstaję, wyraźniej to sobie uzmysławiam. Jak myślę o tobie, to tak, jakbym z tobą był".

No i teraz tak samo myślę ja o rozłące z Kubą. Jak myślę o nim, to czuję, jakby dalej był ze mną. No i jest ze mną.

DZIĘKI FRANCUSKIM znajomym, producentom i dziennikarzom, których poznałam przez producenta Pierre'a Roustanga, zagrałam nawet trzy epizody w filmach fabularnych. Najwięcej szumu w polskiej prasie wywołała moja wypowiedź do „Paris Jour" podczas zdjęć do filmu *Un cheval pour deux* (1962). Powiedziałam zgodnie z prawdą, że oglądam w Polsce wszystkie filmy zagraniczne, nawet te, które nie są na ekranach. Dziennikarz podkręcił to zdanie, żeby było ciekawiej, wyszło „nawet te filmy, które są w Polsce zabronione". Co się potem działo! SB wezwała Kubę na przesłuchanie. Mnie do Ambasady Polskiej w Paryżu. Kuba był wściekły. Po pierwsze dlatego, że w Polsce nie dawali mu po tej mojej wypowiedzi spokoju. A po drugie, że nabrał podejrzeń, iż zamierzam zostać w Paryżu na stałe, że tą wypowiedzią świadomie odcięłam się od Polski.

KUBA DO MNIE

„Proszę cię o natychmiastową odpowiedź, czy chcesz tam zostać? Ja wszystkim, naturalnie, tłumaczę, że ty tak nie mogłaś powiedzieć, i na szczęście dowiedziałem się, że podobno w partyjnym «Biuletynie» po zacytowaniu twoich wypowiedzi jest komentarz stwierdzający, że to wcale nie jest pewne, że to jest rzeczywiście twoja wypowiedź"

– pisał 5 maja 1964 roku.

JA W ODPOWIEDZI:

„Kuba, dopiero w tej chwili ze Zbyszkiem przetłumaczyliśmy to zdanie, trudne, ale bardzo złe. Fatalnie. Ja nic nie powiedziałam absolutnie, co miałoby akcent polityczny. Jedziemy teraz ze Zbyszkiem do ambasady. Naradzimy się, jak to

sprostować. Słuchaj, ja zobaczyłam już gotowy artykuł w kioskach. To okropne – tu za ciebie piszą i myślą. Wszystko dla reklamy pisma. Jeśli chodzi o film niemiecki, zrezygnowałam już, pomimo że do tej chwili jestem dość poważną kandydatką. Teraz jeśli chodzi o film *Un cheval…*, to źle zrozumiałam – na pewno dostanę dużo więcej pieniędzy. Nie mogą mi teraz podać ceny, bo do chwili pierwszego dnia zdjęć nie mam z nimi kontraktu. Wczoraj w tym filmie z Lilli Palmer zrobili mi tylko jeden duży portret w ciągu godziny i dostałam 6 tysięcy starych franków! Dziś z powodu twojego telefonu zrezygnowałam z kolejnych 6 tysięcy w tym filmie, tak bardzo chciałam z tobą rozmawiać. Najbardziej znane biuro prasowe zrobiło mi mnóstwo zdjęć. Zaraz tam dzwonię, aby nic nie publikowali bez mojej wiedzy. Kuba, powiedz, jeśli możesz, zresztą to nic nie pomoże, że usiłuję sprostować ten artykuł, który jest absolutnym kłamstwem".

BYŁO jeszcze gorzej, kiedy miałam zagrać w niemieckim filmie Niemkę, która ucieka przez mur do Berlina Zachodniego. Tego już było za dużo. Kiedy wróciłam do Warszawy, przez kilka lat ciągano mnie na SB i pod różnymi presjami „zachęcano" do współpracy. Jakoś udało się wyjść z tego obronną ręką. Potwierdziło się to zresztą kilka lat temu, kiedy dziennikarz „Newsweeka", bez mojej wiedzy zresztą, opublikował zawartość mojej teczki. Wyszedł z tego w sumie bardzo sympatyczny artykuł pt. *Stawka większa niż małżeństwo*. [„Newsweek" 15.07.2011]

I ZNÓW jadę pociągiem, ale jakim! Trans-Europ-Express. W życiu nie śniłam o takim pociągu! Pięć wagonów, właściwie pięć pokoi, wszystko w srebrnej masie perłowej, fotele z czerwonej skóry.

JA DO KUBY

„Nie mogłam dłużej być w Hadze. Mam w nosie cały luksus, którym mnie otoczyli moi przyjaciele. Nie byłam tam szczęśliwa, uważałam, że muszę wyjechać. Kupili mi bilet na ten pociąg. Boże, co za nonsens. Za te pieniądze mogłam przez tydzień żyć w Paryżu. Kelner zastawił przede mną stół z niesamowitymi przysmakami. Wierzę, że to już zapłacone! Po drodze zorientowałam się, że nie mam wizy powrotnej z Holandii do Francji. Do głowy mi nie przyszło wtedy, że trzeba załatwić nową wizę. Holenderscy funkcjonariusze byli tak rozczuleni moim brakiem wiedzy wizowej, że zabrali mnie z tego luksusowego wagonu i ukryli w parowozie. Tak dojechałam do Paryża. Dowiedziałam się od Anuli Czapnik, że wyjeżdża i mogę jej pokój odkupić bardzo tanio. Może jeszcze przed moim wyjazdem do Polski. Powiem ci przez telefon".

„Dziś byłam na wernisażu Lebensteina. Sukces Lebensteina absolutny! Spotkałam mnóstwo Polaków, zresztą są wszędzie. W Deux Magots wszyscy się czują jak w SPATiF-ie i nie ma już miejsca dla Francuzów".

„Jeździmy z przyjaciółmi Roustanga do najbardziej ekskluzywnych klubów, SPATiF-ów, kabaretów itd. Mnóstwo filmów oglądam. Wczoraj byłam nawet w cyrku!"

„W tej chwili w ciągu dnia prowadzę dwa życia. Wstaję o 7.30 i jadę daleko metrem, aby zarobić te marne franki. Pracę mam trudną, gdyż robię dużo zadań architektonicznych. Dosyć poważnych technicznie. Nigdy nie przypuszczałam, że będę to umiała. Po pewnym czasie zarabiałabym tu bardzo dużo. Mam propozycję już do tworzącej się pracowni architektonicznej.

Drugie życie, które zresztą jest dosyć męczące, koktajle, bankiety, premiery, dziennikarze (to męczący naród tutaj). Wczoraj była premiera z Michèle Morgan. Dla reklamy kilka aktorek chodziło w biżuterii za kilka milionów – tylko na premierę – i trzystu policjantów! Po raz pierwszy widziałam taki przepych – kobiety w autentycznych sukienkach od Diora, które wiły się za nimi kilka metrów. Sala wyperfumowana, a sufit zmieniał kolor co kilka minut. Parę dni temu byłam na koktajlu, gdzie poznałam Godarda i Annę Karinę. Byłam zadowolona, że ciebie nie było, bo ona ci się podoba! Wjechała na salę na osiołku, który chwilę potem zanieczyścił lokal i wszyscy musieli wyjść. Na innym znów koktajlu, w wielkiej restauracji, drugiej po Maximie, podali tak okropne dania, że nic nie mogłam zjeść, co było wielkim nietaktem. Wszystkie inne ciekawostki opowiem ci na miejscu, bo za długo pisać. Na polecenie Roustanga zrobili mi mnóstwo zdjęć, rzeczywiście świetnych. Nigdy nie przypuszczałam, że mogą być tak korzystne. Na nowo stanął przede mną problem filmu niemieckiego. Jeszcze nie mają dziewczyny. Kandydatkami są: Jean Seberg, Marie Laforêt, jeszcze ktoś, no i moja osoba. W całej tej sytuacji mogę mieć chociaż satysfakcję z kandydatury, bo gdyby nawet na pewno zdecydowali się na mnie [chodzi o niemiecki film, w którym bohaterka, ewentualnie grana przeze mnie, przekracza mur berliński], są długie debaty, to przyjęcie tej roli jest

dosyć niebezpieczne dla mnie. Za tydzień jest artykuł o mnie w «L'Humanité»".

12 LIPCA 1960 ROKU

„Jestem studentką Alliance. Cóż za wieża Babel – cały świat młodzieży. Genialna atmosfera. Kupiłam mnóstwo rzeczy – jaka ładna jest twoja dziewczyna w tych nowych ciuchach. Kupuję wszystko tanio, na soldach w najtańszych magazynach, niektóre nawet jako dziecięce rzeczy! Mam przepiękne buty, białe, ze srebrną klamrą, śliczne spódniczki i sweterki. A tobie kupię sweterek, koszulę już mam na oku i spodnie.

Pamiętaj, że kocham, Krystyna".

KUBA DO MNIE

„Dzisiaj odwiedził mnie, zresztą niespodziewanie, Szczepański, ten od *Butów*. Przyjechał specjalnie, w rozmowie doszliśmy do pełnego porozumienia. Martwi nas tylko sprawa własowców, bo to jest problem tabu dla Związku Radzieckiego. W żadnym filmie ani książce o tym się nie mówi. Przetransponowanie tego na inną narodowość przysporzy nam mnóstwo kłopotów, a potem i tak nie wiadomo, czy kolegium zatwierdzi. [...] Andrzej Wajda w sposób oficjalny, w obecności Kutza i Konwickiego, przyjął do wiadomości, że ja będę robił *Troje dzieci* i *Buty*. Bez zastrzeżeń. Odwrotnie – powiedział, że uważa to za świetny materiał na debiut. Złożyło się o tyle szczęśliwie, że on się dogadał ze Słonimskim i mają robić scenariusz z *Przedwiośnia*. Pracy mamy mnóstwo, ale pracuje mi się trochę lepiej, gdyż każdy dzień zbliża mój wyjazd stąd".

Kuba jako drugi reżyser robił wtedy *Lotną*.

„Ja na rozłąkę reaguję trochę inaczej niż ty. Odległość sprawia, że zdobywam się na syntezę. Przeżywam wszystko jeszcze raz, odrzucając to, co nieważne. Przeżywam wszystko ostrzej. Tak jak ktoś, na przykład, kto chce obserwować rozmawiających ludzi, nie powinien sam brać udziału w dyskusji. Krystyno, jesteś mi bardzo potrzebna. Sama nie zdajesz sobie sprawy jak strasznie, bardzo. Wtedy, kiedy się z tobą rozstaję, wyraźniej to sobie uzmysławiam. Moja cudna Krystyno, jak myślę o tobie, to tak, jakbym z tobą był, a jestem z tobą zawsze".

CZYTAM i czytam te piękne listy, które piszemy do siebie. Ale jeden jest dla mnie niespodzianką. Bo to nie moje pismo. Otwieram, czytam długi list pełen miłości od wtedy bardzo znanej aktorki, rzeczywiście bardzo ładnej, w typie Kuby. Rok 1960, maj. Minęło ponad pięćdziesiąt lat.

„Chciałabym, abyś wiedział, że jest mi bez ciebie bardzo źle, że bardzo tęsknię i nie mogę się pozbyć nadziei, że stosunki między nami się poprawią, wiedząc jednocześnie, że jest to zupełnie niedorzeczne".

No, to już lepiej, pomyślałam.

„Każdy telefon budzi we mnie myśl, że to ty, i umyślnie nie podnoszę od razu słuchawki,

żeby odwlec chwilę rozczarowania. Widzisz, jest taka prawda, że ktoś, kto kocha, nigdy łatwo nie rezygnuje".

No coś wiem na ten temat.

„Przecież nie można zmusić człowieka do jakiegokolwiek uczucia".

I tu się ucieszyłam, bo ja go zmuszać nie musiałam.

„Jest mi tak bardzo ciebie brak, że chciałam chociaż przez list być przez chwilę z tobą".

UFFF, w tym momencie rozgrzeszyłam siebie z wszystkich grzechów moich.

Czy Kuba był krystalicznie czysty i niewinny, jeśli chodzi o stosunki damsko-męskie? Miał duże powodzenie u kobiet, nie tylko dlatego że był przystojny, ale też był reżyserem. Aktorki rzucały się na niego nawet na moich oczach. Wiedziałam, która dziewczyna musi mu się spodobać – kobiece blondynki, uśmiechnięte, ciepłe. Kiedy wchodziliśmy gdzieś na przyjęcie, bal, kolację – potrafiłam ją wypatrzyć na długo przedtem, zanim on się zorientował. Mężczyzna, jeżeli nie wie, że w każdej chwili może stracić kobietę, to nie zdaje sobie nawet sprawy z tego, czy kocha, czy nie. W związku z tym ryzykowałam i też często wyjeżdżałam. Ale przede wszystkim Kuba często wyjeżdżał, bo kręcił filmy w innych miastach, a ja miałam wyjazdy, czasem bardzo dalekie, ale starałam się nie kręcić. A jak się kocha...

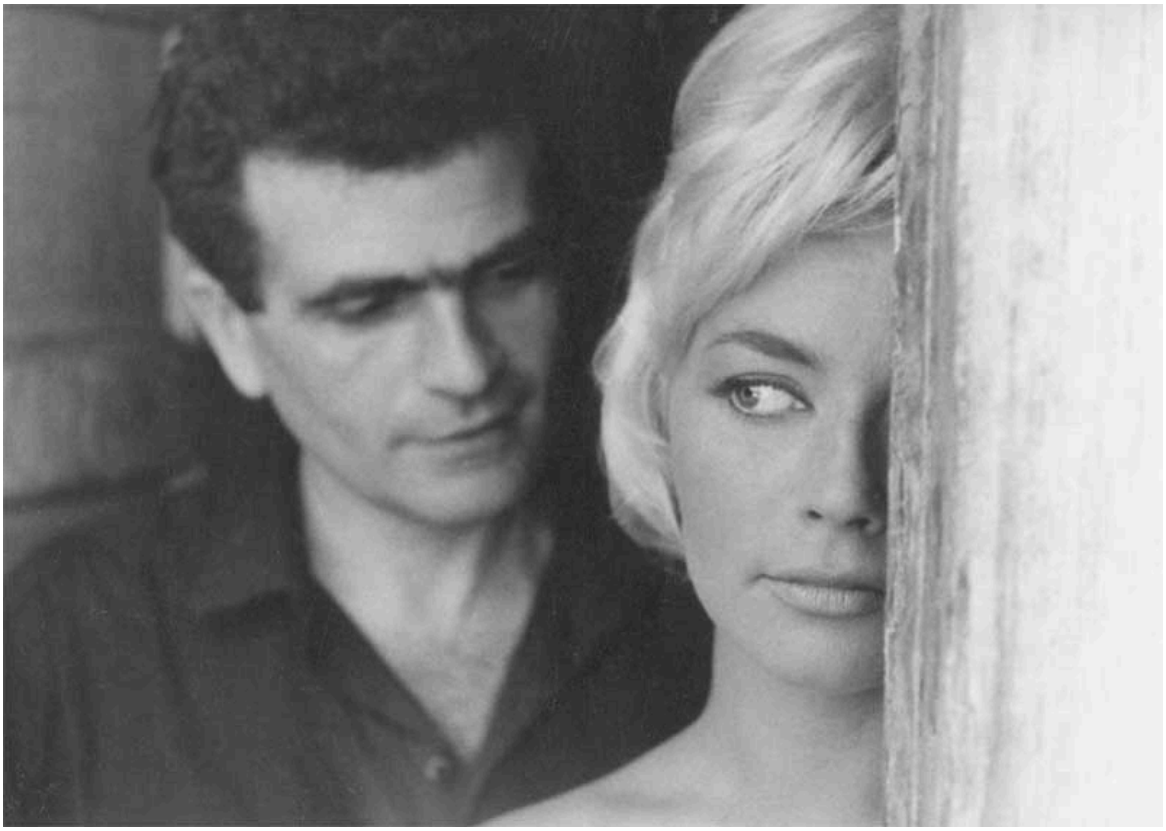

...I PRZYSZEDŁ CZAS WSPÓLNEGO MIESZKANIA

GDY KUBA miał zdjęcia w Warszawie, codziennie wracałam do domu późno w nocy, w końcu moja mama straciła cierpliwość i pozwoliła mi zamieszkać razem z Kubą. A właściwie z Kubą i królewskim pudlem, którego dostał od konsula francuskiego podczas kręcenia *Do widzenia, do jutra*. Kuba wynajął pokoik 2 metry na 3 na MDM-ie. Byłam zachwycona. Mieliśmy kozetkę na nas dwoje, mały stoliczek i jedno krzesło. Jak czasem nagle otwierałam drzwi, to widziałam całą rodzinę robotniczą, która tam stała wystraszona, bo podsłuchiwała. Mieszkaliśmy w trójkę w tej dziupli – razem z naszym pudlem Babouche'em. Po paru miesiącach znaleźliśmy dla niego wspaniałą rodzinę zastępczą. Kuba szaleńczo szukał następnego dobrego scenariusza, a komisja wszystkie mu je po kolei odrzucała. Trzymam teraz te niezrealizowane marzenia Kuby w dużej szafie, mają zapach pięćdziesięciu lub czterdziestu lat czekania. Kiedyś w radiu tak opowiadał o tych swoich niełatwych początkach:

KUBA MORGENSTERN:

„Zaczęło się nie tak prosto, bo w tamtych czasach nie było tak jak teraz, że można od razu robić film fabularny długometrażowy.

Należało skończyć szkołę i naprzód asystować. Ja miałem to szczęście, że asystowałem Kawalerowiczowi przy jednym filmie i przy trzech filmach Wajdzie, to znaczy i przy *Kanale*, i przy *Popiele i diamencie*, i przy *Lotnej*. Były natomiast problemy z debiutem. Stosunkowo późno debiutowałem. Wynikało to z tego, że pierwsze scenariusze, jakie miałem, zostały odrzucone.

Gdzieś byłem bardzo bliski tego, co nazywamy szkołą polską, tego nurtu, tych filmów jak *Popiół i diament, Kanał* i tak dalej. Niemniej jednak pierwszy scenariusz, jaki złożyłem, na podstawie opowiadania Jana Józefa Szczepańskiego, został odrzucony. Jego akcja działa się w czasie okupacji, to była historia oddziału AK-owskiego w lesie. Bardzo żałowałem i wszyscy, którzy znają to opowiadanie, też uważają, że to była wielka szansa na wspaniały film, niestety komisja go odrzuciła. Później drugi film, który mieliśmy zrobić razem z grupą kolegów, miał być o powstaniu warszawskim, też się to nie udało. Później odwróciłem się od tej wielkiej tematyki i postanowiłem zrealizować coś, co jest nam bliskie, ze swojego środowiska. Dlatego filmy, które do tej pory zrobiłem, dotyczą wielkich momentów narodu, jak *Kolumbowie, Życie raz jeszcze*, a z drugiej strony filmy, które były odbiciem własnego środowiska, tego, co najlepiej się znało, dzisiejszej sytuacji. To już było to, czego nam dzisiaj najbardziej brakuje w kinie. Nieraz mnie pytają, dlaczego teraz nie zrobię filmu, który byłby tak bliski, tak tyczył nas wszystkich dokoła. I stąd się wziął film *Do widzenia, do jutra*. To było o środowisku, które najlepiej znałem, z którym przebywałem, to było środowisko Bim-Bomu, środowisko wszystkich tych

teatrzyków studenckich z tamtego okresu. Myśmy tym żyli, wiedzieliśmy o tym najlepiej. Zbiorczo został napisany scenariusz i później znowu, tak jak zwykle u mnie, poza Zbyszkiem Cybulskim wszyscy byli amatorami, nie było zawodowych aktorów. Nie odczuwało się tego, że się pracuje z amatorami, niektórzy absolutnie zdawali egzamin na piątkę.

Mnie zależało na tym, żeby to było bliskie, żeby pokazać prawdziwych ludzi tego środowiska".

CAŁKIEM niedawno, podczas porządków, zorientowałam się, ile w naszych szafach kryje się niezrealizowanych scenariuszy. Kuba zawsze mówił, że zrobi w tych papierach porządek, jak przejdzie na emeryturę. Ale nigdy na emeryturze nie był, pracował do końca życia. Teraz, przeglądając te scenariusze, widzę, jak inną rangę miałby jako reżyser, gdyby udało mu się chociaż część z nich zrealizować. Kuba kilka razy w życiu minął się w kinie z wielkimi tematami.

Skończył szkołę filmową w 1954 roku, cztery lata po Munku i rok po Wajdzie, to byli jego starsi – w sensie zawodowym – koledzy. Uważał, że wiedzą i potrafią więcej niż on. Poza tym był ogromnie skromnym człowiekiem, twierdził, że ocenia swoje siły na możliwości, ale tak naprawdę to mam wrażenie, że nie doceniał do końca swojego talentu. Zawsze był bardzo krytyczny w stosunku do swoich filmów. Wtedy wkraczałam ja i mówiłam: „Przesadzasz. Nie masz racji". Nie miał też śmiałości, pędu do kariery czy bezczelności. Czy to była wada, czy zaleta? I jedno, i drugie. Każdy, kto znał Kubę, wie, że on nigdy nikomu nie zrobił żadnego świństwa. To zaleta. Ale w zawodzie nie poszedł jak burza. To wada.

NIEWIELE osób już dziś pamięta, że pokolenie Kuby zaczynało tak zwaną nową ścieżkę muzyki filmowej. Na kształt filmów duży wpływ miało… życie towarzyskie. Byliśmy młodzi, bywaliśmy wszędzie, znaliśmy

wszystkich. Zacieśniały się też nasze kontakty z muzykami, tymi, co grali jazz, a to było nowe. Zaprzyjaźniliśmy się z trzema. Pierwszy Komeda, drugi Matuszkiewicz, trzeci Kurylewicz. Każdy znakomity, każdy inny. Starsi kompozytorzy, niektórzy o wielkich nazwiskach, już nie odpowiadali pokoleniu Kuby. Jak to mówił: „My wąchamy inne czasy".

Z Komedą zrobili *Do widzenia, do jutra* i wspominany już, bardzo znany za granicą, krótkometrażowy *Ambulans* oraz *Jutro premiera*.

Kuba na planie *Stawki większej niż życie* ze Stanisławem Mikulskim, koniec lat sześćdziesiątych XX w.

KRZYSZTOFA KOMEDĘ zapamiętałam jako bardzo skromnego, cichego, kulturalnego młodzieńca. W miarę upływu lat okazało się, jaki talent w nim buzował. Wtedy gdy Kuba go wziął do *Do widzenia, do jutra*, był jeszcze mało znany. Kuba „miał węch" do zdolnych ludzi, i rzeczywiście, muzykę do tego filmu Komeda napisał piękną. Podobnie do *Ambulansu*. To przerażający film, bez jednego słowa, tylko sama akcja

i sama muzyka – ta całość wspaniale działa. Komeda był bardzo skromny, długo więc to trwało, zanim poczuł, że jest naprawdę dobrym kompozytorem. Jest w tym też niemała zasługa zaprzyjaźnionego z nim Romka Polańskiego. Tego, że współpracował z nim przy swoich filmach, takich jak na przykład *Nóż w wodzie*, *Matnia*, *Nieustraszeni pogromcy wampirów*, *Dziecko Rosemary*.

Kuba większość swoich filmów zrobił z DUDUSIEM MATUSZKIEWICZEM, w tym *Jowitę* (1967), *Stawkę większą niż życie* (1967–1968), *Kolumbów* (1970) i *Godzinę „W”* (1979).

Z ANDRZEJEM KURYLEWICZEM związał się najpóźniej. Kiedy przeprowadziliśmy się ze Starówki na Żoliborz, okazało się, że jesteśmy z Andrzejem sąsiadami. To też miało pewnie jakiś wpływ na to, że zaczęli współpracować. Okazją były *Polskie drogi* (1976–1977). Wszyscy pamiętają piękny leitmotiv z tego serialu. Kuba wpadał do Andrzeja, bo on miał fortepian, i razem pracowali. A w trakcie pierwszej emisji serialu w telewizji Kuba wychodził na spacer i słuchał rozlegającej się prawie z każdego okna muzyki Andrzeja. To samo było przy *Stawce większej niż życie* i *Kolumbach*. Wtedy chodził po Rynku i słuchał muzyki Matuszkiewicza.

Współpraca z kompozytorami, relacje z nimi były dla Kuby bardzo ważnym elementem w pracy nad filmem. Przyznawał, że miał w tej materii duże szczęście.

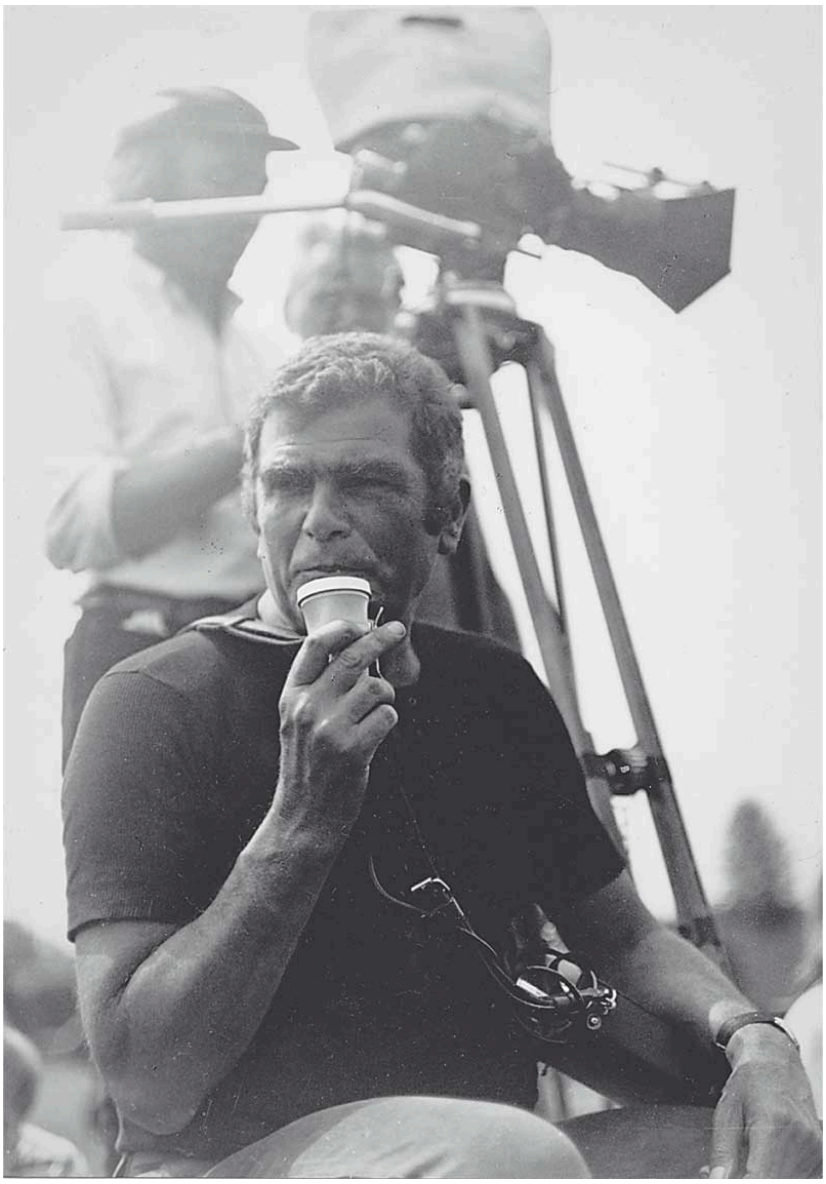

Kuba uwielbiał lody, jadł je nawet w pracy.

KUBA MORGENSTERN:

„Przyznaję się do tego, że miałem częściowe wykształcenie muzyczne,

a po drugie, miałem bardzo określony stosunek do tego, czego oczekuję od kompozytora. Dam przykład, między innymi to było z Komedą, który właściwie mi poddał tę myśl. Jak zaproponowałem mu spotkanie, żeby porozmawiać o muzyce, to on mi powiedział: «No to słuchaj, przyjdź do mnie, ja usiądę do fortepianu i będziemy komponować». I tak się stało. Natomiast co jest ważne: muzyka musi wspomóc akcję, wspomóc bohaterów, musi dać nastrój, atmosferę zrobić, to jest niesłychanie istotne i ważne. Z Komedą mi się to udało. Komeda był niesłychanie twórczy. Niestety, później wyjechał do Stanów, miał ten tragiczny wypadek... i wziąłem innego kompozytora, z którym też mi się wspaniale współpracowało. Tym kompozytorem był najpierw student Szkoły Filmowej... to była pierwsza osoba, którą spotkałem, gdy przyjechałem do Łodzi na egzamin wstępny do Szkoły Filmowej; akurat wszedłem przez hol na górę do sali projekcyjnej, chciałem zobaczyć, jak tam wygląda, a tam jakiś chłopak siedział przy pianinie i grał. A to był Dudek Matuszkiewicz. Jak odwrócił się, powiedziałem: «Nie przeszkadzaj sobie», i dopiero po chwili, jak skończył ten utwór, porozmawialiśmy. Ale już widziałem, że to jest ktoś, z kim będę mógł pracować. Oczywiście, w związku z tym, że myśmy byli dosyć dużym środowiskiem, to te układy towarzyskie też wpływały na to, z kim się pracowało. I między innymi dlatego że byłem bardzo blisko z tą całą grupą jazzową, tą całą grupą muzyków, stąd się wzięli tacy ludzie jak Komeda, Matuszkiewicz i oczywiście Kurylewicz w moich filmach".

MIĘDZY rokiem 1987 i 2000 Kuba nie zrobił żadnego filmu. Bardzo pochłonęła go praca w Zespole Filmowym Perspektywa. Zajęły go cudze filmy. Traktował zespół jak swoją drugą rodzinę. Bardzo dużo czytał – szukał w książkach tematów dla siebie i dla innych.

Bardzo żałuję, że nie doszło do filmowej adaptacji *Płomieni* Brzozowskiego, którą planował zrealizować w latach siedemdziesiątych. Scenariusz pięcioodcinkowego serialu telewizyjnego opartego na tej książce napisał wspólnie z Michałem Komarem. Tych scenariuszy jest zresztą znacznie więcej: *Buty* według Jana Józefa Szczepańskiego, o których wspominał sam Kuba, *Powrót z gwiazd* według Stanisława Lema, serial *Chopin* według Kazimierza Brandysa i wiele, wiele innych. Literatura zawsze go zresztą inspirowała. Po latach powiedział mi, że ta przerwa wynikała też z tego, że nie mógł znaleźć dla siebie tematu. Tematu, który by go zachwycił, zainteresował na tyle, aby samemu stanąć za kamerą. Dopiero *Żółty szalik* Jerzego Pilcha był takim scenariuszem. I znowu powstał film bardziej dla telewizji niż na światowe festiwale. Tak było od początku – *Do widzenia, do jutra* to historia środowiska studenckiego, potem były *Stawka większa niż życie*, *Kolumbowie*, *Polskie drogi*, czyli seriale telewizyjne. Miałam mu trochę za złe, że nie bierze na warsztat tematów, które otworzą jego kino na świat, przyniosą szansę na międzynarodowe nagrody. Było go stać na taki film. Ale nigdy nie słuchał moich rad. Przerywał mi w połowie zdania pytaniem: „Czy ja ci mówię, jak masz tkać gobeliny?!". I miał rację. Rzadko bywałam u niego na planie filmowym, rzadko opowiadał o filmie, który właśnie robi, a jak pytałam, mówił: „Zobaczysz na premierze". I rzeczywiście, o jego kolejnych filmach wiedziałam mało do dnia premiery.

KUBA nigdy nie chciał zrobić filmu o swoich strasznych przeżyciach wojennych. Nie lubił w kinie dosłowności. To było dla niego za trudne, zbyt bolesne. Nie chciał tego z siebie wyrzucić. Zrealizował *Kolumbów*, też film wojenny, ale oparty na cudzych wspomnieniach.

Czego szukał w tematach na filmy? Emocji, uczuć, relacji, ciepła między ludźmi. Bo sam taki był – mężczyzna o najcieplejszym charakterze, jakiego kiedykolwiek znałam. Potrafił oddzielić życie prywatne od zawodowego. Gdy wracał do domu z planu zdjęciowego, mogłam się domyślić, kiedy szło mu lepiej, a kiedy były jakieś trudności, ale nigdy o tym nie mówił, a ja nigdy nie pytałam. Nie chciał, żebym stała mu za plecami, kiedy filmuje, a ja nie życzyłam sobie, żeby stał mi za plecami, kiedy pracuję nad gobelinem. Może dlatego nasz związek przetrwał ponad pięćdziesiąt lat.

CO BYŁO dla niego ważniejsze: praca czy życie? Myślę, że zaraz po szkole filmowej najważniejsza była praca. Pierwsze lata naszego związku to też była taka mantra, że „praca jest dla mnie najważniejsza". Ale wraz z upływem lat, jak stworzyłam mu dom, zaczął życie prywatne cenić na równi z zawodowym.

BYŁAM zaskoczona, gdy podczas Festiwalu Filmowego w Gdyni, na którym prezentowano *Żółty szalik*, przed ogłoszeniem werdyktu podeszli do nas przyjaciele, którzy wchodzili w skład jury, i powiedzieli: „Kuba, nie udało się nam przyznać tobie żadnej nagrody". Byliśmy trochę rozczarowani, Kubie było przykro. Ale okazało się, że *Żółty szalik* dostał nagrodę publiczności, tak długo widzowie klaskali po projekcji. I dziś właśnie film Kuby najczęściej powraca w telewizji, a nie nagrodzone wtedy tytuły.

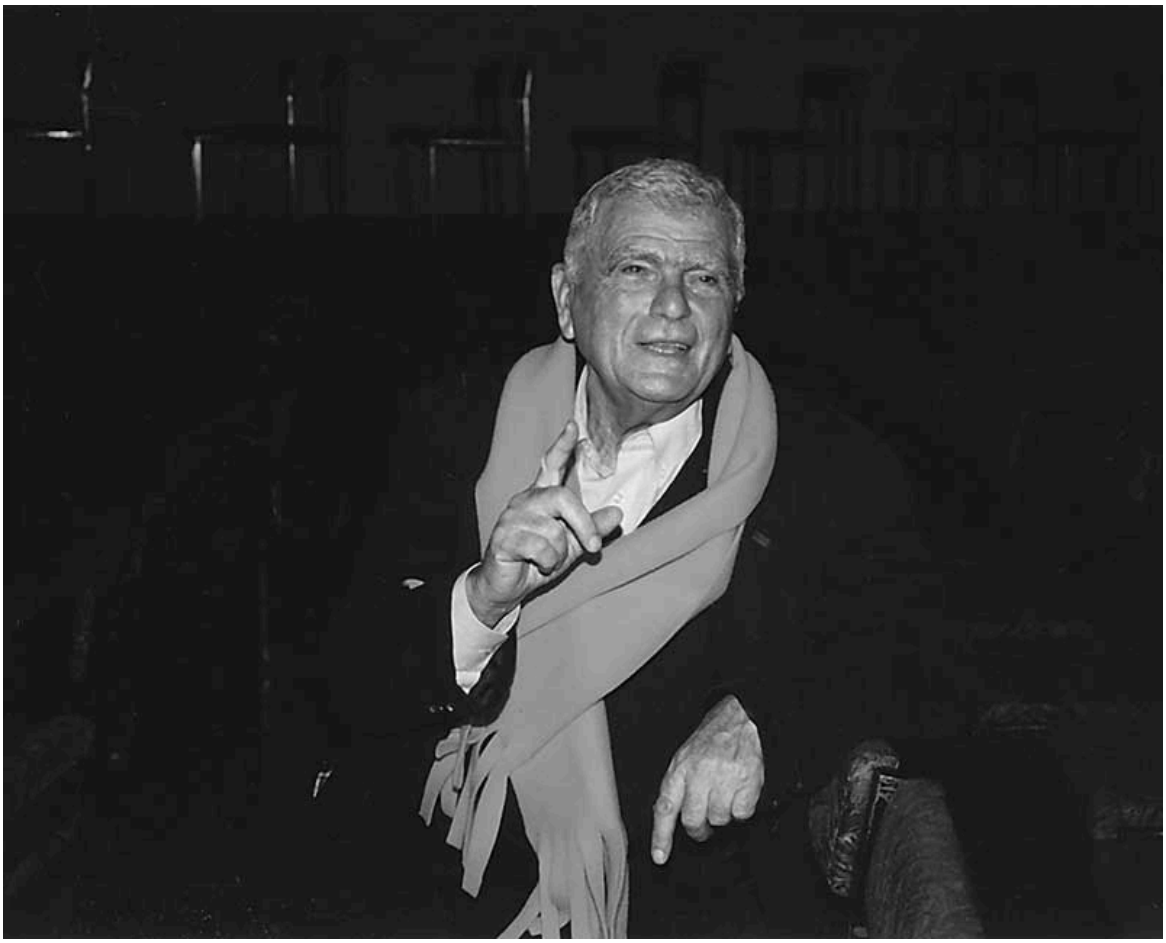

Kuba na premierze *Żółtego szalika*, 2000.

Nie miał szczęścia do nagród. Mam wrażenie, że środowisko filmowe go nie doceniało. Dopiero pod koniec życia, w 2010 roku, dostał Platynowe Lwy za całokształt twórczości. Bardzo się z tej nagrody cieszył. Planował kolejny film, widziałam, że coś pisze, jak zwykle powiedział mi zresztą, że zobaczę to na premierze. Choroba przyszła nagle, niespodziewanie. Zaskoczyła nas oboje.

JAK BYLIŚMY te pięćdziesiąt parę lat z Kubą, to podejmowaliśmy zawsze wspólne szybkie decyzje. Takie codzienne. Nie było czasu ani powodu, żeby się nad sobą zastanawiać. Teraz sama muszę decydować o wielu sprawach,

które rozwiązywaliśmy wspólnie albo którymi zajmował się Kuba, wpadam w depresję, cierpię, w końcu połykam tabletkę i jest lepiej. Kiedy spotykam się z ludźmi, słyszę często: „Ale ty jesteś silna". Nie wiem zupełnie, co to znaczy dla mnie. I co w ich pojęciu to znaczy. Czy to jest to samo słowo? Czy kiedy mówią: „O! Jak dobrze wyglądasz!", to jest to komplement, czy raczej złośliwa uwaga, bo po śmierci ukochanego męża wyglądać się powinno źle. Kim teraz jestem? Czy można cierpieć bardziej?

W Gdyni podczas festiwalu, na którym Kuba odebrał Platynowe Lwy, 2010.

W życiu z Kubą było inaczej. To on odpowiadał na pytanie, jaka jestem. Jak był ze mnie niezadowolony, pytałam siebie, ile jest w tym racji. Często wydawało mi się, że jest zbyt krytyczny. Mówiłam: „Chyba żartujesz?! Trudno być lepszą żoną ode mnie!". Bo dbałam o niego. A on mi na to: „Tak uważasz? To popatrz na inne żony". „Aha?! Nazwiska poproszę". I wtedy zmieniał temat, bo po prostu nie potrafił ich

wymienić. Codziennie musiała być zupa, i była. Najlepiej codziennie inna, ale wczorajsza była lepsza.

ZUPA À LA CIERNIAK

I niech mi ktoś powie, że zupa à la Cierniak jest niesmaczna. Otóż: na gorącą wodę wrzucam kostkę Knorra, rosół z kury, lub mam akurat prawdziwy rosół. Potem dodaję 3–4 pokrojone cebule, wolę te białe, ząbek lub dwa czosnku, wyciśnięte, ze 3 kartofle pokrojone w talarki, na końcu serek topiony śmietankowy, kremowy. No i bardzo ważne, trzeba dość dużo posypać kminkiem. No i smacznego.

A KUBA, jedząc tę swoją ulubioną zupę, mówił: „Dlaczego nie robisz wystawy?!". Tak, czułam z tego powodu do siebie żal – potęgowany zresztą przez Kubę. Gdybym zajęła się moją pracą naprawdę, musiałabym się jej poświęcić bez reszty, tak jak on. Zupy by nie było. Domu by nie było. Tak, o te jego pretensje miałam do niego żal. I ostatnio, już po śmierci Kuby, wpadł mi w ręce jakiś wywiad z nim. Przeczytałam: „Dla mnie najważniejsza jest moja praca i moja żona, która mi stworzyła dom". Byłam szczęśliwa i smutna jednocześnie, bo mnie nigdy tego nie powiedział. Uważał, że nie można mnie rozpaskudzać. Zresztą moja mama też mnie nigdy nie pochwaliła, żeby mnie nie rozpaskudzić.

Pamiętam, jak miałam kiedyś w Inowrocławiu wystawę moich gobelinów. Kuratorki nie bardzo się pewnie znały na tym, nie wiedziały, co w tym gatunku sztuki jest dobre, a co nie. Na wystawę poszła oczywiście moja mama i tylko powtarzała: „No nie, to kiepskie. Ja w domu mam lepsze". Była strasznie krytyczna i wymagająca. Nigdy nie okazała, że jest dumna ze mnie czy z Kuby.

Wychodzi na to, że od dzieciństwa żyłam w poczuciu niedocenienia. I starałam się na wyrost zaspokoić cudze oczekiwania.

SZYBKO porzuciłam własne projekty, bo najważniejsze były projekty Kuby, kolejne filmy. Poza tym życie biegło nam tak fajnie, tak szybko, że nie potrzebowałam nic więcej. Potem Kuba zaczął chorować i najważniejsze stało się jego zdrowie. Nie mieliśmy dzieci. Małżeństwa dzielą się na te, co mają dzieci, i na te, co ich nie mają. To są dwa różne spojrzenia na małżeństwo. Gdy pojawiał się temat dziecka, Kuba robił wrażenie bardzo wystraszonego i mówił: „Nigdy nie chciałbym, aby moje dziecko spotkało tyle cierpienia co mnie". Ale kiedy nie ma się dzieci, bliskość między małżonkami jest olbrzymia. Kiedy Kuba zachorował, zajmowałam się nim z takim samym oddaniem, jakbym zajmowała się ukochanym dzieckiem. Bo chory jest jak dziecko.

W naszym domu na Żoliborzu, z psem Kajtkiem, lata siedemdziesiąte XX w.

Całe życie widziałam siebie w jego oczach. Muszę teraz odpowiedzieć sobie na pytanie, co ja tak naprawdę umiem, czego chcę, co lubię. Zdarza mi się na przykład ostatnio przemawiać na różnych uroczystościach poświęconych Kubie – do głowy by mu nie przyszło, że potrafię to zrobić składnie i z sensem! On nigdy nie wpuściłby mnie w swoim imieniu na scenę, zresztą ja sama bym na scenę przy nim nie weszła, bobym się bała, że nie podołam.

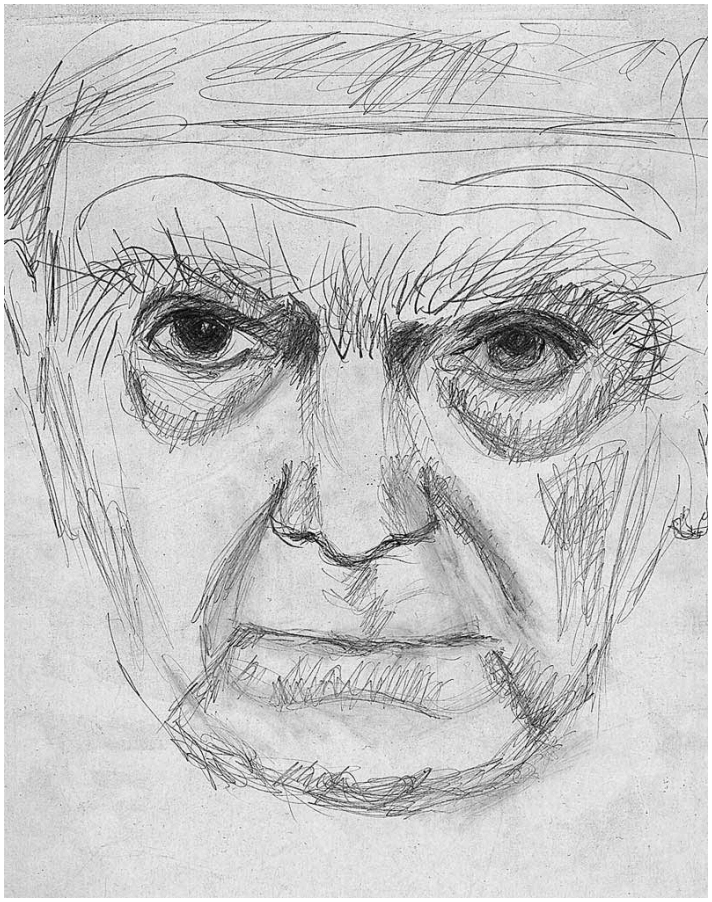

Próbowałam go naszkicować, jego oczy…

Najgorsze jest to, że nie wiem, ile lat jest przede mną. Jak byliśmy w dwójkę, to ten problem nie istniał. Teraz, kiedy jestem sama, a w moim życiu pojawiło się mnóstwo nowych projektów, jak choćby ta książka, zastanawiam się, czy wystarczy mi czasu na realizację tego wszystkiego. Zdecydowałam, że będę wychodziła z domu, że będę spotykała się z ludźmi, bo sama w domu oszaleję.

JESTEM zodiakalnym Baranem. Pierwszy dzień Barana, pierwszy dzień wiosny. Świat dla mnie jest cudowny, zachwycający. Przeglądając stare papiery w poszukiwaniu tematów do tej książki, znalazłam kartkę z pamiętnika. 21 marca 1954 roku: „Na pytanie zadane w jednej z powieści napisanej przez laureata Nagrody Nobla «co to jest miłość?» tenże autor odpowiada «miłość to jest szczęście». W tej chwili jestem gorącą zwolenniczką tego twierdzenia. Och, jak jestem szczęśliwa. Miałabym ochotę stanąć na najwyższym wzniesieniu ziemskim i z całym optymizmem i wigorem młodości objąć wszystko, co mnie otacza, krzycząc: «Życie jest piękne, życie jest cudne!»". No, dziewczyna przed maturą. Tu wychodzi cały mój charakter. Ależ pięknie widziałam ten świat. I to mi zostało! I to nie jest złe.

Przyjęcie w naszym ogrodzie, początek lat dwutysięcznych. W tle my sprzed kilkudziesięciu lat.

ARTYSTYCZNA CODZIENNOŚĆ

NASZE artystyczne środowisko żyło chaotycznym życiem, co nie znaczy, że pracowaliśmy mało. Był czas pracy i czas zabawy. Kiedy Kuba miał zdjęcia do filmu – znikał na kilka miesięcy, kompletnie poświęcał się pracy. I podobnie każdy inny reżyser, aktor, pisarz. Gdy patrzyło się na nas z boku, wydawać by się mogło, że życie płynie nam lekko, a kasa spada z nieba. Tymczasem były to najwspanialsze lata w twórczości wielu naszych dziś wybitnych przyjaciół, o których czyta się już w encyklopediach. Ja też najwięcej gobelinów stworzyłam właśnie w tym czasie. Cztery z nich kupiło do swoich zbiorów Muzeum Narodowe w Warszawie.

Był PRL, biednie i niewesoło, a czasem strasznie. Ale my przeżyliśmy wojnę, dla nas wszystko, co potem, było już tylko lepsze. Większość z nas nie miała jeszcze wtedy mieszkania, a ci, co mieli, to najwyżej kawalerkę. Żeby się spotkać, trzeba było wyjść na miasto. A gdzie? Obiad u Literatów od 13.00 do 14.00. Kolacja w SPATiF-ie, od 20.00 aż do północy. Wszystko wtedy kosztowało kilka złotych, każdego było stać.

OBIAD U LITERATÓW

Przychodziły tam na obiad pięknie wystrojone przedwojenne panie. W kapeluszach, rękawiczkach – jak przed wojną. Podobał mi się ich świat.

A obok całymi latami jedli tam również obiady Danuta i Tadeusz Konwiccy, Zosia i Andrzej Łapiccy, Holoubek, Szpilman, Janusz Głowacki i wszyscy najlepsi pisarze tamtych czasów. Jak o tym mówię, mam wrażenie, że widzę ich wszystkich przy stole. Tyle że większość z nich już poumierała.

Kuba z Januszem Głowackim podczas pisania scenariusza do *Trzeba zabić tę miłość,* początek lat siedemdziesiątych XX w.

Każde pokolenie ma swoje plusy. Z podziwem patrzę, jak to młode, wchodzące teraz w życie, zna się na wszelkich nowinkach technologicznych i wie, czego chce, i idzie do przodu. Moje pokolenie było bardziej abstrakcyjne. W głowie mieliśmy pstro. Dzisiaj ludzie w towarzystwie nie są już tacy zabawni. Gadają dużo i nudno, a ja słucham i zastanawiam się, czy będzie puenta. Z reguły nie ma. Co innego wtedy.

Obiad jedliśmy u Literatów w sali na dole, tam królowała kelnerka pani Jadzia.

Potem szliśmy na górę – tam się piło kawę i jadło ciastka. Jak widziałyśmy z koleżankami, że Janusz Głowacki wszedł do Literatów, to chowałyśmy się za kotarą, żeby go podglądać: w korytarzu było lustro i Głowa zawsze zatrzymywał się przed tym lustrem, czesał ładnie włosy – a miał wtedy bujną czuprynę – ustawiał sobie pięknie kołnierzyk

i wtedy dopiero wchodził jak król na salę. A za nim najczęściej wchodził nieco pijany Himilsbach, który wzbudzał popłoch, bo wiadomo było, że trzeba mu dać pieniądze na wódkę. Po kolei podchodził do każdego stolika, a każdemu coś mógł wytknąć. Wszyscy umierali ze strachu przed tym, co od niego usłyszą, i dlatego natychmiast wyskakiwali z kasą. Himilsbach to była jedna z najbardziej barwnych postaci tamtego czasu – pisarz, a jeszcze bardziej znany aktor. Moja mama po obejrzeniu *Trzeba zabić tę miłość* powiedziała do mnie: „No wiesz, że ten Kuba wziął do tej roli takiego pijaka?! Ja to nie chciałabym przy nim nawet leżeć na cmentarzu, bo cały alkohol by na mnie spłynął!". Idę pewnego dnia na grób mojej mamy, patrzę, a tu kto koło niej leży – Himilsbach! A jednak leżą sobie w pokoju obok siebie.

U Literatów zawsze siedział jakiś esbek. Mniej więcej wiedzieliśmy, który to, bo oni mieli jednak specyficzny wyraz twarzy.

KOLACJA W SPATIF-IE

Tam był inny rodzaj znajomych. I każdy miał swój stolik.

Mnie przyjął do swojego słynnego stolika Janusz Minkiewicz. Należeli do niego też Antoni Słonimski, Otto Axer, Erwin Axer, Julian Stryjkowski, Antoni Marianowicz, Jan Brzechwa – plejada najwybitniejszych twórców, literatów. Bardzo rzadko przychodzili z żonami. Z kobiet dopuszczali do siebie mnie i Agnieszkę Osiecką. Minkiewicz miał niebywale cięte riposty. Kilka dobitnych słów. Potrafił być złośliwy jak diabli. Tadeusz Konwicki też zresztą był w tej konkurencji świetny.

Po liceum w Inowrocławiu byłam kompletnie zielona. Wiedziałam tylko tyle, ile mnie w szkole nauczyli w ramach programu. Minkiewicz, Stryjkowski i inni mieli wtedy po czterdzieści, pięćdziesiąt lat, ja miałam dziewiętnaście. Bardzo mnie lubili, z reguły rozmawiali na te same, znane tematy z pogranicza kultury i polityki, a ja kompletnie nic z tego nie wiedziałam i zadawałam im najgłupsze pytania na świecie. Okropnie ich to bawiło. Słuchałam ich z otwartymi ustami i mówiłam: „A ja w szkole zupełnie inaczej się o tym uczyłam". Zabierali się do

tłumaczenia mi świata – każdy inaczej, z innej perspektywy, używając innych porównań i odniesień – i to była dla nich frajda, a dla mnie jeszcze większa, oczywiście. Kłócili się przy tym nieprzytomnie, bo każdy miał na temat tego świata inne zdanie i spojrzenie. I przekrzykiwali się, ku uciesze zgromadzonych. A ja byłam w tym układzie niebywale ważna, bo beze mnie nie było się już o co kłócić.

Na początku byłam tak nieopierzona, że zadawałam im te pytania wyłącznie z niewiedzy. Ale z biegiem lat stało się to już naszą konwencją – wymyślałam pytania, które otworzą im drogę do sporu. To były takie rozmowy w stylu „filozof objaśnia świat blondynce".

Pamiętam, jak pewnego razu zrobiłam w SPATiF-ie furorę, wkraczając do sali w nowych, zakupionych na ciuchach na Pradze, bardzo opiętych jeansach. Usiadłam, jak zwykle zaproszona do stolika przez najwyższej klasy polskich przedwojennych i powojennych intelektualistów.

Nie rozumiałam, dlaczego tak przyglądali się metce wszytej z tyłu na spodniach, na wysokości bioder. Aż wreszcie, po chwili krępującej ciszy Antoni Słonimski zawyrokował: „To chyba jest jej adres".

Kiedy Kuba poszedł ze mną po raz pierwszy do SPATiF-u i usłyszał, jak głupie pytania zadaję jego kolegom, zażenowany natychmiast kopnął mnie pod stołem! Ale tu już byłam dalej niż on, poruszałam się w obrębie wypracowanej konwencji. Potem nie zadawałam przy nim takich pytań. Zrozumiałam, że kiedy mężczyzna, w dodatku reżyser, widzi i reżyseruje swoją kobietę w określony sposób, to nie chce przyjąć do wiadomości, że inni mężczyźni też ją reżyserują. Od tamtej pory w towarzystwie męża zawsze byłam jego aktorką. Taką, jaką chciał mnie widzieć. A w innym otoczeniu – wychodziłam z tej roli.

W SPATiF-ie był też stolik pisarza i aktora Józefa Prutkowskiego. Pamiętam Józka, jak długo opowiadał o tym, że bardzo chce jechać do Paryża. Tak długo mówił, że w końcu go wyprzedziłam. A kiedy już zdecydował się jechać, Kuba poprosił go, aby przewiózł mi do Paryża kiełbasę myśliwską. Ach, jak ona wtedy pachniała i smakowała! W tym okropnym PRL-u można było spod lady zdobyć dobre wędliny.

Józek przyjechał, przekazał mi paczkę od Kuby, a ja w rewanżu zaprosiłam go do kina. Zaczął się film, ale widzowie nerwowo się

rozglądali – całe kino pachniało moją kiełbasą.

Umówiliśmy się na następny dzień. Czekam, czekam, idę w końcu do jego hotelu, a tam mi mówią, że „ten pan pojechał do Polski". Wytrzymał bez Polski tylko jedną dobę.

Był też stolik profesora Stanisława Wohla, wielkiego autorytetu dla aktorów tamtych czasów.

Spotkaliśmy się kiedyś w Paryżu. Zresztą to był chyba mój pierwszy pobyt. Wszystko było tam dla mnie olśniewające. Wohl znał Paryż jeszcze sprzed wojny, bo pochodził z tak zwanego dobrego, bogatego domu. Obiecał, że wszystkiego mnie nauczy. Tłumaczył, który kawior wypada, a którego nie wypada jeść. Że to się je z tym, a nie z tym. Zupełnie jak Rubinstein, który kiedyś o tym pisał – jak go czytałam, to byłam zdziwiona, że można tyle uwagi poświęcać jedzeniu. Kiedy byłam głodna, jadłam to, co akurat było dostępne. Wohl zabrał mnie do restauracji. Byłam oszołomiona, a jako że na co dzień w ogóle nie piję alkoholu, pod koniec kolacji zasnęłam przy stole. Dopiero później się dowiedziałam, że tego wieczoru wydał na mnie wszystkie swoje diety.

SB nienawidziła SPATiF-u i z dnia na dzień zamknęło klub pod pretekstem remontu.

A ja wciąż najlepiej pamiętam soboty w SPATiF-ie. Był tam fortepian, na którym grali na zmianę dwaj pianiści, w tym jeden niewidomy – do końca nie było wiadomo, czy on gra dobrze, czy źle, bo w jego graniu czuło się coś przejmującego, tworzącego jakiś magiczny klimat. Jak ci moi znajomi pięknie tańczyli. Widzę ich dobrze – jak tańczą, jak się śmieją, jak wyglądają. Chociaż większości z nich już nie ma.

Moją koleżanką była AGNIESZKA OSIECKA. Poznałyśmy się w latach sześćdziesiątych. ASP było enklawą, gdzie PRL nie miało wstępu. Na uniwersytecie naprzeciwko – odwrotnie. Pewnego razu koledzy z uniwersytetu zaprosili nas na spotkanie, Agnieszka miała tam wykład. Pamiętam, że stała na podium – widziałam ją wtedy pierwszy raz – ubrana w białą bluzkę, jak typowa uczennica. Nie pamiętam dokładnie, co mówiła, ale był to rodzaj edukacyjnej pogadanki dla młodzieży. Minął pewien czas i zaczęła pisać piosenki, studiować w szkole filmowej, Kuba zaprosił ją do współpracy przy filmie *Jutro premiera* i nasze drogi się zeszły. Obie uwielbiałyśmy Minkiewicza i należałyśmy do jego bandy.

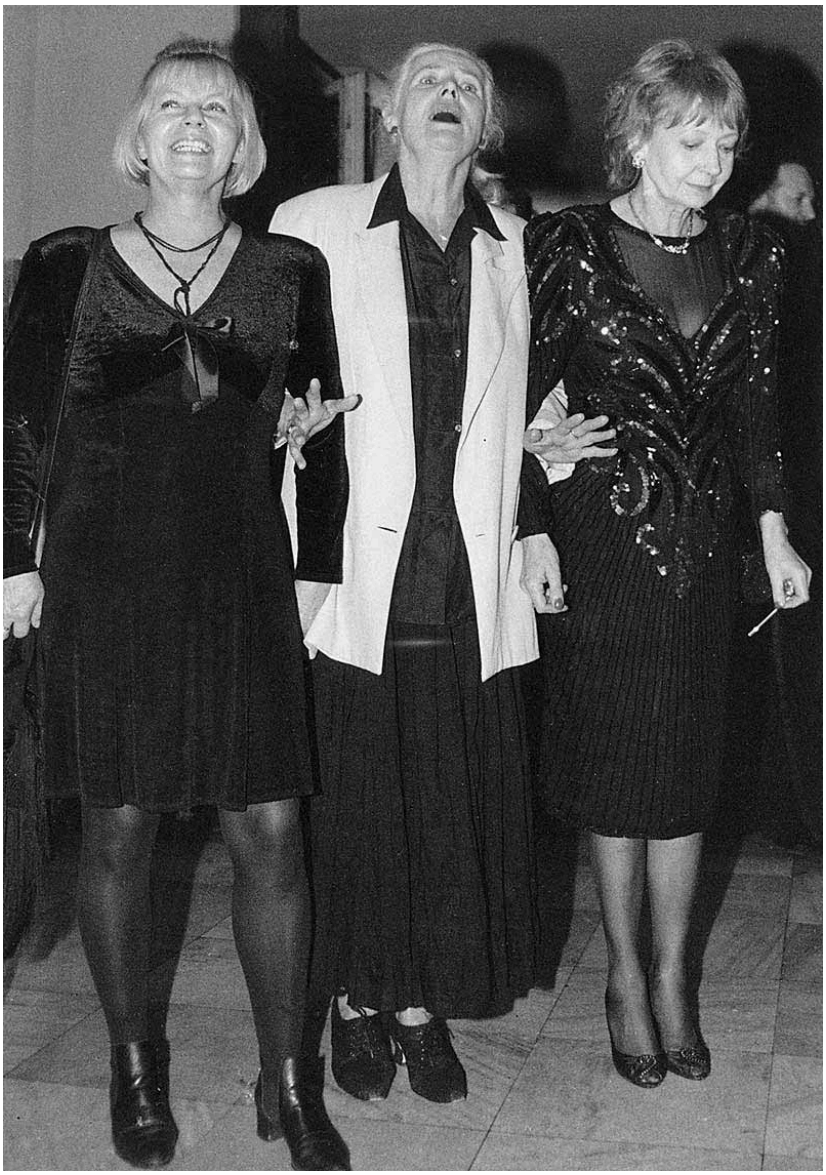

Z Agnieszką Osiecką i Elą Czyżewską (pierwsza z prawej), wchodzimy na jakiś bankiet, lata osiemdziesiąte XX w.

JANUSZA MINKIEWICZA poznałam na przyjęciu w Bristolu, które Kuba urządził po premierze *Do widzenia, do jutra*. Kosztowało go całe wynagrodzenie, które otrzymał za realizację filmu. Czułam się tam trochę zagubiona, usiadłam z boku przy barze i przyglądałam się gościom.

W pewnym momencie wszedł Minkiewicz i powiedział: „A co tu pani robi sama?!”. Wiedział, że jestem dziewczyną Kuby. Przysiadł się do mnie, zaczęliśmy rozmawiać. No i tak rozmawialiśmy jeszcze wiele lat, przyjaźniąc się. Był niebywale zdyscyplinowany.

Potrafił być strasznie złośliwy. Wielokrotnie byłam świadkiem tej jego złośliwości, tak inteligentnej, że adresat nigdy nie wiedział, jak się ma zachować – wyjść czy zostać, obrazić się czy wybuchnąć śmiechem. Minio potrafił być ostry, ale tylko w słowach. Nigdy nie zrobił nikomu żadnego świństwa.

Ale najważniejsze, że Minio był bardzo ważny dla kultury polskiej, a teraz jest kompletnie zapomniany. O nim mówiło się „idealny prześmiewca polityczny”. Można powiedzieć, że ma takie artystyczne drzewo genealogiczne: Boy → Brzechwa → Tuwim, który uważał Minia za swojego następcę. Minio nadal jest niepokonany w przekładach amerykańskich musicali i francuskich operetek. Pierwsza była *Piękna Helena* Jacques’a Offenbacha, następnie *West Side Story* Leonarda Bernsteina, potem *My Fair Lady* Fredericka Loewego oraz powstałe w spółce z Antonim Marianowiczem *Daj buzi, Kasiu* Cole’a Portera. Dziś trudno sobie wyobrazić, co te musicale znaczyły dla nas w PRL-u. Słynne też były szopki polityczne Minia, fraszki, sonety, wiersze.

Dlaczego tak dużo o nim piszę? Bo to on był szefem mojego stolika – mojego uniwersytetu w SPATiF-ie. Czego się przy nim nauczyłam? Sama nie jestem i nie byłam twórcza i wygadana (proszę więc wybaczyć mi moją książkę), nauczyłam się, jak szybko i celnie można wyrzucić z siebie ripostę albo jak mało słów wystarczy, by opowiedzieć anegdotę zakończoną puentą. Niby to łatwe, ale jednak potrzeba dużo inteligencji, by zabłysnąć przy jakimkolwiek stoliku.

Strasznie żałuję, że nie zachowały się listy Osieckiej i Minkiewicza. Oni się bardzo przyjaźnili. Spędzali ze sobą mnóstwo czasu, wiem, że pisali też do siebie. To musiały być piękne listy.

W LATACH sześćdziesiątych zaprzyjaźniliśmy się z TYRMANDEM. Był najbardziej barwną postacią PRL-u. Grał w życiu playboya w kolorowych skarpetkach. Zawsze obecny na wszystkich koncertach jazzowych, tych koncertach, które się władzy tak bardzo nie podobały. Czasem też cała plejada artystów spotykała się w tym czasie w ambasadzie amerykańskiej. Przed wejściem stał szpaler fotografów, esbeków, a kilka dni później byliśmy wszyscy na podstawie tych zdjęć zapraszani na rozmowy do SB i odbywały się próby nakłonienia do współpracy.

U KALINY I STASIA – no, tam była rotacja. W salonie Dygatów natychmiast pojawiali się pojedynczy goście, którzy w danym momencie robili szybką karierę – w każdej możliwej dziedzinie. Przy spadku ważności szybciutko zostawiali miejsce nowym. Staś zawsze bujał się na krześle na dwóch nogach, tak że był na pograniczu wywrócenia się, ale doszedł do takiej wprawy, że nigdy mu się to nie zdarzyło. Na początku to nas bardzo irytowało, bo właściwie musieliśmy rozmawiać w takt tego bujania. Obgadywał wtedy wszystkich polityków, jacy w ogóle byli, całą sytuację polską, światową i tak dalej, myśmy cicho siedzieli i słuchali. A Kalina miała zawsze na ogniu duży gar zupy z wkładką dla przewijających się gości. Lubiliśmy ich i ich dom – bardzo nietuzinkowy i wartościowy, szczególnie że był PRL, a musieliśmy wszystko gdzieś omówić. Najbardziej zapamiętałam prosty stół, przy nim ławy, nad stołem półka, a na tej półce stały puste butelki po whisky, które zbierali gospodarze. Gdy ktoś przywiózł jakąś butelkę z zagranicy, to przynosił im w prezencie. U nas nie było wtedy takich ładnych.

Kuba z Barbarą Kwiatkowską na planie *Jowity*, 1967.

Zapamiętałam wyraźny obrazek, jak pod tymi butelkami siedzieli na ławie Kasia i Zbyszek Niemczyccy, którzy za parę dni jechali do Ameryki, rozpoczynając swoją dużą karierę. Z salonu Dygatów do Ameryki.

Pewnego dnia, już dawno po premierze *Jowity*, pojechaliśmy do Stasia naszym pierwszym samochodem, to był jakiś model fiata, wtedy szczyt luksusu.

Zajechaliśmy tym samochodem, a Staś mówi: „No tak, oczywiście za moją *Jowitę*". A potem sam kupił sobie wartburga, ale już mu nie mówiliśmy, że to było za scenariusz do tej właśnie, wyreżyserowanej przez Kubę *Jowity*. Staś jeździł fatalnie, więc ten wartburg stał tylko przed domem i zawsze można było sobie na niego popatrzeć. Wszyscy chodziliśmy go oglądać.

DLA KUBY znajomość ze Stasiem Dygatem była bardzo ważna, sam opowiadał o niej kiedyś tak pięknie:

KUBA MORGENSTERN:

„Tak się składa, że pewien okres mojego życia upłynął pod dużym wpływem przyjaźni ze Stanisławem Dygatem.

Ze Stasiem, tak jak myśmy to zawsze mówili. Pierwsze spotkanie było niezwykłe i pamiętam je do dzisiaj, szczególnie że było to po pewnej upojnej nocy na szlaku SPATiF–Kameralna. Wtedy jeszcze nie mieszkałem w Warszawie, nie miałem mieszkania, ale często tu bywałem. Tego dnia spotkałem Marka Hłaskę i razem zrobiliśmy taką turę. Nie miałem gdzie pójść spać, Marek mówi: «Nie martw się, ja mieszkam w Związku Literatów, na drugim piętrze, mam pokój, dwa łóżka, chodź», i pojechaliśmy tam. Nad ranem ktoś mnie szarpie, stoi nade mną bardzo wysoki człowiek, okazało się, że to jest Staś Dygat, który przyszedł prosić Marka Hłaskę i później mnie też, żebyśmy mu pomogli w przeprowadzce. Dostał małe mieszkanie na Mokotowie – bardzo małe, bo to był pokój z kuchnią tylko – i trzeba się przeprowadzić. Marek powiedział, że oczywiście, pyta mnie, czy ja mogę – oczywiście, nie pojechałem do Łodzi, w związku z tym jestem wolny. Ale Marek postawił warunek: «Stasiu,

najpierw musimy zjeść śniadanie». I rzeczywiście, poszliśmy na śniadanie i tego dnia nie doszło już do przeprowadzki. W ten sposób poznałem Stasia Dygata.

Później, po wielu latach, dowiedziałem się, że mimo bliskich naszych stosunków on zawsze, całe życie miał pewną zadrę do mnie; miał dużą ansę, miał pewien żal, którego nie wypowiedział. Dopiero po kilku latach, jak przygotowywałem *Do widzenia, do jutra*, dowiedziałem się, o co chodzi. Otóż dużo wcześniej, w 1954 roku, byłem praktykantem u Wandy Jakubowskiej i musiałem znaleźć dziewczynę do epizodu. Kręciliśmy w Łebie, na tej cudownej plaży, na tych wydmach, bo to miała być *Opowieść atlantycka*. Wanda powiedziała: «Słuchaj, znajdź jakąś aktorkę, młodą dziewczynę, zdolną, fantastyczną, śliczną». Pomyślałem sobie, jadę, blisko stąd na Wybrzeże, a tam już była cała moja grupa przyjaciół ze Zbyszkiem i Bobkiem Kobielą, oni mi poradzą... tam cały rocznik szkoły krakowskiej się przeniósł, więc pewnie wśród tych młodych adeptek znajdę kogoś, kto się nada. Pojechałem więc, nie pamiętam, czy Bobek, czy ktoś powiedział: «Słuchaj, nie ma problemu, przyjdź dzisiaj na spektakl, tam jest jedna dziewczyna, zobaczysz ją, porozmawiasz, zorientujesz się». Rzeczywiście, to była Kalina Jędrusik. Przyszedłem na przerwie: «Proszę na mnie poczekać przed teatrem, porozmawiamy, pójdziemy do jakiejś kawiarni czy gdziekolwiek». I tak się stało. Czekałem, ona wyszła, wzięła mnie za rękę i odeszliśmy. Okazało się, że w tym samym czasie Staś Dygat czekał na nią, a ona w ogóle nie zwróciła na niego uwagi, przeszła mimo, właściwie tak dosyć ostentacyjnie. Nie wiem, o co on mnie podejrzewał, w każdym razie przez długi czas nie mógł mi tego zapomnieć. Później oczywiście wyjaśniło się to nieporozumienie. Więc tak poznałem Stasia.

Książki, które on napisał, były dla nas wielkim wydarzeniem. Takim niezwykłym wydarzeniem było *Jezioro Bodeńskie*. Zresztą do tej pory uważam, że to jest najlepsza książka Stasia Dygata. Nie wypowiadam się o literaturze, ale na mnie wtedy zrobiła kolosalne wrażenie, i do dzisiaj tak o tym myślę. Obejrzałem kilka spektakli na podstawie tej książki... okazało się, że jednak była bardzo popularna. Jak niezwykłe było to, że wtedy ci nasi pisarze – a to była bardzo duża grupa (ja w ogóle entuzjastycznie wypowiadam się o autorach tego okresu, tych lat jeszcze czterdziestych, bezpośrednio po wojnie) – potrafili opowiedzieć niezwykle ważne rzeczy. Nie w sensie dokumentalnym, tylko przetworzone w sensie literackim, ale dogłębnie nas obchodzące. Nie mówię – aktualne, bo przecież on mówił o obozie i tak dalej, ale to było strasznie poruszające, we wszystkich nas to żyło. I wszystkie następne książki tych wielkich pisarzy, którzy w tym czasie

wydawali, to były dzieła, o których marzyłoby się dzisiaj, żeby powstały, żeby do tego stopnia tyczyły nie tylko naszych spraw osobistych – bo to dotyczyło w pewnym sensie naszego pokolenia – ale też tyczyło spraw całego naszego społeczeństwa, narodu, to były istotne rzeczy. Że potrafili to uchwycić. To było wielkie moje oczarowanie Stasiem.

Już nie mówię tylko o tym, że on jako człowiek był czaruś, także przez to, że on był jednym z nielicznych, którzy mieli wtedy swoje mieszkanie. Myśmy wszyscy gdzieś tam waletowali, gdzieś tam krążyli... ja wprawdzie bezpośrednio po szkole dostałem pokój w hotelu na dwa lata, i to było śmieszne, że mieszkałem na czwartym piętrze w Savoyu, Kazio Kutz na szóstym, a Staś Bareja jeszcze gdzie indziej, Janek Łomnicki w innym pokoju... To były takie czasy, byliśmy tak rozpuszczeni, że w związku z tym, że nie dostaliśmy mieszkań, szkoła zobowiązała się płacić nam pokój hotelowy przez dłuższy czas.

Tak więc automatycznie powstał salon w tym mieszkaniu Stasia i dlatego tam się zbieraliśmy. Ta społeczność, która się tam zbierała, była niesłychanie różna. Oczywiście bardzo licznie reprezentowani byli aktorzy, ale trudno oderwać to od tego, że w tym czasie Staś był już z Kaliną. To była para, która niesłychanie przyciągała mnóstwo osób, a ich mieszkanie okazało się idealnym miejscem, gdzie można było nie tylko się spotkać wieczorem, ale jeszcze dostać czasem coś do zjedzenia, może coś bardzo skromnego, ale zawsze było.

Staś był tą osobą, która koncentrowała wokół siebie wszystkich, począwszy od – jak powiedziałem wcześniej – aktorów, poprzez sportowców, muzyków... Myślę, że na Mokotowie w tym czasie była jakaś kolonia autorów, mogę powiedzieć, że myśmy byli satelitami, którzy krążyli wokół Stasia, a on był apodyktyczny, więc to nie było takie proste. Najbardziej cierpiałem – Staś był bardzo wysoki i zawsze z jakiegoś powodu uwielbiał spacery – gdy kazał mi przejść z Mokotowa, z jego mieszkania, aż do SPATiF-u. Musiałem biec, podbiegać, bo on tak szybko chodził i takie stawiał olbrzymie kroki. A jak byliśmy w restauracji, to nie liczył się z niczym, zjadł, odstawił talerz, poszedł, nie mogę powiedzieć, żeby przodował w konwenansach czy coś w tym rodzaju, ale robił to z wdziękiem, bo ulegali temu wszyscy.

Wiedzieliśmy, że Stasiu ma kaprysy; te kaprysy nie tyczyły tylko jakichś drobnych rzeczy, ale też sympatii: nagle ktoś, kto był przez lata hołubiony i bywał bardzo często wieczorem u niego... pewnego dnia Staś ni stąd, ni zowąd – nie wiem, może miał jakieś powody – nagle odstawiał od serca danego delikwenta i koniec, zrywał z nim i mówił o nim rzeczy najgorsze.

Powiedziałbym, że te uczucia, które rozdzielał wśród swoich przyjaciół i znajomych, bliższych i dalszych, były niesłychanie niestabilne. Niewielu osobom udało się na dłuższy okres zachować przyjaźń Stasia.

Chciałem powiedzieć coś o jego związkach z filmem, bo wydaje mi się, że to jest niesłychanie istotne. Otóż on uwielbiał kino. Nie tylko miał swoje ukochane aktorki, których zdjęcia stały na biurku, zresztą chyba do tej pory są w tym pokoju, który Kalina zachowała w takim stanie, w jakim opuścił go Stasiu, kiedy umarł niespodzianie. Film był jego wielką pasją, ale on był skromny w tym względzie. Jak był w Stanach, to chodził na wykłady wiedzy o scenariuszach filmowych, bardzo się tym interesował i myślę, że między innymi dlatego myśmy się tak zbliżyli, bo mieliśmy kilkakrotnie okazję, żeby razem pracować nad filmem. A jeżeli nawet to nie było oficjalne, to zawsze służył mi radą. Miałem do niego zaufanie, szczególnie że, moim zdaniem, on miał niesłychane ucho, fantastyczne, jeżeli chodzi o dialog. Zresztą wszystkie jego książki miały inny charakter, one były niesłychanie kolokwialne, to nie była ciężka literatura z okresu poprzednich wielkich pisarzy początku XX wieku – od Prousta, Manna poprzez Dostojewskiego i Tołstoja – to była innego rodzaju powieść, o wiele nam bliższa (...). Teraz łatwo to powiedzieć, że to była jednak powieść nadająca się na scenariusz filmowy. Przecież nie bez powodu on był jednym z bardziej – nie napisał tak wielu powieści – ale jednym z chętniej adaptowanych autorów dla kina.

Nigdy nie byłem w czasie okupacji w Warszawie, nie byłem w okolicach Warszawy, ale jeżeli myślę o tym okresie przedpowstaniowym – przed moimi *Kolumbami*, przed *Godziną „W"*, przed tym okresem, który ja już bardzo dokładnie dokumentowałem i który się działi nie pod Warszawą, tylko w Warszawie – jeżeli przejechałem pierwszy raz w życiu kolejką do Podkowy czy w tamte okolice, to wszystko oczami Stasia, oczami jego książki. Nawet szukałem podobnych bohaterów. Zresztą byli podobni, jak się później okazało. Tak że zawsze dochodziliśmy do pełnego porozumienia.

Staś był niesłychanie liberalny, jeżeli chodzi o swoją twórczość: «Rób jak chcesz, to jest twój film – mówił – ja nie będę pisał scenariusza». I rzeczywiście, scenariusz pisał Tadziu Konwicki, a często bywało odwrotnie, że Tadziu nie chciał pisać scenariuszy na podstawie swoich książek. I po latach to zrozumiałem, że twórczość jest czymś niesłychanie własnym, czymś osobistym. I on uważał, że książka to jest to, w co włożył wszystko, całe swoje jestestwo. On to podpisuje, natomiast ja powinienem korzystać z fabuły – on nie ingerował absolutnie w nic. Tak samo nie

ingerował w obsadę, bo niektórym się wydawało, że to, że zagrała Kalina, to było pod jego wpływem, że ja uległem, że chciałem zrobić taki prezent dla Stasia – absolutnie nieprawda.

To był kolosalny sukces, kiedy się okazało, że *Jowita* była normalnie wyświetlana w kinach na Piątej Alei. Normalnie, nie jak niektóre polskie filmy po kampusach, uniwersytetach, jakichś studyjnych kinach, nie. O tym się dowiedziałem dosyć późno, ale tak było i jemu to sprawiało wielką satysfakcję i przyjemność, że jest autorem książki, na podstawie której powstał film, który pokazano w Hollywood. Ameryka to była dla niego jakaś wielka sprawa, i ja to rozumiem".

OPRÓCZ codziennych spotkań u Dygatów były jeszcze telefony „intelektualne" między Stasiem, Andrzejem Łapickim i Tadziem Konwickim. Rozmowy na szczycie. Każdy chciałby być ich świadkiem, bo to, co mówili, było jak wspaniała literatura. A tymczasem jedynymi świadkami byli smutni panowie z SB, którzy ich podsłuchiwali. Jaka szkoda, że nie możemy teraz tego przeczytać.

Takiego Tadzia zapamiętałam. To jedno z ostatnich zdjęć, jakie mu zrobiłam, Radziejowice.

Nie jest mi łatwo o TADZIU KONWICKIM pisać w czasie przeszłym. Pozwolę sobie tak mówić o nim – Tadziu, bo był jak najbliższy członek naszej rodziny, Kuby i mojej. Poznałam ich prawie w tym samym czasie. A potem wszystkie wspólne pobyty w Chałupach, wspólne obiady w Związku Literatów, wspólne wieczory, często w SPATiF-ie, ale najważniejszy był stolik Tadzia w Czytelniku. Tam była ścisła selekcja: Tadziu otoczony wianuszkiem najbardziej zaprzyjaźnionych kolegów i czyhających dokoła kandydatów do wkręcenia się do stolika, przy którym odbywały się rozmowy najważniejszych ludzi polskiej kultury. Ale to nie było takie łatwe. Gdy któregoś dnia usiadłam sobie spokojnie przy tym ważnym stoliku, podeszła do mnie Irena Szymańska (tłumaczka i pisarka, była zastępcą redaktora naczelnego w Czytelniku), wyraźnie mnie nielubiąca, i zapytała, czy mam pozwolenie, aby siedzieć właśnie przy tym stoliku. Odpowiedziałam, że mam od samego szefa. Nie wierzyła mi i postanowiła to sprawdzić. I sprawdziła, a potem nigdy już nie chciała więcej ze mną rozmawiać.

Przed stolikiem Tadzia usadowił się Miecio Jahoda, operator filmowy. Specjalnie się tak wyforował, chcąc przechwycić niektórych ważnych gości, zanim dojdą do stolika Tadzia. Musiałam kilka razy tłumaczyć się przed Mieciem, dlaczego wolę iść do tego następnego stolika, no a potem miałam u niego szlaban.

Dzisiaj przychodzę do Czytelnika i co widzę? Tylko karteczki z nazwiskami znanych bywalców umieszczone na stolikach, przy których siedzieli i jedli stołówkowy obiad. Ależ tu jest pusto i smutno...

KONWICKI i Morgenstern nazywali siebie braćmi. W momencie kiedy Tadziu dożył osiemdziesięciu ośmiu lat, podobnie jak Kubie, życie zaczęło mu się skracać w galopującym tempie. Został sam, bez towarzystwa przyjaciół, z którymi przez wiele lat codziennie po jedenastej rano spotykał się przy stoliku w kawiarni u Bliklego na Nowym Świecie. Pierwszy zostawił go Gucio Holoubek, potem Kuba, a na końcu Andrzej Łapicki.

Z Romkiem Polańskim i Tadziem Konwickim w Konstancinie, lata siedemdziesiąte XX w.

Słynny stolik w Czytelniku – Kuba, Tadziu i Gustaw Holoubek.

Kilka dni przed śmiercią Tadziu leżał w szpitalu. Jego ukochana córka, Marysia, siedziała przy łóżku i nagle zobaczyła, że ojciec wyciąga rękę, tak jakby się z kimś witał, z przyjacielem, z uśmiechem pełnym serdeczności. Zapytała więc:

– Z kim się witasz?

I usłyszała:

– Z Kubą, z Kubusiem...

Mówił to z takim zadowoleniem.

Gdy mi to opowiedziała, bardzo się ucieszyłam. Poczułam, że Kuba istnieje dalej, w innych przestrzeniach, ale jest z nami, najbliższymi.

MIESZKALIŚMY z Kubą na Starówce, kiedy do Warszawy przyjechała z Ameryki ELA CZYŻEWSKA. Spotkałam ją na Rynku, była w towarzystwie jakiejś starszej pani, Amerykanki. Pamiętam, że strasznie padał deszcz i zaproponowałam, żeby weszły do mnie do domu trochę się ogrzać i wysuszyć. Starsza pani zobaczyła na ścianach moje tkaniny i nieśmiało zapytała, czy mogłaby je kupić. Odpowiedziałam, że oczywiście tak. A ona już stała na stole i wyciągała ze ściany specjalne pluskiewki, którymi gobeliny były przyczepione do ściany. Ściągnęła dwa i pyta, ile ma zapłacić. Już chciałam rzucić moje tradycyjne sto dolarów, kiedy Ela syknęła do mnie po polsku: „Ani się waż odzywać!". I mówi do starszej pani po angielsku: „Świetny wybór. Ten po lewej Krysia ewentualnie może sprzedać za tysiąc dolarów". „Zwariowałaś?!" – mówię po polsku, ale z uśmiechem, żeby nie przestraszyć starszej pani. A Elka na to: „A ten po prawej jest droższy. Kosztuje tysiąc pięćset". Kompletnie mnie zamurowało, chciałam ją udusić. Za sto dolarów mogłabym przeżyć miesiąc, a ta mi straszy klientkę. I nagle słyszę: „OK". Wzięła oba. Za rok miałam być w Ameryce i umówiłyśmy się, że wtedy odbiorę od niej te pieniądze. I rzeczywiście, wyjechałam do Ameryki – z nowymi gobelinami pod pachą, w PRL-u zawsze zabierałam je ze sobą za granicę jako największy skarb. Dostać za jeden sto dolarów, to już było ho, ho.

Z Elą Czyżewską w naszym ogrodzie, lata dziewięćdziesiąte XX w.

Okazało się, że ta starsza pani była nieprawdopodobnie bogata – biznes naftowy. Zaprosiła mnie do swojego domu w Los Angeles – przepiękny wielki dom, cały w różach – łącznie z dachem. Wchodzę do środka i widzę, że centralnie na frontowej ścianie wiszą moje gobeliny. Podświetlone! A po bokach Monet, Manet itd. Kompletnie mnie zatkało, ale udałam, że to dla mnie codzienność. Starsza pani zapytała, czy mam może więcej gobelinów, które mogłabym jej sprzedać. Wzięła jeszcze jeden. Kolejny tysiąc dolarów.

Kilka lat później wróciłam do Los Angeles. Z bardzo bogatą koleżanką wybrałyśmy się na wernisaż na najdroższą ulicę świata Rodeo Drive. Podjechałyśmy rolls-royce'em. Spodobała mi się ta galeria i powiedziałam koleżance, że właściwie to powinnam mieć kiedyś wystawę w takim miejscu. A ona na to: „Przyjedziemy tu jutro i porozmawiamy o tym z właścicielem". Przyjechałyśmy. Wzięłam ze sobą parę gobelinów i dossier – kilka wyblakłych, jak to w PRL-u,

reprodukcji. Właściciel galerii wszystko obejrzał, spodobało mu się, ale na koniec powiedział: „Fajne, ale wystawiam tylko malarstwo". „To najwyższa pora to zmienić" – odpowiedziałam. Popatrzył na mnie i znowu na te zdjęcia i pyta, czy już gdzieś to sprzedałam. Powiedziałam o starszej pani. Zrobił wielkie oczy i poszedł gdzieś zadzwonić. Wrócił i umówiliśmy się na wystawę za dwa lata – miałam pokazać czterdzieści tkanin. Od razu wiedziałam, że to jest nierealne – jeden gobelin robię trzy miesiące, pracując po osiem godzin dziennie – ale umówiłam się, wynegocjowałam pięćdziesiąt procent dla siebie i wyszłam zachwycona. Na tyle, że z miejsca udałyśmy się do pobliskiego muzeum, gdzie był dział gobelinów. Opowiedziałam tam o sprzedanych tkaninach, starszej pani i planowanej wystawie w prestiżowej galerii na Rodeo Drive. Natychmiast zaproponowali kolejną wystawę i czterdzieści procent. Potem poszłyśmy do kolejnej galerii, gdzie znowu umówiłam się na wystawę, już trzecią, tak samo nierealną jak dwie poprzednie, a następnie udałyśmy się do pięciogwiazdkowego hotelu, gdzie też była znana galeria – pana Ashkenazy'ego. Z nim już było troszkę trudniej, ostatecznie wynegocjowałam trzydzieści procent, ale skoro i tak do niczego nie miało dojść, to co tam, zgodziłam się.

Mija wiele lat. Jestem na jakimś przyjęciu w Warszawie i ktoś mi mówi, że właśnie przyszedł Ashkenazy, ten z Los Angeles. Nie bardzo pamiętałam, jak wyglądał, ale podeszłam do niego i zapytałam, czy to on chciał mi zabrać siedemdziesiąt procent ze sprzedaży moich gobelinów. Okazało się, że to nie on, tylko jego brat, który już zresztą nie żył. „Szkoda, że nie żyje, ale siedemdziesiąt procent to naprawdę nieładnie" – powiedziałam. Od słowa do słowa, okazało się, że bracia Ashkenazy pochodzą z tego samego miasteczka na Podolu co Kuba. Wyjechali w czasie wojny i zbili fortunę w Ameryce, mają tam sieć hoteli. A on często wraca do Polski.

A morał z tej historii jest taki, że jak nie chcesz, to wszystko możesz załatwić.

W Los Angeles kolega zabrał mnie kiedyś do ekskluzywnego klubu dla milionerów. Akurat trafiliśmy na scenę, kiedy bogaci panowie chwalili się jeden przed drugim projektami swoich nowych domów – najlepsi architekci i tak dalej. Strasznie się tam nudziłam, bo kiepsko mówię po

angielsku, a poza tym co mnie obchodzą ich domy. Ale z nudów zaczęłam im tam przestawiać ściany i tłumaczyć, dlaczego te projekty są do niczego. Strasznie ich to oburzyło, ale kiwali głowami, że to nie takie głupie. Następnego dnia leciałam do Nowego Jorku. Wieczorem zadzwonił telefon – to ten kolega, że mam natychmiast zawracać, bo kilku z tych milionerów pyta o tę genialną architektkę wnętrz!

KIEDYŚ na koncercie jazzowym w Stodole zwrócił moją uwagę młody, przystojny chłopak. Zapytałam Kubę, kto to jest. W odpowiedzi usłyszałam: „A to młody poeta, JERZY SKOLIMOWSKI". Bardziej zapamiętałam go sobie dużo później z Honoratki w Łodzi. Było to miejsce spotkań młodzieży artystycznej, przychodziły tam najładniejsze dziewczyny i najzdolniejsi młodzi filmowcy. Pewnego dnia uciekłam z zajęć z malarstwa, wsiadłam w pociąg i przyjechałam na parę godzin do mojego chłopaka, czyli Janusza Morgensterna. Pierwsza rzecz – zaprosił mnie do Honoratki, aby pochwalić się, jaki on tam jest ważny. Poczęstował mnie świeżutkimi poziomkami z bitą śmietaną w pięknym dużym kielichu. Patrzyłam i patrzyłam na ten kielich zachwycona, niestety za długo. Dosiadł się do nas Skolim. Podczas rozmowy często odwracałam się do Kuby. Aż tu nagle patrzę – kielich pusty. Skolim powiedział: „A wiesz, wiesz, wiesz, to było bardzo smaczne". I oddalił się. A Kuba już nie miał kasy na drugą porcję. Ale i tak lubię Skolima.

Kolejne spotkanie z Jurkiem było bardziej wyrafinowane. Po *Do widzenia, do jutra* przyjechał Pierre Roustang – producent i scenarzysta filmowy, w tamtym czasie znany we Francji, aby z Kubą nakręcić film o sytuacji odwrotnej niż w *Do widzenia...* – on Francuz, ona Polka. Kuba był wtedy na planie, Roustang zaprosił więc mnie na obiad do najlepszej wówczas restauracji w Warszawie, czyli do chińskiej na MDM-ie. Czułam się tam świetnie, adorowana przez producenta – aż do momentu wkroczenia Skolima na salę. Zlustrował wszystkie stoliki i stwierdził, że mój jest najlepszy. I skończyła się moja sielanka. Wychodząc, panowie byli już poumawiani na pisanie scenariusza

i kręcenie filmu. Szłam za nimi ze spuszczoną głową i ze świadomością, że ja nic nie załatwiłam. No ale pomyślałam sobie, że muszę nauczyć się życia.

Jakiś czas potem jestem w restauracji w Los Angeles z moim kolegą z ASP i innymi jego kumplami pochodzenia polskiego. Nie wiedziałam, że on, chcąc mi zaimponować, zaprosił również dwie rzeczywiście piękne misski. Po prostu dech mi zaparło, jak je zobaczyłam. Mój angielski marny, więc automatycznie zostałam wyeliminowana z rozmowy. Ale w ramach nauki myślałam, myślałam i zaczęłam mężczyznom wciskać co ciekawsze wiadomości z Polski, które ich zainteresowały. Oczywiście po polsku. Wolno, wolno przejmowałam stery. Śliczne misski były coraz smutniejsze, a na koniec już tylko rozmawiały ze sobą. Na pewno nie zwyciężyłam urodą. O nie! Ale dobrą reżyserią.

TUŁALIŚMY SIĘ z Kubą po wynajętych pokojach, aż na początku lat sześćdziesiątych Kuba kupił duży strych na rogu Rynku Starego Miasta i Wąskiego Dunaju – dwupoziomowe mieszkanie na trzecim piętrze, które sam wyremontował, a ja urządziłam. Po paru miesiącach wprowadziliśmy się, od razu zapraszając tłumy przyjaciół i znajomych. Liczba osób, które nas tam odwiedzały, przekracza wszelkie wyobrażenia. Byliśmy bardzo towarzyscy. Zawsze mogłam kupić spod lady duży udziec barani i puszki z kukurydzą. A na deser mama nauczyła mnie robić tort bezowy. Strasznie długo kręciłam masę czekoladową. Ale to menu było moją wizytówką. A po emisji *Stawki...* mogłam kupić spod lady nawet kilka polędwic. Kiedyś przy gościach z Paryża wrzucałam te polędwice do piecyka, a oni nic nie rozumieli – taka Polska biedna, a tu tyle polędwic tak drogich. Stopniowo, w miarę oglądania przygód Klossa przez prawie całą Polskę, mogłam zagospodarować nasze mieszkanie.

Kiedyś na ulicy spotkałam Sławomira Mrożka i opowiedziałam mu z dużym entuzjazmem o tym, że poza kolejką kupiłam lodówkę. Minęło parę minut, nim dotarły do niego moje rewelacje, ale mówi: „Wiesz, jadę jutro do Paryża, jak tam przyjedziesz, to pójdziemy na kawę i znów mi coś ciekawego opowiesz". I rzeczywiście, parę tygodni później siedzimy w barze w Paryżu i opowiadam mu nie tylko o lodówce, ale i o piecyku, kaflach, które kupiłam, choć były przeznaczone dla jakiegoś ministra i tak dalej. To były prawdziwe wyczyny, ponieważ nadal nie mieliśmy pieniędzy, a na wykończenie tego strychu większość sumy pożyczył Kubie przyjaciel, Staszek Bareja. No i niestety dosyć długo czekał na oddanie.

Mebli nie mieliśmy żadnych, więc pojechałam do Inowrocławia, mojego rodzinnego miasta, bo tam całkiem duża rodzina wstawiła stare meble do piwnicy, a kupiła nowoczesne, według mnie okropne. Wszystkie lepsze stare zabrałam ze sobą do Warszawy, ale jak je

wnosili, to Kuba mówił: „Albo ja, albo ta kanapa, albo ja, albo ten fotel". Rzeczywiście były w opłakanym stanie, ale przyszedł Bobek Kobiela, usiadł to tu, to tam i pyta, czy moglibyśmy mu któryś z tych mebli podarować. A Kuba na to, że jest do nich bardzo przywiązany. I w tym momencie wkracza w nasze życie pan Tadeusz, najwspanialszy rzemieślnik tapicer, takich już teraz nie ma i niestety jego też już nie ma... Zmusiłam go do renowacji moich pięknych staroci i to się stało jego drugim zawodem. Wszystkie meble, również te w moim obecnym domu na Żoliborzu, zostały stworzone przez pana Tadeusza. Jak mu przywiozłam jadalnię, która stała gdzieś w podmokłej piwnicy związana sznurkami, to tylko powiedział: „Tym razem, pani Krysiu, to już pani przesadziła". Kiedyś byłam na wsi i zobaczyłam piękną wazę leżącą w błocie, a kury jadły z niej ziarna. Właściciele bardzo się ucieszyli, jak im kupiłam zamiast niej nową miskę. A z tej starej zrobiłam piękną lampę.

Zaistniał pewien problem. Gospodyni kończy malarstwo na ASP, a na naszym strychu nie można zawiesić żadnego obrazu, bo ściany są skośne. Wobec tego przez dwa następne lata po otrzymaniu dyplomu i po sześciu latach malarstwa robiłam drugi dyplom – z gobelinów u profesor Anny Śledziewskiej – i zaczęły one ozdabiać ściany naszego mieszkanka. Pierwszy gobelin zatytułowany *Portret* moja profesorka posłała na wystawę do Zachęty. Nikt wtedy nie robił figuratywnych projektów. Później ten gobelin był pokazywany na wystawach na całym świecie.

Ogromnie się wstydziłam, jak zobaczyłam moje dzieło po raz pierwszy na ścianie w Zachęcie. Całą noc przepłakałam ze zdenerwowania, bo tak różniło się od innych, pokazujących najczęściej kwiaty. A tu rano dzwonią z Muzeum Narodowego, czy zgodzę się na sprzedaż. I tak zaczęłam uprawiać drugi zawód, który dawał mi dużo satysfakcji przez wiele lat.

Ozdabiam ściany naszego strychu na Starówce moim gobelinem zatytułowanym *Madonna*, lata sześćdziesiąte XX w.

WYSTAW WARSZAWSKICH

KURIER POLSKI
30 X
70 r

Rewelacyjne tkaniny

III Festiwal Sztuk Pięknych „Warszawa 70", obejmujący przegląd dwuletniego dorobku najliczniejszego w naszym kraju „zagłębia plastycznego", jakim jest stolica, stanowi najwybitniejsze, niewątpliwie, wydarzenie sezonu. Zorganizowany przez Oddział Warszawski ZPAP oraz Prezydium m. st. Warszawy w dwu salach — „Zachęcie" i pawilonie SARP przy ul. Foksal — przynosi podsumowanie osiągnięć twórczych środowiska w dziedzinie malarstwa, rzeźby, grafiki, ceramiki i tkaniny. Świadomie tę ostatnią wymieniłem na ostatnim miejscu, by tytułem rekompensaty tym więcej miejsca poświęcić jej w tym felietonie. Wszyscy uczestnicy uroczystego wernisażu stwierdzili jednogłośnie: rewelacja! Nie jest to co prawda zaskoczeniem, gdyż o polskiej tkaninie głośno w świecie od czasów powstania „Ładu" i Grand Prix na międzynarodowej wystawie w Paryżu w roku... 1927! Tradycje te nie wygasły, przeciwnie — rozkwitły.

Uczennice profesorek Plutyńskiej i Śledziewskiej, absolwentki warszawskiej ASP w latach pięćdziesiątych — to dziś czołówka światowa. Stwierdzają to zgodnie krytycy, którzy oglądają po całym świecie tkane rewelacje Magdaleny Abakanowicz i jej koleżanek. W pawilonie SARP, za którego przeszklonymi szybami widać złote drzewa parku Zamoyskich, wystawia swe tkaniny pięćdziesiąt kilka artystek trzech pokoleń. Stąd olbrzymia różnorodność i bogactwo: technik, faktury, materiału, kształtu. Bo tkanina zrywa z płaszczyzną, pragnie być trójwymiarowa — jak rzeźba. Widać to w takich świetnych kreacjach jak „Kompozycja IV" **Krystyny Arskiej-Perepłyś**, „Tkaninie z rękami z drzewa" **Marii Łaszkiewicz** czy „Różowym stalaktycie **Krystyny Czarnockiej**. Aplikacje, zwisy, ażury, kolaże, wisiorki — to wszystko łamie klasyczne dwa wymiary dotychczasowej tkaniny, choć nie łamie klasycznej zasady — osnowy i wątku. Obok gobelinu czy żakardu spotykamy „techniki mieszane" i coraz częściej „techniki własne". To one głównie decydują o poziomie wystawy. Także śmiałość sięgania po nowe materiały. Rewelacyjny „Portret księżyca" **Zofii Tchorek** zawdzięcza swe uderzające podobieństwo... starym pończochom! Brawo dla naszych dzielnych i pomysłowych tkaczek! Również ceramika eksponowana w tym samym pawilonie (i poza jego ścianami ze szczególnym) zasługuje na uwagę.

A co w „Zachęcie"? Dobry, wyrównany poziom malarstwa, zwłaszcza grafiki i rzeźby. Ale bez niespodzianek. Jest duża różnorodność, sporo indywidualności rozpoznawalnych nawet przez laików, ale od poprawności do rewelacji droga daleka. Niemniej całość III Festiwalu należy uznać za poważne osiągnięcie warszawskich plastyków i wydarzenie w życiu artystycznym stolicy. Czekamy, by z czasem festiwal ten, który wzorem „Warszawskiej Jesieni" muzycznej ma szanse przekształcić się w międzynarodowy, dorobił się własnej formuły, wyróżniającej go z powodzi festiwali tego typu. I własnej atmosfery, jaką ma — dla przykładu — zakończony niedawno Festiwal Chopinowski. Wtedy dopiero będzie można mówić o pełnym sukcesie tej potrzebnej bardzo imprezy.

WITOLD OSIEŃ

Krystyna Cierniak — „Drzewko mądrości", tkanina, technika mieszana.

Prasowe informacje o III Festiwalu Sztuk Pięknych w Warszawie zilustrowane moim gobelinem, 1970.

PO CZTERECH latach wspólnego ciekawego życia z Kubą spotkałam koleżankę, która powiedziała mi, że jej mama zabroniła jej się ze mną spotykać, bo żyję z mężczyzną na kocią łapę. Przyszłam do domu i bez żadnych intencji opowiedziałam o tym Kubie, a on na to, że rzeczywiście musimy wziąć ślub. Byłam tą jego reakcją bardzo zdziwiona. Jakiż jest niekonsekwentny.

A więc 24 kwietnia 1963 roku wzięliśmy ślub. Ale tabloidy niewiele miałyby do opisania. Co prawda gości weselnych było mało, ale za to zgrabnie dobrani. Byli Zbyszek Cybulski jako świadek z żoną Elutą, był Andrzej Wajda, był Duduś Matuszkiewicz z żoną Grażynką, Kurt Weber. Był Leszek Zahorski, nasz grafik pisma „Polska" na zagranicę. Na moim weselu mówił, że dla niego byłabym za stara jak na narzeczoną. Sam był starszy ode mnie co najmniej o dwadzieścia lat.

Nasze ślubne zdjęcie, Zbyszek Cybulski w roli świadka, 24 kwietnia 1963.

Zapowiedzieliśmy wszystkim, że będą tylko drinki, ale moja mama przyniosła po kryjomu olbrzymiego pieczonego indyka. Dodałam wszystko, co miałam w małej lodówce i bawiliśmy się do rana. Na starym barku stały piękne kieliszki, wyjątkowo delikatne, z posagu mojej mamy. I traf chciał, że obok przechodził Zbyszek Cybulski i jeszcze machnął mankietem, no i wiadomo... cały pokój w pięknym szkle „na szczęście". Dudek sfilmował dwie minuty naszego wesela, nie wiem dlaczego tylko dwie, a dopiero całkiem niedawno mnie tym obdarował.

Mieszkaliśmy na tym naszym strychu siedemnaście lat. Kuba, jeszcze od czasów wojny, był wrażliwy na dźwięki. Ciągle nasłuchiwał odgłosów z ulicy, z zewnątrz, a na Rynku Starego Miasta zawsze był hałas. Pewnego dnia na parterze uruchomiły się wszystkie agregaty w sklepie rybnym. Nasz dom dosłownie się zatrząsł. Wtedy Kuba uznał, że dłużej już tam mieszkać nie może. I znaleźliśmy dom na Żoliborzu Urzędniczym, w którym mieszkaliśmy do jego śmierci, a teraz mieszkam w nim ja.

Praca nad filmem *DO WIDZENIA, DO JUTRA* była dla Kuby nie tylko pracą, ale i przyjemnością. Na planie przyjaciele – ZBYSZEK CYBULSKI, BOBEK KOBIELA, aktorzy teatrzyku Bim-Bom. Pełna młodość – i w tym filmie, i w życiu Kuby. To był najważniejszy dla niego czas. I bardzo ważna przyjaźń ze Zbyszkiem Cybulskim. Dzięki Kubie, który był drugim reżyserem *Popiołu i diamentu*, Andrzej Wajda zaangażował Zbyszka do tego filmu. Pamiętna scena z płonącymi kieliszkami to pomysł Kuby.

Zbyszek i Kuba poznali się w latach pięćdziesiątych w ośrodku w Jadwisinie, gdzie na obozie letnim zgromadziła się młodzież z wyższych artystycznych uczelni. To właśnie tam Kuba zauważył młodego człowieka, który był przeciwny piciu alkoholu, do tego stopnia że podchodził do ludzi i wylewał im wódkę z butelek. Szybko znaleźli wspólny język i się zaprzyjaźnili. Ich kariery filmowe rozwijały się pod koniec lat pięćdziesiątych. Postanowili więc połączyć swoje siły przy realizacji filmu *Do widzenia, do jutra*.

Zdarzyło się wówczas, że Kuba, Zbyszek i ja wyszliśmy razem na bal. Wtedy wpadła im w oko młoda, siedemnastoletnia dziewczyna o imieniu Teresa, która zrobiła na nich duże wrażenie swoją urodą i swoim tańcem. Podczas powrotu z balu obaj wyrażali ogromne zadowolenie, że udało im się znaleźć odpowiednią osobę do roli Margueritte. Teresa Tuszyńska była śliczna. Po *Do widzenia, do jutra* stała się znana. Tak, Kuba miał wpływ na rozwój kariery wielu ludzi. Był tego świadomy.

„Korzystałem z nie-zawodowych aktorów, a poza tym moją specjalnością było odnajdywanie ludzi,

którzy później stawali się słynnymi aktorami. W każdym prawie filmie. Nie mam przeciwwskazań przed obsadzeniem ludzi, którzy nigdy nic nie mieli wspólnego z występami w filmie, to już jest moja sprawa, najwyżej byłaby to klęska. Oczywiście, że łatwiej jest pracować z aktorami, niejednokrotnie miałem okazję, ale jakaż to była satysfakcja, jak mogłem obsadzić Jankowską-Cieślak w *Trzeba zabić tę miłość* czy Kajtka Kowalskiego w *Kolumbach*".

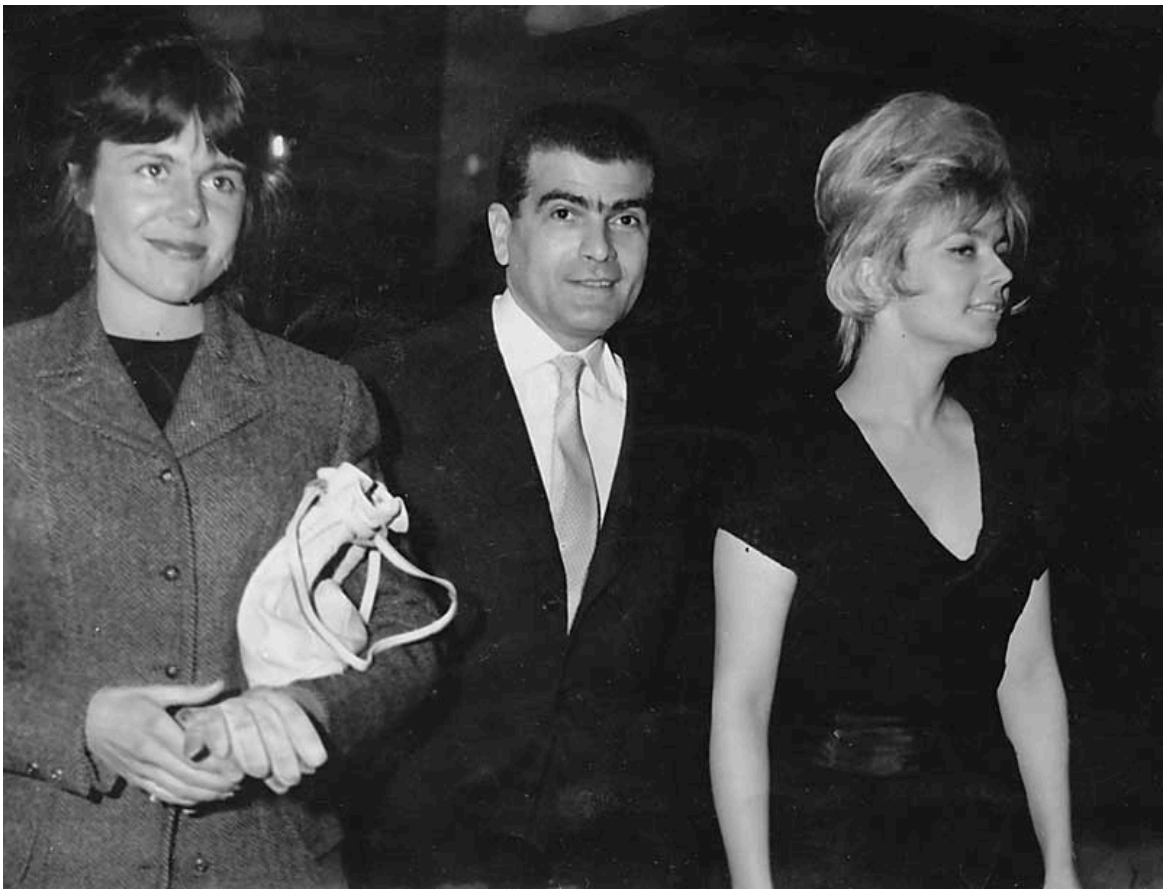

Z Eleonorą Kałużyńską (podkładała głos za Teresę Tuszyńską) na premierze filmu *Do widzenia, do jutra*, 1960.

OD *DO WIDZENIA, DO JUTRA* zaczęły się nasze wspólne wyjazdy filmowe na Wybrzeże. Jeśli tylko Kuba robił jakiś film na Wybrzeżu, to pakowaliśmy się zawsze do Grand Hotelu w Sopocie. Mam stamtąd tyle wspomnień! Tu się dobrze bawiliśmy, a zabawa kończyła się zawsze nad ranem w SPATiF-ie, w domku blisko morza, na pierwszym piętrze z wysokimi drewnianymi schodami. Przez te schody dla niektórych dobra zabawa kończyła się często źle. W Grandzie było wtedy bardzo tanio, więc codziennie była zabawa. Raz wieczorem powiedziałam Kubie, że nie idę na tańce, bo coś źle się czuję. Kuba poszedł sam. Po godzinie poczułam się lepiej, pomyślałam więc, że pójdę na dansing (tak się wtedy mówiło)

i zrobię mu niespodziankę. Wchodzę, a mój wówczas jeszcze narzeczony w upojnym tańcu z bardzo efektowną dziewczyną. Rzucił się na mnie Zbyszek Cybulski, żeby odciągnąć moją uwagę od tego widoku, a za pięć minut pojawił się już Kuba. Pytam, sycząc, jak mu się tańczyło, a on ze zdziwioną miną mówi: „Przecież ja w ogóle nie tańczyłem!". Ktoś z boku szepnął: „Co, nie zna pani ludzi z filmu?!". Pomyślałam sobie: „Aha, muszę wziąć sprawy w swoje ręce".

W Grandzie za czasów socjalistycznych był zawsze tłok i hałas. Dzisiaj, w odnowionym Sofitelu, jest cicho i spokojnie. Lokal pięknie oświetlony, zadbany, ale robi na mnie wrażenie, jakby spał.

W PRL-u na plaży w Sopocie stały kosze plażowe, w których można się było bardzo wygodnie schować. Zbyszek Cybulski miał kompleks na punkcie swojej wagi (może miał w tym trochę racji) i po plaży chodził zawsze w płaszczu kąpielowym.

Ach, jak wszyscy z ekipy *Do widzenia, do jutra* wyglądali wtedy zdrowo, młodo, a dziś prawie wszyscy już nie żyją.

KLOSS
KLOSS
KLOSS

DYLEMATY WARSZAWIAKÓW

W karykaturze Szymona Kobylińskiego

reżyser filmowy JANUSZ MORGENSTERN

„Nie wszystkim wszystko jednako się widzi".

(Ada berg)

Kuba filmowiec był bohaterem sympatycznych karykatur.

NA DRUGIM biegunie doświadczenia zawodowego Kuby z tamtego czasu są *KOLUMBOWIE*, serial, w którym pokazuje młodych ludzi, ale pokazuje też ich dalszą drogę, wszystko, przez co musieli przejść w życiu. Przy tym filmie nie było już zabawy. Kubę bardzo to dotykało, bo sam przeżył wojnę, i to w sposób dramatyczny. Ze zdjęć do *Kolumbów* nie wracał do domu

radosny. A pracując nad *MNIEJSZYM ZŁEM*, wracał refleksyjny, żeby nie powiedzieć – w depresji. Dotarło do niego, że nie jest już młody, że czas pędzi strasznie szybko, że jest już w tej drugiej fazie życia. Często zresztą o tym rozmawialiśmy. „Jak to możliwe, że jesteśmy ze sobą już prawie pięćdziesiąt lat?" – pytał. – „Kiedy to się stało? Jak to się stało, że ten czas upłynął tak niepostrzeżenie". Mieliśmy ciekawe życie. Dopiero kiedy Kuba zachorował, dotarła do mnie – i do niego zresztą też – tak namacalnie świadomość upływającego czasu.

Byłam świadkiem rozmowy mojego męża z Ryszardem Matuszewskim, znanym publicystą, zmarłym w 2010 roku. Kuba skarżył się, że miał uroczyste urodziny, minęło mu osiemdziesiąt lat i czuje się z tym bardzo niekomfortowo. Na to Matuszewski aż krzyknął: „Osiemdziesiąt lat?! Toż ty jesteś bardzo młody! Jak ja chciałbym mieć osiemdziesiąt lat! A mam niestety dziewięćdziesiąt trzy... No widzisz!". Spojrzenie na nasz wiek jest więc sprawą płynną. Zależy, z jakiej perspektywy się patrzy.

Z kolei ja rozmawiam i spotykam się z o wiele młodszymi przyjaciółmi i w głowie mam jedno – przecież jestem od nich starsza o całe pokolenie – i dziwię się, że oni tego nie zauważają. Przytulają mnie do siebie, a ja odwdzięczam się wiadomościami nawet sprzed pół wieku. Dziwne, ale najczęściej mówią, że za moich czasów było ciekawiej. No bo nie było mowy o pieniądzach, nie było wyścigów w strasznym tempie w pracy. Nie było telewizji, nie było komórek, Internetu, telefony źle działały, no to młodzież musiała się wyszumieć inteligentniej.

NA DWA lata przed śmiercią Kuby dostaliśmy zaproszenie do Zachęty na pokaz *Do widzenia, do jutra*. Poszliśmy, bo wypadało, ale z przekonaniem, że nikt tam nie przyjdzie, że zobaczymy pustą salę. Nawet się nie przebraliśmy po pracy w ogrodzie, a tu... nie mogliśmy dopchać się na salę, tak wielki tłum ludzi stał przy wejściu. I to młodych ludzi. Do Kuby podeszła jakaś dziewczyna i powiedziała: „Czy mogę uścisnąć panu rękę

i podziękować za ten film? Widziałam go już siedem razy!". Byliśmy wstrząśnięci. Kuba był zachwycony.

Na moment wróciliśmy do tamtych naszych młodzieńczych czasów, do tamtych przyjaźni, do wspomnień o ZBYSZKU CYBULSKIM. Przypomniałam sobie jego ostatnią, niespodziewaną wizytę (wszystkie jego wizyty były niespodziewane) u nas na Rynku Starego Miasta. Przyszedł w nocy – najczęściej tak przychodził, tak lubił. Ja leżałam już w łóżku, a oni z Kubą długo rozmawiali. Potem Zbyszek podszedł do mnie, nachylił się i powiedział:

– Wiesz co, stareńka, ty to masz chyba najlepszy zawód, bo to nie jest ulotne. Twoje gobeliny będą i będą.

Parę dni później dowiedzieliśmy się, że on nie żyje. To było wbrew naturze.

Wspomnienie Zbyszka Kuba cały czas w sobie nosił.

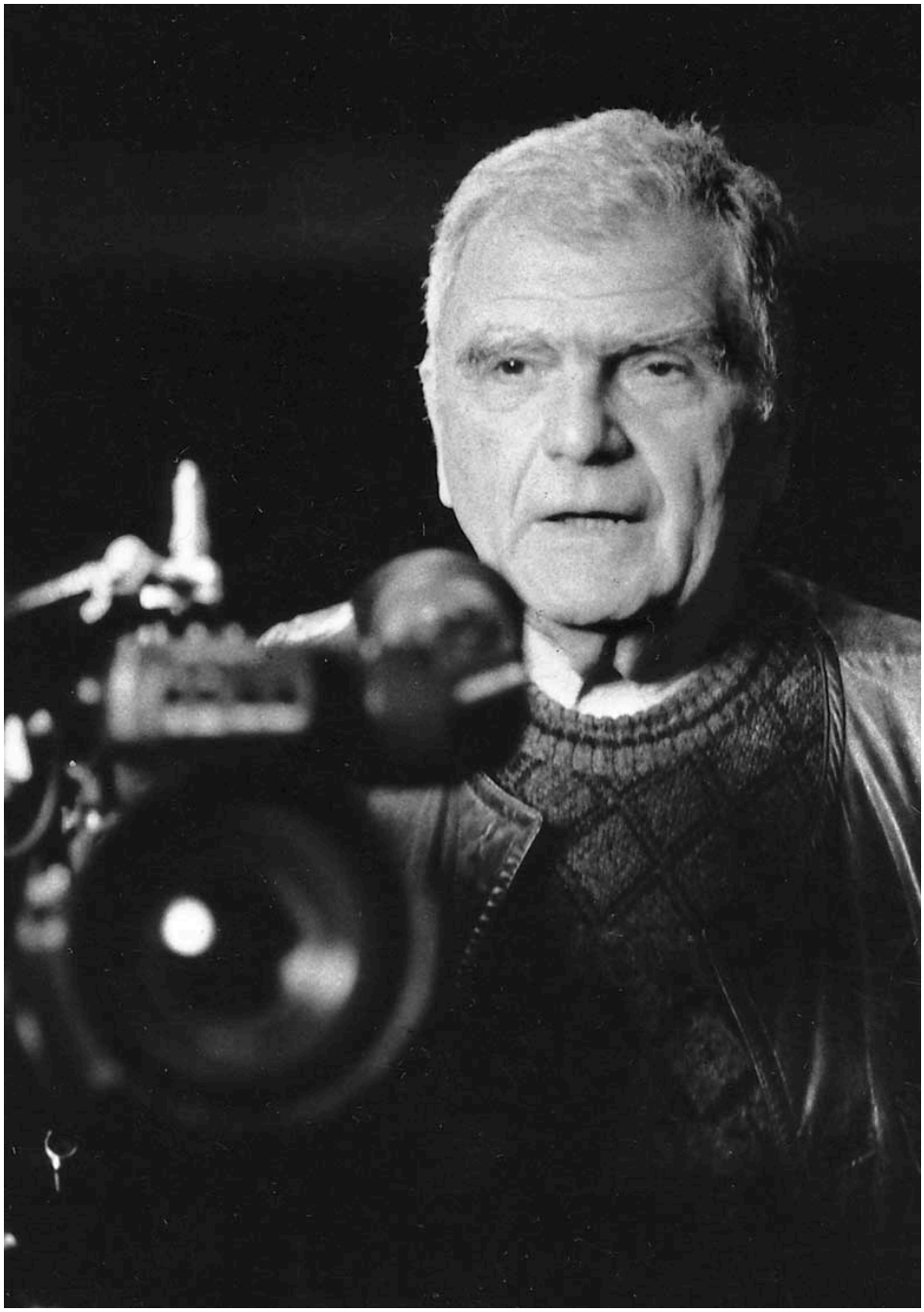

KUBA MORGENSTERN:

„…ja go nie uważałem za zawodowego aktora. Ja uwierzyłem w niego.

To jest niezwykłe wydarzenie, że ja jedyny raz zagrałem epizod na scenie i Zbyszek to reżyserował. Było to na wakacjach, na obozie studenckim w Jadwisinie, niedaleko Warszawy, i tam była zebrana młodzież; myśmy wtedy jeszcze byli studentami – ze szkoły filmowej, z trzech akademii teatralnych i z dwóch akademii plastycznych. Każda grupa miała przedstawić wieczorem jakiś spektakl, no i wtedy właśnie, w jednym, który reżyserował Zbyszek, zagrałem malutki epizod. Ale pomyślałem sobie, że nigdy więcej, że to nie jest moje powołanie".

„Wiele lat po pierwszym filmie ze Zbyszkiem Cybulskim nie umiałem zrobić żadnego z nim filmu, to był dla mnie dramat, a on ciągle miał o to do mnie pretensje… Robiłem już *Jowitę* i pomyślałem sobie, że muszę go koniecznie w czymś obsadzić, przynajmniej jakiś epizod – ale moim zdaniem znaczący – mu zaproponować. Jak zadzwoniłem do Zbyszka, to on niesłychanie się ucieszył i zaprosił mnie na obiad – byłem chyba jedynym człowiekiem w życiu, którego on zaprosił na obiad – wysłałem scenariusz, żeby się zapoznał i żebyśmy mieli o czym rozmawiać. Przyszedłem do niego do domu i nagle zorientowałem się, że on jest absolutnie przekonany, że ja mu proponuję rolę Arensa, którego później zagrał Olbrychski. Zacząłem mu tłumaczyć, dlaczego nie może grać tej roli, po pierwsze, powiedziałem mu, że już obsadziłem Daniela Olbrychskiego, który zresztą wspaniale się wywiązał z tego zadania. I po chwili, jak go próbowałem przekonać, powiedział, że jeszcze raz przeczyta. I rzeczywiście drugi raz spotkaliśmy się i powiedział mi coś, co było dla mnie lekcją na wszystkie lata: «Słuchaj, ty obsadzasz go, dlatego że on wygląda lepiej, że biega lepiej. Ale przecież to nie jest ważne, nie chodzi o to, że to jest młody człowiek, tu są sprawy honoru, psychologiczne, przecież ja też to mogę zagrać, tylko nie będę biegał czterysta metrów, bo nie dałbym rady. Nie będę lekkoatletą, tylko będę startował w rajdach motocyklowych, będę żużlowcem, opatulę się w skóry, przecież chodzi o człowieka, a nie o mój

wygląd». To była niezwykle interesująca myśl, którą na przyszłość wziąłem pod uwagę. Powiedziałem, że tamto przepadło, i wtedy zgodził się zagrać tę niedużą rolę, ale był znakomity w scenie z Danielem w łazience… On jest… był… – jak trudno mi mówić «był» –jednym z najlepszych aktorów, z którymi miałem do czynienia, i całe życie będę żałował, że tak to się stało, że ten nieszczęśliwy wypadek nas rozłączył".

PO ŚMIERCI Zbyszka Kuba wyławiał już tylko pojedynczych przyjaciół. Bardzo sobie cenił Jerzego Buchwalda, od 1978 roku szefa produkcji studia Perspektywa. Jurek umarł w 2005 roku. Po kolei bliscy mu ludzie zaczęli umierać. Bardzo przyjaźnił się z Romanem Polańskim.

ROMEK

Znali się jeszcze ze szkoły filmowej. Kuba był starszy od Romka, więc mniej niż on szalał, co wynikało z wieku, ale też charakteru. Romek uwielbiał szaloną zabawę, ale był i jest też niebywale pracowity. Czasem odwiedzaliśmy go w Paryżu, przyjeżdżaliśmy też na jego niektóre plany zdjęciowe, bo Romek mówił, że obecność Kuby na planie przynosi mu szczęście. On też nas odwiedzał. Obaj – i Kuba, i Romek – mieli bardzo silne charaktery. A jednak przyjaźnili się kilkadziesiąt lat.

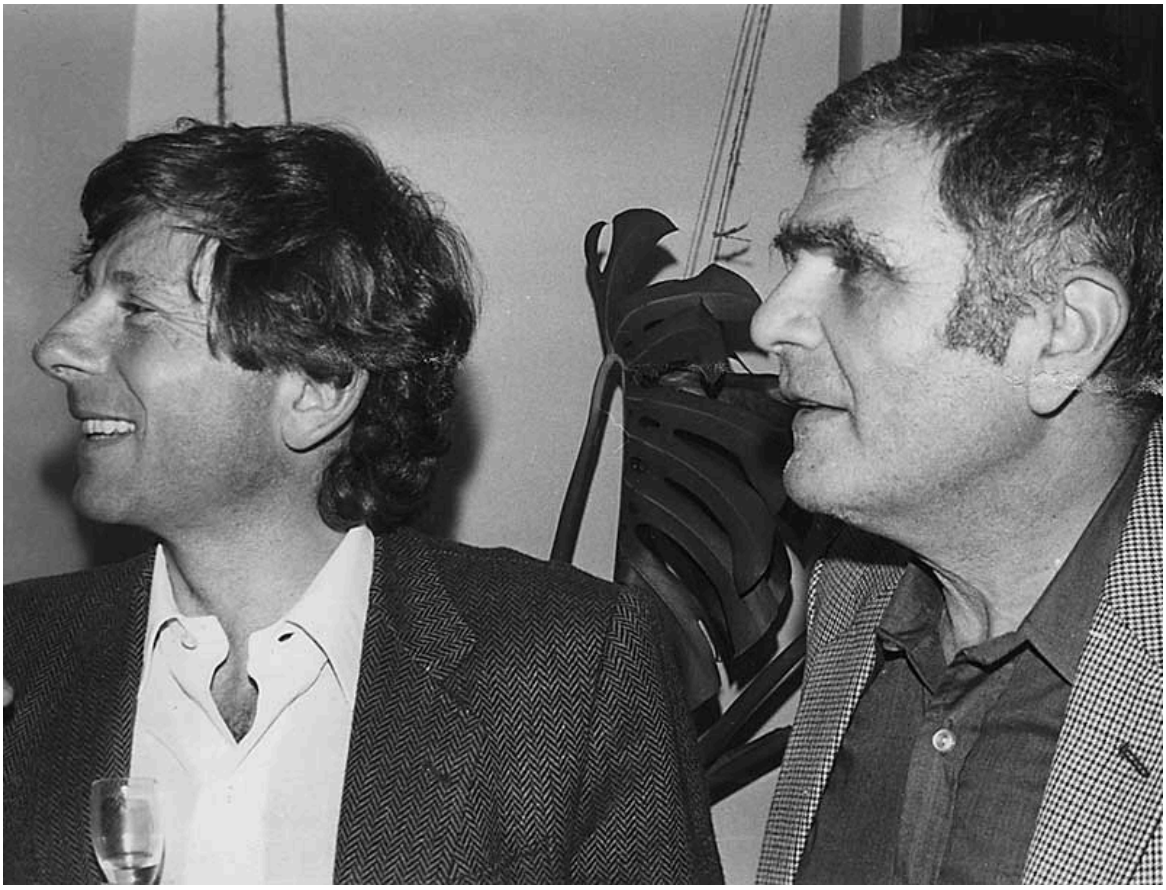

Przyjaciele – Romek i Kuba, przełom lat siedemdziesiątych i osiemdziesiątych XX w.

Romek bardzo ryzykował, przyjeżdżając w 2011 roku na pogrzeb Kuby. Odradzałam mu to. Nie dlatego, żeby groziło mu coś z polskiej strony, ale bałam się, że może się to wszystko bardzo źle skończyć. Po rozmowie z nim zaczęłam wydzwaniać po wszystkich ważnych znajomych, aby dołożyli starań i zachowali jego anonimowość. Wszyscy stanęli na wysokości zadania. Było dosłownie kilka godzin do jego przylotu i wszystko udało się załatwić. Przyleciał, wyleciał i nigdzie nie figurowało jego nazwisko. Oczywiście na pogrzebie było pełno fotoreporterów, nie spodziewali się tam Polańskiego, ale również nie wiedzieli, że będzie dwóch prezydentów, Aleksander Kwaśniewski i Bronisław Komorowski z żoną Anną. „Kto, oprócz Szymborskiej, miał pogrzeb, na który przybyło dwóch prezydentów?!" – pytał Tadzio Konwicki. Kiedy pokazał się Polański, fotoreporterzy zamarli, przez kilka sekund żaden z nich nie zrobił zdjęcia. To był szok. Bardzo mu

byłam wdzięczna, że przyjechał, chociaż wiedział, jak wiele ryzykuje. Byłam niedawno w Paryżu i bardzo mu za to dziękowałam. Powiedział: „Co ty?! Przecież Kuba był moim przyjacielem. Jesteście moją rodziną". To jest cały Romek. To, że był na pogrzebie, obok mnie, trzymał mnie za rękę, było dla mnie bardzo ważne.

ZNAM Romka prawie tak długo jak Kubę, czyli pięćdziesiąt lat. W Szkole Filmowej w Łodzi Romek miał opinię nieznośnego, bardzo zdolnego, bardzo dowcipnego chłopaka. Lubił ładne dziewczyny i tu dobrze się z Kubą rozumieli. Mieli zupełnie różne charaktery, ale ich przyjaźń, bliskość niemal rodzinna, przetrwała aż do śmierci Kuby. Gdy mieszkaliśmy z Romkiem w Warszawie albo Paryżu, wielu naszych znajomych próbowało to wykorzystać. Muzyk, aktor, dziennikarz – zwracali się do mnie jak do asystentki Romka z rozmaitymi propozycjami. A ja wyławiałam z tego oceanu próśb i wniosków to, co wydawało mi się interesujące i ważne. Siadaliśmy do śniadania – Romek jak zwykle zajęty trzema rzeczami naraz, a ja starałam się znaleźć odpowiedni moment, żeby mu te sprawy podrzucić. Z reguły mnie spławiał, więc wpadłam na pomysł – pisałam nazwiska, słowa, krótkie zdania na dużych kartkach i mu je pokazywałam. Przeważnie rozmawiał przez telefon, więc chodziło o to, żeby słów na kartce było mało, a litery duże, na przykład „MUZYK. JAN KOWALSKI. CHCE DLA CIEBIE KOMPONOWAĆ". Romek czytał, a potem przeważnie pokazywał palcem w dół, jak cesarz, bo zawsze ma ustaloną swoją ekipę.

Kuba z Romkiem u nas na Żoliborzu, przełom lat siedemdziesiątych i osiemdziesiątych XX w.

Romka spotykają w życiu największe szczęścia i największe nieszczęścia. Oj, ile wspólnych historii przetoczyło się w tym czasie. Radosnych i tragicznych. Nigdy nie rozmawialiśmy z Romkiem o tragedii, która go spotkała w Los Angeles – strasznym morderstwie jego żony i nienarodzonego jeszcze syna. W tamtych czasach dodzwonić się z Polski do Stanów było niemożliwością. I jak? Nie znaliśmy nawet jego ówczesnego numeru, to były przecież czasy przed telefonami komórkowymi. Kiedy spotkaliśmy się po tym wszystkim pierwszy raz w Polsce, nie chcieliśmy mu o tym koszmarze przypominać, chcieliśmy, żeby było radośnie. Ale wiele lat później, kiedy byłam w Los Angeles, poszłam ze znajomą na cmentarz na grób jej córeczki i nagle odwracam się i patrzę na tabliczkę – okazało się, że stoję przy grobie zamordowanych żony i synka Romka. Zrobiło to na mnie niesamowite wrażenie.

Gdy spotkaliśmy się w Paryżu na początku lat sześćdziesiątych, jak zwykle nie miałam gdzie mieszkać, a Romek miał filmowe mieszkanie

z Basią Kwiatkowską, która wtedy pracowała w Rzymie przy filmie *Co za radość żyć* (reż. René Clément). „Zapraszam do mnie, mam dwa pokoje" – zaproponował od razu. I tak przez dwa tygodnie mieszkaliśmy jak brat z siostrą. Nie mieliśmy grosza, wszędzie chodziliśmy pieszo, bo metro było dla nas za drogie. Romek, kolebiąc się na szynach tramwajowych, deklamował mi Gałczyńskiego. Tak pięknie, że pamiętam to do dzisiaj. Zresztą wiele lat później, w 1981 roku, kiedy z kolei on mieszkał u nas, reżyserując w Teatrze na Woli *Amadeusza* Petera Shaffera, recytował mi te same wiersze, kiedy zmywałam naczynia.

Wracając do tamtego Paryża – Gérard Brach, przyjaciel i współautor pierwszych scenariuszy Romka, też nie miał gdzie mieszkać, ale producent Pierre Roustang oddawał mu na noc biuro, gdzie mógł się wylegiwać do rana na wszystkich biurkach. Mało tego – dostawał diety na poczet powstającego scenariusza i wieczorem za te pieniądze wszyscy troje szliśmy na kolację. Żeby było śmieszniej, Romek z Basią kupili sportowego mercedesa, oczywiście czerwonego, żeby zaszpanować, jak przyjedzie do Warszawy i zaparkuje pod SPATiF-em. Samochód stał na podwórku, patrzyliśmy na niego przez okno z uwielbieniem, ale Romek nie mógł go ruszyć, bo nie miał kasy na ubezpieczenie i benzynę.

Pędzimy na jakiś bankiet, lata siedemdziesiąte XX w.

Wtedy w Paryżu Romek zaimponował mi i zachwycił swoją niewyobrażalną pracowitością. Całe dnie rysował – klatka po klatce – kadry do *Wstrętu* (1965), swojego pierwszego pełnometrażowego filmu na Zachodzie. Potem zaczęła się już jego światowa kariera.

Jeszcze kilka razy podczas moich pobytów w Paryżu mieszkałam u Romka. Pewnego dnia poszliśmy na dyskotekę. Romek rozejrzał się i usadowił mnie na takim dużym pufie. Potem wracam z tańca, a tu moje miejsce zajęte przez jakichś młodych ludzi. Byli t a k ubrani – w PRL-u nigdy by się tak nie pokazali – dżinsy w dziurach, no po prostu dzieci kwiaty. Rozpycham się, siadając, a Romek mówi: „No, może byś nie zrzucała ich tak brutalnie. Przecież to w końcu księżniczka Stephanie z Monaco z narzeczonym". Ale i tak mi ustąpili. Co za zwycięstwo Polki z PRL-u!

Kilka lat później w Paryżu byłam już dla samej siebie ważniejsza, bo sprzedałam gobelin za sto dolarów. Wtedy to była fortuna. Znalazłam mały pokoik za jednego dolara dziennie w hoteliku na Wyspie Świętego Ludwika. Ten hotelik ciągle tam stoi, tyle że dziś pięciogwiazdkowy. Wtedy wszyscy artyści z Polski znajdywali w Paryżu podobne miejsca. Na wspólnej uliczce spotykałam ich wielu – kłanialiśmy się sobie, jakbyśmy byli na Mariensztacie, a wieczorem nasza wyrafinowana, intelektualna Polonia przymusowo spotykała się w Deux Magots.

„Kolacja u Krystyny" z okazji przyjazdu Romka do Polski. Od lewej stoją: Andrzej Wajda, Krystyna Zachwatowicz, Krystyna Kołodziejczyk, Krystyna Mierzejewska, Zofia Nasierowska, prof. Jerzy Mierzejewski; w centrum Roman Polański, u jego stóp Kuba, ja i Janusz Majewski, lata siedemdziesiąte XX w.

Wyjeżdżając wtedy z Paryża do Warszawy, na pożegnanie powiedziałam Romkowi: „Jeśli przyjedziesz do Warszawy, pamiętaj, że nasz dom zawsze będzie twoim domem". „Naprawdę?" – zapytał. „Naprawdę". Pamiętam, jak niedługo później zadzwonił, dzień przed Wigilią, że będzie u nas za parę godzin. Ale był straszny mróz i samolot z Paryża, zamiast lądować w Warszawie, wylądował w Pradze. Stamtąd Romek jechał do Warszawy jakimś samochodem. Już w Polsce zatrzymywał się przed knajpami przy drodze, żeby coś zjeść i zadzwonić do nas. Ale nigdzie nie chcieli go wpuścić, bo nie miał krawata. Tak to wtedy było. Naprawdę.

Po przyjeździe Romka w drugi dzień świąt zorganizowaliśmy z Kubą zjazd filmowych kolegów. Tylko kolegów – bez żon. Ja byłam tolerowana tylko dlatego, że dawałam im jeść. Ależ oni się wtedy bawili, zgrywali, zakrapiając czystą wyborową, bo wtedy nie piło się jeszcze wina czy whisky, to były kapitalistyczne trunki zagrażające socjalizmowi, a co dopiero komunizmowi! Są zdjęcia z tego spotkania, bo Janusz Majewski na trochę wpuścił Zosię Nasierowską, aby zdokumentowała ten wieczór. A byli tam: Kondratiuk, Zanussi, Bareja, Kostenko, Majewski, Łomnicki, profesor Mierzejewski, Skolimowski, Jahoda, Wajda, no i oczywiście Kuba i Romek, który był wtedy w najlepszej towarzyskiej formie.

Historia filmu polskiego w jednym kadrze. Na górze od lewej: Andrzej Kostenko, Tadeusz Łomnicki, Kuba, Krzysztof Zanussi, w środku Romek, obok niego Mieczysław Jahoda i Jerzy Skolimowski. Pierwszy z prawej Andrzej Wajda, obok niego Janusz Majewski.
Na dole od lewej: Jan Łomnicki, Stanisław Bareja, prof. Jerzy Mierzejewski, Andrzej Kondratiuk.
Przyjacielskie spotkanie z okazji przyjazdu Romka na Boże Narodzenie, lata siedemdziesiąte XX w.

Po pewnym czasie znowu byłam w Paryżu, a Romek, już sławny i doceniony po świetnie przyjętych filmach – *Wstręcie* i *Matni*. Mieszkał wtedy w swoim pięknym apartamencie. Znowu skorzystałam z jego gościnności. Któregoś wieczoru zaprosił mnie na kolację. Wśród gości byli Rothschild, ten Rothschild, i Miloš Forman. Romek, chcąc mnie godnie im przedstawić, powiedział: „Ona była kiedyś *pas mal*!", czyli niezła – kiedyś. To było jakieś czterdzieści lat temu... Potem Romek na długo zniknął nam w Hollywood. Cieszyliśmy się bardzo, że nasz

człowiek robi taką karierę. Aż do tego szokującego dnia, którego konsekwencje odczuwa do dzisiaj.

Właśnie wracaliśmy z Kubą z jakiegoś festiwalu filmowego. Przejazdem nocowaliśmy w paryskim mieszkaniu Romka. Nigdy nie zapomnę dramatycznej rozmowy telefonicznej, jaką odbyli wtedy z Kubą. To było na dzień przed jego trzydziestodniowym zatrzymaniem. Już w Polsce, żeby go rozweselić, zrobiliśmy dla Romka paczkę z kawiorem i przekazaliśmy do Los Angeles przez przyjaciółkę, która tam jechała. Zostawiła ją w sekretariacie u uznanego producenta filmowego Dina De Laurentiisa. Paczka nigdy do Romka nie trafiła. Kawior na pewno komuś smakował!

À PROPOS De Laurentiisa. Kuba, jak wracał z pracy do domu, zawsze pytał, kto dzwonił. A jak już mu odpowiedziałam, to mówił: „A De Laurentiis dzwonił? Albo Ponti?". Odpowiadałam wtedy, że „jeszcze nie". To był nasz stały żart. Są lata osiemdziesiąte. Któregoś dnia odbieram telefon, a po drugiej stronie słuchawki słyszę kiepską francuszczyzną: „Mówi De Laurentiis". „Kiepski żart" – odpowiadam również po francusku, a on: „To naprawdę ja, podaję ci mój numer w Los Angeles, zadzwoń, to sama się przekonasz". Szybko przeliczyłam w głowie, ile kosztowałaby mnie taka rozmowa, i powiedziałam, że jak Kuba wróci z pracy, to sam do niego oddzwoni. I Kuba wraca z pracy.

„– Kto dzwonił?

– De Laurentiis.

– Jeśliby jeszcze raz dzwonił, to powiedz, że mnie nie ma".

Okazało się, że De Laurentiis kilka tygodni wcześniej przesłał Kubie scenariusz filmu, który chciał kręcić w Warszawie, i liczył na to, że Kuba, jako drugi producent, da na niego pieniądze. Scenariusz był, mówiąc delikatnie, mało interesujący. A Kuba, będąc producentem państwowym, i tak nie miał tyle pieniędzy.

POCZĄTEK lat osiemdziesiątych. Nasz dom na Żoliborzu huczał życiem artystycznym dzięki Romkowi, który reżyserował w tym czasie *Amadeusza* Petera Shaffera, sztukę o Salierim i Mozarcie. W roli głównej (jako Salieri) wspaniały Tadeusz Łomnicki, a obok niego, oprócz Polańskiego w roli Mozarta, cała plejada bardzo dobrych aktorów. Czasem były u nas próby jak w teatrze. Kręciło się pełno aktorów, którym bardzo zależało na przychylnym oku Romka. Byłam przez trzy miesiące nie tylko asystentką Kuby, ale i Romka. Obojętnie, do którego z nich był telefon – obaj mówili, że nie ma ich w domu. Sterty scenariuszy, które napływały codziennie – gdyby Romek miał je wszystkie czytać, nie zdążyłby zrobić już żadnego filmu. Starałam się tym dwóm reżyserom gotować jak najlepiej, ale czasem nie widziałam w nich entuzjazmu. Raz usłyszałam, jak Kuba mówi szeptem do Romka: „Nie krytykujmy jej, bo już w ogóle nam nic nie ugotuje". Wieczorami spotykaliśmy się w gronie przyjaciół, a było ich wtedy wielu, Witold Sobociński, Gene Gutowski... Jednego dnia o ósmej rano ktoś dzwoni do drzwi. Patrzę przez okno, a tu Nikita Barysznikow z walizką. Pyta, czy może u nas trochę pobyć. Po prostu zwiał z Wiktorii, gdzie miał apartament. Wtedy zdałam sobie sprawę, jaką charyzmę ma Romek, oprócz talentu.

Z Kubą i Michaiłem Barysznikowem przed naszym domem na Żoliborzu, lata osiemdziesiąte XX w.

W naszej, ulubionej przez Romka kuchni. Spotkania podczas jego kolejnego pobytu w Polsce. Lata osiemdziesiąte XX w.
Od prawej: Krystyna Zachwatowicz, Zofia Nasierowska, Andrzej Wajda, ja, Romek (oczywiście ze słuchawką przy uchu, zapewne coś załatwia), Kuba, Janusz Majewski.

Od prawej: Romek, Emmanuelle Seigner, Witold Sobociński, Kuba.

Po trzech miesiącach premiera. Cała Warszawa chciała na niej być. Miałam jako pośredniczka do dyspozycji kilka biletów i co najmniej ośmiu kandydatów na jedno miejsce. Trudno było nawet przy dobrej dyplomacji wyjść bez szwanku z tej sytuacji. Potem widziałam to przedstawienie w Paryżu i muszę przyznać, że u nas naprawdę było lepsze.

W tym czasie po mieszkaniu chodziły pies ze schroniska, Kajtek, i kotka Mia Farrow, znaleziona na ulicy w Bułgarii, która rodziła kotki co parę miesięcy, takie miała powodzenie u polskich kotów. Gdy w marcu 1981 roku przyjechał Romek na polską premierę *Tess*, jakby w prezencie dla niego Mia urodziła w nocy cztery kotki. Rano jemy w trójkę spokojnie śniadanie, a Mia pod nogami Romka urodziła jeszcze piątą kotkę. Nazwaliśmy ją Tess. Żyła dziewiętnaście lat.

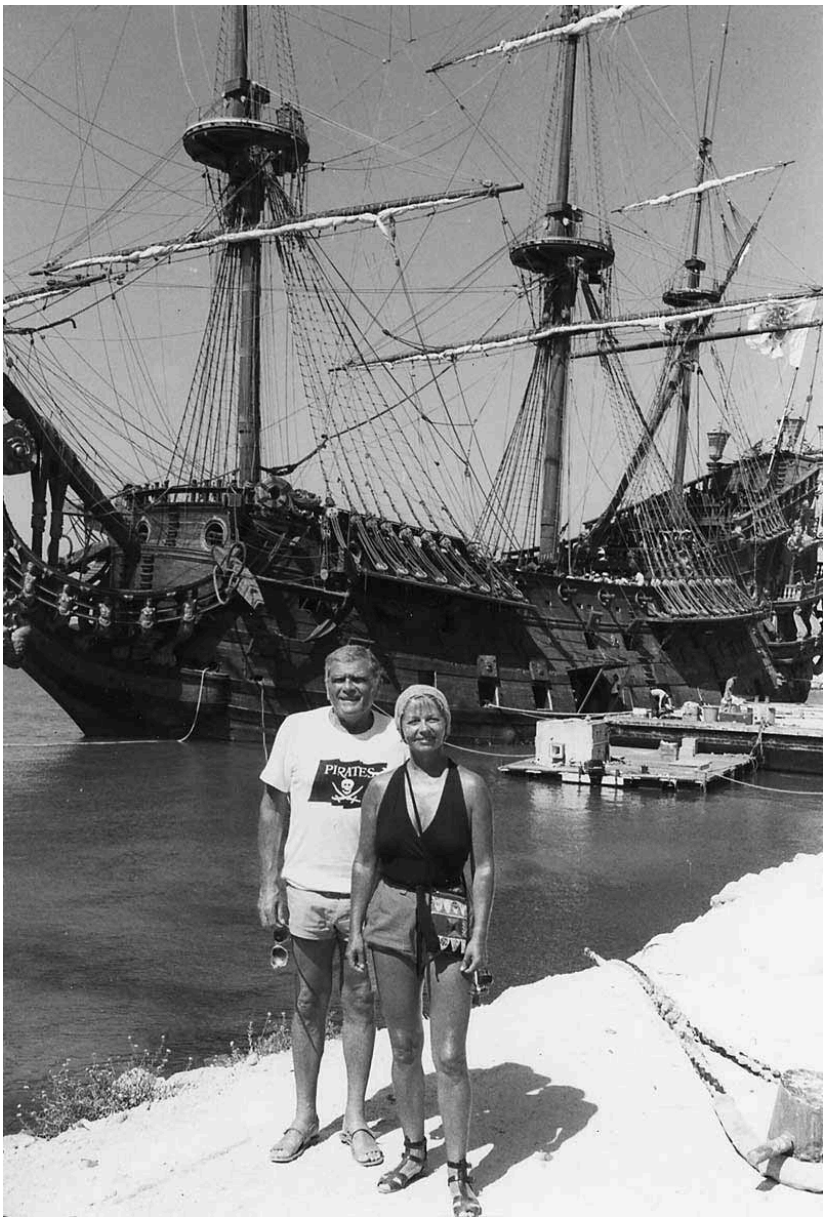

Nasze wakacje, na planie *Piratów* realizowanych przez Romka, lata osiemdziesiąte XX w.

Gdy w 1985 roku Romek kręcił *Piratów*, zaprosił nas do Tunezji, gdzie przed naszymi oknami stał na morzu piękny piracki statek. Mieliśmy wspaniałe wakacje, ale dla Romka to był bardzo ważny czas. Wtedy poznał piękną dziewczynę, Emmanuelle, i wiedział, że to jest TA. W sobotę i niedzielę nic nie mogło go powstrzymać, aby nie pojechać do niej do Paryża. *Coup de foudre* absolutny. To było ponad trzydzieści lat temu i do dziś są dobrym małżeństwem, mają wspaniałe dzieci. Kiedy Romek przywiózł pierwszy raz Emmanuelle na święta Bożego

Narodzenia do Polski, była bardzo zdziwiona, że przez wszystkie dni świąteczne w każdym polskim domu je karpia w galarecie.

Z Januszem Głowackim, Andrzejem Wajdą i Romkiem na jednej z filmowych uroczystości, początek lat dwutysięcznych.

Pamiętam, jak kiedyś w czasie stanu wojennego Romek przesłał nam przez znajomych dyplomatów dużą szynkę westfalską – dostaliśmy więc ją drogą dyplomatyczną. Znajomi przekazali mi ją w umówionym miejscu, jak nielegalną bibułę, mimo silnego pięknego zapachu. Wiozłam ją samochodem, ale niestety wkrótce była godzina milicyjna i pamiętam, jechałam Alejami Jerozolimskimi i Marszałkowską, które przypominały tory wyścigów – wszyscy się spieszyli, aby zdążyć przed dwudziestą drugą do domu. Na szczęście nie było jeszcze wtedy fotoradarów. Ale już na Żoliborzu jechała za mną suka i milicjanci czekali, bo za pięć minut mogli mnie już aresztować. A gdyby jeszcze

wiedzieli, co ja wiozę! Wjechałam w jakąś ciemną bramę i czekałam. Tak, po kawałku, dojechałam do domu. Pamiętam ten strach, bicie serca. Nie wiem, jak mogło starsze pokolenie przeżyć wojnę, tę prawdziwą.

WRZESIEŃ 2013. Jestem w Gdyni na 38. Festiwalu Filmowym. Trzy lata wcześniej Kuba zdążył tutaj odebrać Platynowe Lwy za całokształt twórczości. Bardzo się cieszyliśmy. I to wtedy Kuba, trzymając nagrodę w ręku, również podziękował swojej żonie, Krystynie, czyli mnie, i życzył jej wszystkiego najlepszego. Cztery lata później oglądałam tę scenę w filmie dokumentalnym i bardzo płakałam. W 2013 roku Platynowe Lwy odebrał Jerzy Antczak, wspaniały nasz przyjaciel, po którym Kuba przejął Zespół Filmowy Perspektywa.

Kuba z Andrzejem Wajdą i Romkiem w roli Papkina, na planie *Zemsty,* 2002.

Jak zwykle w czasie festiwalu wyszłam z hotelu, aby coś kupić. A tu nic. Znane mi sklepy pozamykane. Czarne dziury. Ależ tu kapitalizm się przywlókł. Głodna, skąpana w deszczu, poszłam do budki z hamburgerami. Wolałabym usiąść, ale ławkę zajęły przytulone do siebie gołębie. Mówię do nich: „Przenieście się, też chcę siedzieć". I rzeczywiście zrobiły mi miejsce. Ale jak zaczęłam jeść, w takim samym rzędzie usiadły nad moim talerzem. Co miałam robić? W końcu coś za coś... zjadły mi wszystko.

Pod koniec festiwalu do Gdyni przyjechał Romek na premierę swojego nowego filmu *Wenus w futrze*. Po projekcji wszyscy wstali, duży aplauz. Czuło się serdeczność. Dostał piękne kwiaty, które następnie wylądowały w moich ramionach. Nigdy nie zapomnę tej chwili. Myślę, że to nagroda za pięćdziesiąt lat naszej wspólnej przyjaźni. Kuby, Romka i mojej.

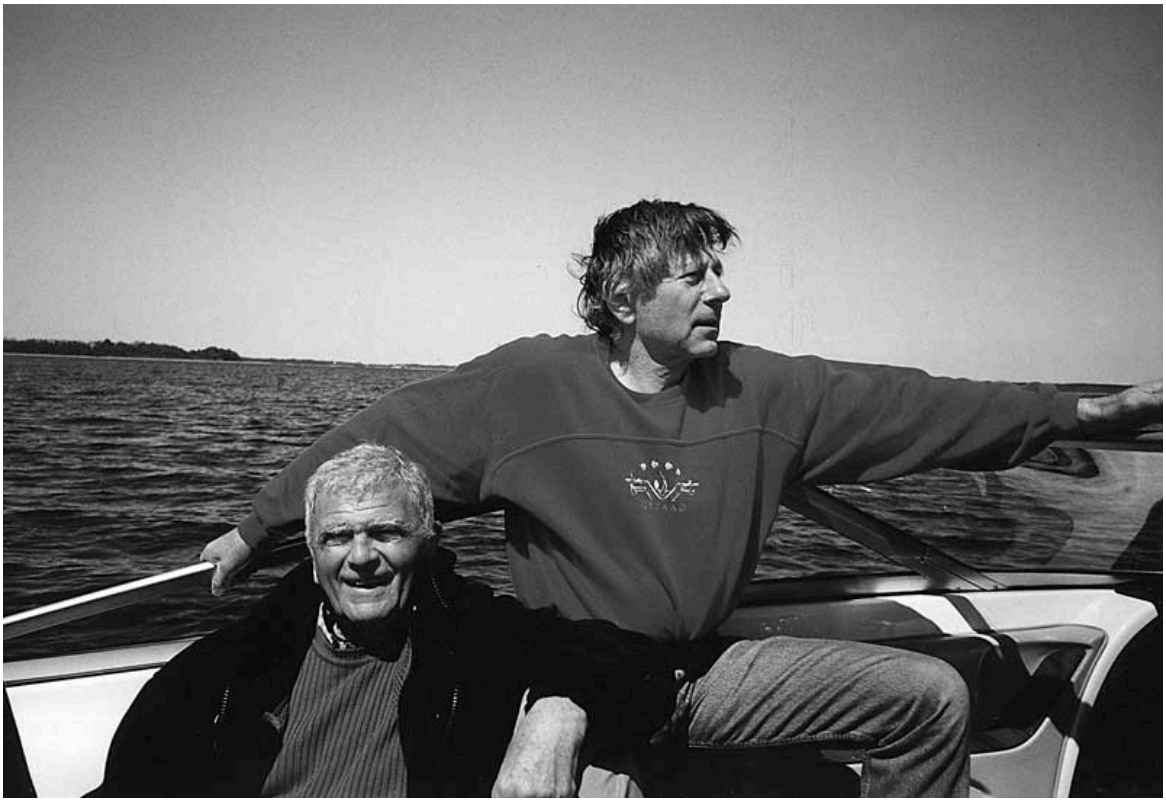

Kuba z Romkiem – wakacje na Mazurach, lata dziewięćdziesiąte XX w.

A potem szukamy z Romkiem wspomnień. Dostajemy czarne pancerne bmw. Jedziemy do Sopotu. Cel: Grand Hotel, ten sam, w którym mieszkali kiedyś nasi realizatorzy filmowi i po pracy bawili się z fantazją. Sopot wtedy tętnił życiem całą dobę. Jesteśmy z Romkiem u bram Grand Hotelu. Pięknie wykończony na biało. Cisza. Spokój. Przystojny ochroniarz zastanawia się, czy Romek może wyjść z tego pancernika. Ale widzimy, że nikogo nie ma, tylko my stukamy obcasami po białych marmurach. Stoimy przed fontanną, kierunek morze. Romek pyta: „A dlaczego tu są kraty dookoła?". Rzeczywiście są. Monitoring zadziałał, przyleciała panienka, myśląc, że to grupa terrorystyczna. Zobaczyła Romka i padła z wrażenia. A na nas spłynęły wspomnienia – widok naszych wszystkich przyjaciół, roześmianych, pełnych życia. No i już po życiu. Jeszcze jedziemy pod SPATiF, tu drzwi zaryglowane, szybko wracamy do samochodu, zagania nas ochroniarz, ale nagle tuż przed Romkiem wyrasta duża rodzina, widać, że gdzieś z dalekiej wsi. Poznali go, stoją jak wryci. Oczy zachwycone i prośba o zdjęcie. Ochroniarz mówi, że nie, ale oni wyglądali na tak zrozpaczonych, tak zastygli w ruchu, że Romek wyszedł z samochodu, wziął ich w ramiona i mają zdjęcie.

Kuba był na zewnątrz bardzo wesołym, kontaktowym człowiekiem, ale niewielu ludzi znało go dobrze. Nie otwierał się łatwo. Czy czegoś się bał? Zawsze bał się agresji ludzkiej. Jego wojenne losy to była groza. Trudno to sobie dzisiaj nawet wyobrazić. Sześć lat w permanentnym strachu przed każdym spotkanym człowiekiem. Nigdy nie chciał o tym mówić. Trochę opowiedział Tadeuszowi Konwickiemu, trochę Romkowi, trochę mnie, ale wszystkiego chyba nigdy nikomu.

Ostatnie dwa miesiące życia Kuby były bardzo trudne. Bardzo cierpiał. Szpital, te wszystkie maszyny, do których był podłączony… Tak, on chciał żyć. Lekarze też się starali, żeby to przeżył. Ale jednocześnie widziałam w jego oczach strach przed tą całą machiną, jaką jest szpital.

Mam poczucie, że on cały czas jest przy mnie. W naszym domu ciągle czuję jego obecność. Jak zachorował, powiedziałam mu, że nie może umrzeć, bo kto się mną zaopiekuje, jak jego zabraknie. „Ja" – odpowiedział. Teraz, kiedy go zabrakło, mam w sobie siłę, której Kuba zupełnie się u mnie nie spodziewał. Byłby bardzo zdziwiony mną dzisiaj. Zresztą ja też jestem. Nigdy, nawet po pięćdziesięciu latach bycia razem, nie zna się drugiej osoby na wylot. Czego nauczyłam się po jego śmierci? Że muszę być silna, że – chociaż jest wokół mnie wielu przyjaciół i mnóstwo życzliwych osób – mogę już liczyć tylko na siebie.

JUTRO PREMIERA to film Kuby zrobiony w 1962 roku, drugi fabularny po *Do widzenia, do jutra*, o którym reżyser i jego żona jakoś zapomnieli. Był to film zrealizowany zamiast innego o tematyce bardziej wzniosłej, oczywiście zabronionej przez cenzurę. Komedia napisana przez znanego w owych czasach autora Jerzego Jurandota (mąż Stefanii Grodzieńskiej), dziejąca się w małym światku teatralnym, była akurat na te czasy.

W 2013 roku Stowarzyszenie Filmowców Polskich zrobiło premierę wersji zrekonstruowanej cyfrowo. Dzień wcześniej przyjechałam z dalekiej podróży po świecie azjatyckim w ramach budowania nowego życia już bez Kuby.

Dzwonię do niektórych znajomych, zapraszając na następny wieczór, i mówię „Przyjdźcie, będzie *Jutro premiera*". „A jaki tytuł?". „*Jutro premiera*". „No dobrze, ale jaki tytuł?". „No przecież mówię. Do widzenia, do jutra!" Publiczność jednak bardzo dopisała, a gra naszych najlepszych aktorów – wtedy jeszcze takich młodych, rozpoczynających swoje wielkie kariery – była wspaniała. Gustaw Holoubek, Kalina Jędrusik, Aleksander Bardini, Edward Dziewoński. Trudno się dziwić, że ta komedia sprzed pięćdziesięciu lat przebiła śmiechem wszystkie dzisiejsze komedie. Ale by się Kuba ucieszył!

Z Gustawem Holoubkiem na naszym ogrodowym przyjęciu, początek lat dwutysięcznych.

PIĘĆDZIESIĄT kilka lat temu chodziliśmy wszędzie tam, gdzie trzeba było chodzić, gdzie chodzili wszyscy fajni ludzie. Trzeba się było co kilka dni pokazać w różnych miejscach, aby udowodnić, że się jest na topie. Oczywiście ważnym punktem były Hybrydy na Mokotowskiej czy Largactil, czy PIW, Stodoła, w późniejszych latach Ściek przy Krakowskim Przedmieściu, Kameralna, wspomniane już SPATiF i Związek Literatów, a na końcu Bristol, oczywiście były to inne ceny, no i Piwnica Wandy Warskiej na Rynku Starego Miasta z koncertami Wandy i Andrzeja Kurylewicza. Latem najważniejszym miejscem był basen pływacki Legii. Na nim to trzeba było być. Co tam wszystkie dzisiejsze wybory miss piękności! Tam codziennie były wybory dla ówczesnych playboyów (chociaż wtedy jeszcze nie było takiego słowa). No, w każdym razie podrywaczy, do których także zaliczali się mój Kuba oraz Duduś

Pawlikowski, Zbyszek Cybulski, Romek Polański – to była drużyna artystyczna. Ale była również drużyna biznesowa, typowa dla PRL-u. Prywaciarze zajmowali się zawodowo grzebieniami, butami i innymi dziwnymi rzeczami. Byli silni, a wśród nich jednym z silniejszych był niejaki Andrzej Rzeszotarski, słynny w tym czasie bogacz, bo miał dużą limuzynę i codziennie inną parę butów damskich, którą dawał jakiejś pięknej dziewczynie, wieczorem jeden but, a rano drugi. Z tego słynął.

Wieczorami natomiast bywało się w Hybrydach. Stali tam wykidajły, tak się kiedyś mówiło na ładnych barczystych chłopców, którzy byli bramkarzami w klubach. Strasznie się baliśmy, bo czasem nas wpuszczali, a czasem nie. Jak nas nie wpuszczali, to nazywaliśmy ich dość brzydko. Dzisiaj wielu z nich to znane, publiczne osoby, ludzie biznesu.

Zostałam zaproszona niedawno na pięćdziesiątą piątą rocznicę istnienia Hybryd, teraz już przeniesionych na ulicę Złotą. Oczywiście to już nie to samo co dawniej. Wnętrze ładne, ale nowoczesne, jak typowe dyskoteki. Kiedyś wszystko w Hybrydach było zgrzebne, studenckie.

KUBA bardzo lubił tańczyć, najchętniej rock'n'rolla. Uwielbialiśmy bale na ASP. Każdy chciał się tam dostać, ale nie każdy mógł. Przebierałyśmy się na te bale bardzo wymyślnie. Trzeba się było naprawdę postarać, żeby wyróżniać się w tłumie. Taki bal Kuba pokazał w *Jowicie*. Chodziliśmy też na jam session organizowane przez Leopolda Tyrmanda.

Przypomniałam sobie ostatnio tamte wieczory taneczne pod wpływem koncertu jazzowego w szkole muzycznej na ulicy Okólnik w Warszawie. Dostałam zaproszenie, poszłam i poczułam się tak jak przed czterdziestu czy pięćdziesięciu laty. Aż mnie dziwiło, że dzięki muzyce tak po prostu weszłam w klimat tamtych naszych czasów. Siedziałam zachwycona dźwiękami utworów Edwarda Czernego. Ale tańczyliśmy kiedyś przy nim! Teraz też by się przy nim powywijało do rana. Na scenie wspominano pierwszy Festiwal Piosenki w Sopocie –

jego pomysłodawcą był Władysław Szpilman, a dyrygentami Edward Czerny i Stefan Rachoń.

Pamiętam, jak raz weszłam bez biletu na koncert festiwalowy i usiadłam sprytnie w samym środku dużej widowni. Widocznie takich jak ja było więcej, bo obsługa zaczęła sprawdzać bilety. No i wyprowadzili mnie na środek. Do dziś wstydzę się na wspomnienie tego upokorzenia na oczach kilkuset widzów. A potem za karę siedziałam w pierwszym rzędzie, czyli w najbardziej reprezentacyjnym.

Na koncercie w szkole muzycznej grał Zbigniew Namysłowski z synem Jackiem, a na sali wypatrzyłam jedynego znajomego – Henia Melomana. Kiedyś wszystkie dziewczyny chciały z nim tańczyć, nikt tak nie tańczył rock'n'rolla jak Henio. Zawsze, gdy prosił mnie do tańca, byłam zaszczycona. Teraz siedzimy wśród dzisiejszej młodzieży, a przecież dopiero co to my byliśmy przyszłością narodu, wtedy PRL-u. Roztańczoną, chłonną i spragnioną wszelkich nowości.

NIEDAWNO przypadkowo natknęłam się na list z lutego 1960 roku od najprzystojniejszego i najbardziej znanego fotografika w tamtych czasach – Wojtka Plewińskiego z „Przekroju". A wtedy „Przekrój" był decydujący w modzie i w myśleniu. List ten przypomniał mi wspaniałe dwa spotkania jazzowe na Kalatówkach – Jazz Camping Kalatówki. Spotkania grupy najbardziej rozbawionej młodzieży, która potem stała się kopalnią wspaniałych twórców kultury polskiej. Wspominam je jako najbardziej beztroskie i wesołe dwa tygodnie PRL-u. Nie wiem, kto pierwszy wpadł na ten pomysł. Odcięci od świata, w miejscu wtedy prawie nierzeczywistym, w środku gór, z muzyką najlepszych naszych jazzmanów. Muzyka, tańce i dużo śmiechu. Oczywiście w pomysłach przodował Romek Polański. Pamiętam konkurs na zjazd po śniegu z najwyższej na tym terenie górki. Nie na nartach, lecz na dużej miednicy – kto dojedzie w całości. Ponieważ zabroniłam Kubie tego zjazdu, uważając, że to zbyt niebezpieczne, to uciekał przede mną, a potem widziałam go już, jak z miną zwycięzcy

lądował w misce u moich stóp, rozbawiony, że mi się nie dał. Autor listu, Wojtek Plewiński, nie miał takiego szczęścia i złamał nogę.

12 CZERWCA 2013 ROKU odbył się w kinie Iluzjon wieczór poświęcony Kubie, połączony z premierą DVD z trzema jego filmami. Dostałam pocztą oficjalne zaproszenie. Na okładce – zdjęcie. Koniec lat pięćdziesiątych. Początek naszej znajomości i naszej miłości. Kuba był wtedy asystentem u Wajdy, zdjęcia mieli kręcić w Szczecinie. Tuż przed rozpoczęciem pracy cenzura zablokowała ten film. Ja w tym czasie podgrywałam sobie w jakimś filmie, a plan zdjęciowy mieliśmy na Hali Gąsienicowej w Tatrach. Dzieliła nas cała Polska. Napisałam do niego list, a w nim, że w ekipie mamy operatora Miecia Jahodę, który jest dla mnie szalenie miły. Miecio Jahoda miał wtedy opinię wielkiego podrywacza, chyba nawet większego niż Kuba. W ciągu jednej doby Kuba przejechał pociągiem trasę Szczecin–Zakopane i szybciutko, szybciutko doszedł na Halę Gąsienicową, czyli do mnie. Po paru godzinach znów szybciutko, szybciutko poszedł do Kuźnic, a potem na dworzec, aby wsiąść z powrotem do pociągu i zdążyć na zdjęcia do Szczecina. Zaskoczył mnie.

Dzisiaj myślę, że musiał mnie już wtedy bardzo kochać, jeśli przejechał taką drogę, by być ze mną tylko parę godzin. I właśnie wtedy, na Hali Gąsienicowej, ktoś zrobił nam to zdjęcie, które widnieje na zaproszeniu. Dziś znajduje się ono w zasobach Filmoteki Narodowej. Patrzę na nie i wzdycham. Ja jestem nieostra, ale Kuba jest piękny – te czarne włosy, białe zęby. To był czas, kiedy wszyscy mężczyźni chodzili w czarnych golfach, tak jak on tutaj. Egzystencjaliści.

Początek naszej znajomości i naszej miłości, koniec lat pięćdziesiątych XX w.

W PRL-U, w latach sześćdziesiątych i siedemdziesiątych, wyjeżdżając za granicę, mogliśmy wziąć oficjalnie niewiele dolarów na głowę. No to trzeba było kombinować inaczej. Pewien kolega opowiedział Kubie, jaki ma na to sposób. Kupuje się pastę do zębów, zgrabnie odkręca tubkę, trochę pasty się wyciska – tyle, aby na jej miejsce zmieścił się zgrabny pakuneczek, dziesięć, dwadzieścia dolarów owinięte w nylon. Potem wystarczy zakręcić i ruszać w drogę. Proste. Parę razy tak przejechaliśmy z Kubą, ciesząc się bogactwem. A ten kolega od pasty – Roman Hajnberg – został potem rektorem Amerykańskiego Instytutu Filmowego w Los Angeles.

Nasze tropikalne wyprawy – Tajlandia i Kongo.

BOŻE NARODZENIE W TROPIKACH spędziliśmy osiemnaście razy. U nas jest wtedy zimno i ciemno, a wystarczy dziesięć godzin lotu i nagle otwiera się raj dla oczu. Światło, słońce, kolory. Organizowaliśmy wyjazdy – w dwadzieścia, trzydzieści osób – do Tajlandii, na Malediwy, Mauritius, do Malezji, Kenii, na Cejlon, Bali, do Egiptu czy Izraela. To były nasze zimowe wyjazdy. Każdy wiózł coś ze sobą. Ja miałam w walizce choinkę, ktoś śledzie, ktoś inny kapustę z grzybami, a na miejscu serwowano kraby i homary. Na Bali wywieziono nas na Wigilię, tym razem w dwanaście osób, do lokalnej świątyni. Czekała tam orkiestra, która nauczyła się grać kolędy. Stół był pięknie przystrojony, a na nim pyszne jedzenie (kraby, homary, krewetki) – według nich... polskie.

A raz w czasie świąt płynęliśmy statkiem z Kenii na Madagaskar. Wigilię spędziliśmy na pokładzie. Była wspaniała, a jeszcze wspanialszy

pierwszy dzień świąt – obudziliśmy się w niebiańskim miejscu. Zupełna pustka, piękne kolory, myśleliśmy, że jesteśmy w raju. To był Madagaskar. Ale raj się dla mnie szybko skończył. Wracając, zatrzymaliśmy się na malutkiej wysepce Mafia. Postanowiłam szybko ją zwiedzić. Zapomniałam tylko butów. W połowie drogi gorąca ziemia zaczęła tak palić mi stopy, że nie byłam w stanie iść dalej. Sama na środku wyspy. Słyszałam, że mnie wołają, ale z bólu nie mogłam wydobyć z siebie głosu. Próbowałam przemieścić się na różnych innych częściach ciała, chociaż to było bardzo trudne. Ale jak trzeba, to trzeba. Wróciłam na pokład cała poparzona.

Na Bali.

Raz na tajlandzkiej wyspie obsługa hotelu stojącego w dżungli, zapytana o prasę, odpowiedziała: „Szukajcie dużej skrzyni w lesie". Wpadliśmy z Kubą na nią przy jednej z wąskich ścieżek. Wrzucało się cztery dolary, naciskało kolejne przyciski: świat – Europa – Polska, i z budy wylatywała „Wyborcza". W tempie błyskawicznym wieść się rozeszła na sąsiednie wysepki. Zjeżdżali się do nas biznesmeni z całej okolicy, aby przeczytać artykuł o Rywinie. Odjeżdżali ze smutnymi minami, zastanawiając się, jakie rozmiary przybierze ta afera i czy zahaczy o nich.

Kuba reprezentował *Przesłuchanie* zrealizowane w zespole Andrzeja Wajdy w reżyserii Ryszarda Bugajskiego. Film został zaproszony do konkursu na festiwalu w CANNES W 1990 ROKU. Ponieważ również zostałam zaproszona przez męża producenta, szybko musiałam się zająć szyciem sukienki na bal w pierwszy festiwalowy wieczór. Śliczna tafta fiołkowa, krynolinka, pasek w wąskiej wtedy talii, dobrze!

Spakowani, jedziemy na lotnisko. Za trzy godziny uroczystość otwarcia festiwalu, wielki świat. Na lotnisku dowiadujemy się, że nasz samolot już odleciał, a następny jest w nocy. Kuba pomylił godziny, co mu się często zdarzało, a wtedy jeszcze go nie sprawdzałam. Krótko mówiąc, z licznymi przesiadkami, dotarliśmy do Cannes nad ranem.

Leżę sobie na plaży przed hotelem Carlton, patrzę w niebo, a tu już parę godzin lata helikopter reklamujący jakiś film Segala (producent amerykański, Cannes). Następny dzień – to samo. I następny też. I myślę sobie, ale to musi być bogacz, ten od tego filmu. „Może sfinansowałby jakiś polski film" – mówię do Kuby, a czwartego dnia festiwalu Kuba znajduje w swojej skrzynce na korespondencję zaproszenie od pana Segala.

Nie mogłam się nadziwić, jak zobaczyłam maleńkiego człowieka mówiącego łamaną polszczyzną i całującego nas obficie. Mówił, że jak Kuba przeniesie się do Hollywood, to będzie pływał w luksusowym basenie i stamtąd przez telefon wydawał rozkazy gwiazdom... A Kuba tylko słuchał, słuchał i się bardzo miło uśmiechał, a potem nie wracał w ogóle do tej rozmowy. Zupełnie go to nie interesowało, był obojętny. Myślę, że to byłoby dla niego życie zbyt luksusowe. On w takie życie nie wierzył. Nie wierzył też w to, że jest twórcą filmowym rangi światowej. Stale uważał, że mógł coś zrobić lepiej, był bardzo dla siebie wymagający. Ten inny świat nie był dla niego.

Na koniec pobytu w Cannes ja też byłam gwiazdą w mojej fiołkowej sukience. Siedzieliśmy w rzędzie non stop filmowanym przez kamery festiwalowe. Kuba, ja, Krystyna Janda i Ryszard Bugajski. Ponieważ Janda była wywoływana po nagrodę, musiałam wstać, aby ją przepuścić. No i byłam we wszystkich telewizjach świata. Zagraniczni znajomi zupełnie inaczej potem ze mną rozmawiali.

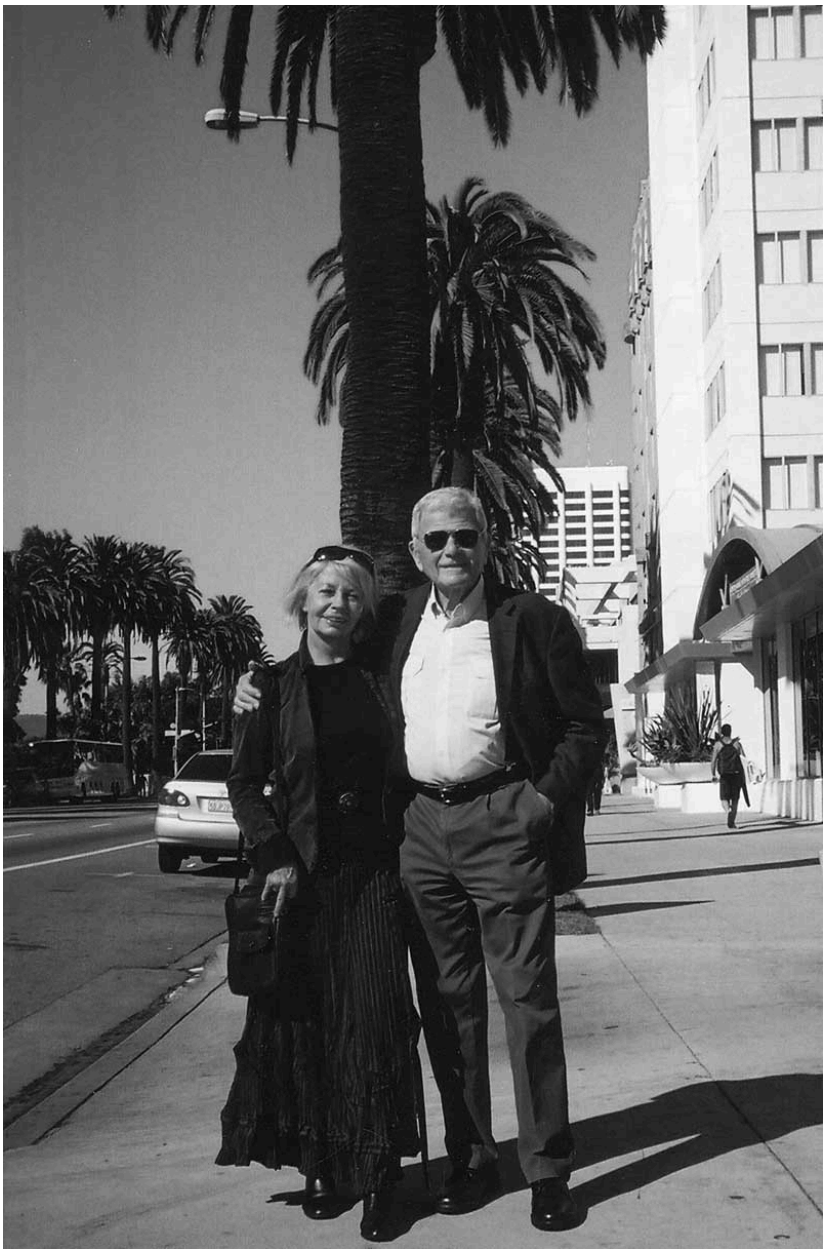

W Los Angeles.

NA FESTIWALU W KAIRZE też miałam widowiskowy sukces. Kair się w tym czasie rozbudowywał. Kurz był taki na ulicach, że nic nie było widać. Ważne było, aby nie połamać sobie nóg, idąc po tych wertepach. Teraz już na pewno jest to piękne miasto.

Każdego ranka mieliśmy w programie zwiedzanie. Było bardzo zabawnie, jak grupa światowych gwiazd wściekała się, że codziennie punktualnie przychodziliśmy do autokaru, który leniwie po nas

zajeżdżał. Wtedy w delegacji polskiej nie było żadnej aktorki, więc organizatorzy uważali, że to ja nią jestem, i wpychali mnie na wszystkie świeczniki. Przed każdym filmem paradowałam sama przed szpalerem całego rządu egipskiego i to pokazywali co godzinę w wiadomościach filmowych na cały świat. Ku memu zdziwieniu, a jeszcze większemu mojego męża, ludzie zaczęli rozpoznawać mnie na ulicy, w sklepach i restauracjach. No przyznam, czułam się wspaniale. Po paru dniach wracamy do Warszawy. Jesteśmy na lotnisku w Kairze. Podchodzi do mnie para strażników, delikatnie odsuwają Kubę, który już krzyczy – po polsku zresztą – że to bezprawie, i eskortują mnie do jakiejś auli. Umierałam ze strachu. Było tam dużo ludzi i… każdy chciał mieć mój autograf.

Od tego czasu byliśmy w Egipcie wiele razy na tak zwanych wczasach w ich pięknych hotelach, ale już nigdy nikt mnie nie prosił o autograf.

Za to FESTIWAL W MOSKWIE – to dopiero było!

Nie pamiętam, z jakim filmem pojechał wtedy Kuba do Moskwy. Pamiętam natomiast, że już o ósmej rano przed kinem festiwalowym ustawiał się tłum, żeby zobaczyć prawie zachodni film, czyli polski. Mieszkaliśmy w hotelu Rossija, wówczas największym hotelu na świecie – liczył dwadzieścia jeden pięter, a oprócz ekskluzywnych apartamentów i zwykłych pokoi miał spa, zakład fryzjerski, kino i nocny klub Manhattan Express. Ważne było, do którego piętra się przynależy. Każde miało inny poziom w festiwalowej hierarchii. Kiedy jechaliśmy na śniadanie, windziarz lustrował nas przy wejściu i po wyglądzie na oko dobierał piętro. Po trzech przejażdżkach na trzy różne piętra mój mąż tak wrzasnął po rosyjsku na windziarza, że on, jąkając się, powiedział tylko: „Aaa, to co innego!”, i natychmiast zawiózł nas na piętro filmowców kapitalistycznych. A w ogóle to na każdym piętrze w długich korytarzach siedziały kobiety, które wszystko widziały i słyszały, zawsze w dużych czapach na głowach, nawet w upał, i rozlewały chochlą szampana, i rozdawały kawior. Tak było w czasie festiwalu. Myślę, że raczej nie na co dzień.

Odbywało się też dużo bankietów zewnętrznych, na przykład w ambasadzie polskiej – było tam dużo stolicznoj i Jurek Hoffman postanowił chociaż raz upić Kubę. Udało mu się w pół godziny. Był

zaledwie początek imprezy, a my już wracaliśmy czarną czajką do hotelu. Aby trafić w drzwi wejściowe, Kuba musiał pokonać ulewę i olbrzymie kałuże, które rozpryskiwał… własnym ciałem. A wszystkiemu przyglądali się fani ustawieni wzdłuż szpaleru przy wejściu do hotelu. Byli pełni podziwu.

Byliśmy też na przyjęciu w Stowarzyszeniu Filmowców Rosyjskich. Nigdzie przedtem ani potem nie widziałam tylu tak wytwornych konsumentów naraz i kobiet w takich futrach – najpiękniejszych na świecie. Wtedy byłam zachwycona, dziś, kiedy patrzę na takie futra, widzę już tylko piękne i martwe zwierzęta, które swoim ciałem otulają nie zawsze dobre aktorki.

Spacerowaliśmy po ulicach Moskwy, a parę metrów za nami zawsze szedł jakiś człowiek. I ciągle coś pisał, chociaż przyjechaliśmy przecież z „bratniego państwa". Dziwiło nas, że w ogóle nie chował się przed nami.

Pierwszy dzień w Moskwie nasza polska delegacja zaczęła od zwiedzania domu towarowego na placu Czerwonym. Wypatrzyłam tam wspaniałe garnki, w pięknych kolorach, patelnie żeliwne – no i nakupowałam ile trzeba. Kiedy w drodze powrotnej do Warszawy przyjechaliśmy na lotnisko w Moskwie, mój małżonek powiedział: „Mnie nie wypada na cle pokazywać walizki z twoimi garnkami. I najlepiej będzie, jeśli w ogóle staniesz w innej kolejce". Tak też się stało. Z daleka usłyszałam celniczkę, która chwaliła jego bagaż: „Wot, maładiec!". Miał tylko kawior i cygara.

LECIMY Z KUBĄ DO SÃO PAULO. Od Amsterdamu mamy super samolot – bilety w pierwszej klasie. Pierwsze piętro, tylko cztery łóżka uginające się na każdą okoliczność, szafa, steward, piękny jak aktor na kortach tenisowych, oferujący wszystko, co można mieć w powietrzu. Przez całą noc przygotowuję się do roli burżujki. Jest rano. Lądujemy. Schodzimy po schodach do wyjścia i spotykam złe spojrzenia tłumu z drugiej klasy. Nie

zapomnę tego. Było mi bardzo głupio. Myślę, że niektóre moje młodsze i bogate koleżanki bardzo by się zdziwiły temu mojemu zakłopotaniu.

Do dzisiaj są dla mnie rzeczy niewyobrażalne. Jem śniadanie u bogatych znajomych za granicą. Obok kuchnia, a ja mam dzwonić na lokaja, żeby przyniósł mi sól. Chcąc nie chcąc, co chwila wstaję i w ostatniej chwili wyhamowuję przed drzwiami. „Przecież po coś jest ten lokaj" – słyszę. Tylko po to?!

Kuba był często zły na mnie, bo według niego za często się dziwiłam. Dziwiłam się, że mężczyźni stale ze sobą walczą – a to w sejmie, a to na ulicy. A jak już nie mogą wytrzymać z tą adrenaliną, to toczą okrutne wojny. Dziwię się, jak ktoś robi bezinteresownie krzywdę drugiemu człowiekowi. Dziwię się, jak można być okrutnym dla zwierząt. Dziwię się...

MARZEC, 1968 ROK. Pamiętam moment, kiedy szliśmy z Kubą Krakowskim Przedmieściem podczas protestu młodzieży studenckiej. Bitej przez milicję. Kuba ściskał mnie za ramię i czułam, jak strasznie się boi. Przeżywał to tak jak w czasie okupacji, w najgorszym czasie. Trzymałam go mocno, żeby wiedział, że ja, gojka, będę go broniła ze wszystkich sił. Wtedy rozumiałam, dlaczego nie chce mieć swoich ukochanych dzieci. Zresztą większość jego przyjaciół po Holokauście tak myślała. Stale się wówczas mówiło, kto kiedy wyjeżdża. Dziwne, ale nikt Kubie nigdy nie zadał tego pytania.

Raz, jak byłam w sklepie spożywczym, sąsiadka, Brandysowa, zapytała mnie dosyć głośno: „A wy kiedy wyjeżdżacie?". W tych czasach było to normalne pytanie. My? Do głowy nam nie przyszło. Zawsze mówiło się „Oni".

W 1968 roku, za czasów Gomułki, wyrzucono wspaniałych, często świetnie wykształconych ludzi z naszego kraju. A przecież żyliśmy razem setki lat. Niby niedużo, ale jakich wartości się pozbywano. Tyle ludzi różnych zawodów, w dodatku studiowali za pieniądze PRL-u, a Gomułka dał ich w prezencie innym krajom, które przyjęły ich

z największą przyjemnością. Rozpacz tych ludzi oraz poczucie upodlenia i okrutne wyrzucenie poza nawias zawodowo-towarzyski były wielkie. Nikt tego nie wie, jeśli nie poznał tego uczucia. Do dziś tego nie rozumiem. Przyjaciele na dworcach płakali, a nieprzyjaciele zacierali ręce i przejmowali ich posady, mieszkania. A teraz tak się składa, że cała plejada tych zdolnych ludzi w zasadzie powinna błogosławić Gomułkę. Później większości z nich powiodło się bardzo dobrze, na pewno, zostając tutaj, nie mieliby tylu wspaniałych możliwości zawodowych, a co za tym idzie, warunków do życia.

Przykład z medycyny. Byłam w Izraelu i odnalazłam znajomego lekarza. Kiedyś zdolnego, dobrze zapowiadającego się wrocławskiego gastrologa. Zaprosił nas do szpitala, którego był szefem. Szpital publiczny, a pod nim identyczny szpital w podziemiach – na ewentualność wojny. Zjedliśmy obiad w ogrodzie jego pięknego domu – żona, dzieci, pełnia szczęścia. A na początku nie było mu łatwo. Długo mówili o nim „ten Polak". Pustynia Negew jest dzika i gorąca, czasem jest nawet pięćdziesiąt stopni. Duże grupy młodych ludzi zakładały tam ogrody warzywne. Na przykład jak wyrósł pomidor, to dostawał kapturek, żeby go słońce nie paliło. Dwa dni później ochotnicy chodzili po tych hektarach pola i zamieniali kapturki na coraz większe. Mój znajomy był przydzielony do tej grupy młodych ochotników jako lekarz. Mieszkał w drewnianym szałasie, spał na żelaznym łóżku. Ktoś mu przysłał z Polski „Przekrój", a na okładce byłam ja. Opowiadał, że cały ten okres jego życia upłynął na wspomnieniach o Polsce, bo większość w Izraelu to byli Polacy. A mój portret wisiał jeszcze długo, przypięty pluskiewkami w szałasie, i przypominał mu polskie dziewczyny.

Poznaliśmy się, jak byłam przed maturą. Pojechałam z mamą na sylwestra do Krynicy. Zauważył mnie, był starszy, już po studiach, poprosił do tańca. Następnego dnia staliśmy na Górze Parkowej w Krynicy, ja – nieśmiała dziewczyna, a on bardziej śmiały, nie krył, że mu się podobam. Mówiliśmy sobie, że będziemy się zawsze przyjaźnić. Spędziliśmy tam razem na spacerach dziesięć dni. Potem pisał, przyjeżdżał czasem do Warszawy. I pewnego dnia zamilkł. Wyjechał do Izraela, nie chciał, abym miała trudności ze strony SB. Poprosiłam później rodzinę Kuby, żeby go odnalazła. Pomyślałam sobie, że to było

tak, jakby teraz wszyscy obywatele polscy, którzy tworzą jakąś krzyżówkę rasową – z Ukraińcami, Niemcami, Rosjanami – dostali paszport w jedną stronę.

DRUGI PRL-owski pomysł – SB. Straszna organizacja podłych ludzi. Ależ ci urzędnicy się pastwili. Po co im to było? To dręczenie? Nie dziwię się niektórym znajomym, że podpisali lojalki, ale nie robiąc nic złego nikomu. Wiem po sobie, jak było z nimi trudno.

Gdy zostałam żoną Kuby, kompletnie nie znałam jego rodziny, dlatego z taką determinacją walczyłam o wyjazd do Izraela, ogromnie chciałam ją poznać. Jak już wspominałam, udało mi się wyjechać pierwszy raz w 1967 roku. Kuba nie chciał mi towarzyszyć i zresztą miał chyba rację, bo to, co wyprawiali wtedy ze mną esbecy – jazda do Izraela w tamtym czasie była na wskroś podejrzana – to się w głowie nie mieści. Gorąco namawiali mnie wtedy na współpracę, bardzo zachęcali – przypomniałam sobie o tym wszystkim niedawno, kiedy dziennikarz „Newsweeka" przyniósł mi materiały z mojej teczki z IPN-u. Swoją drogą ciekawe, czy by je przyniósł, gdyby okazało się, że na tę współpracę wtedy poszłam.

W każdym razie okazało się, że byłam dzielną dziewczyną. Miałam swój sposób – płakałam podczas każdej rozmowy z esbekami. To była moja broń, niezwykle skuteczna. Mówiłam: „Panowie, przecież widzicie, że ja się do tego kompletnie nie nadaję". A oni na to: „Właśnie widzimy, że się pani bardzo nadaje, bo nikt by nie przypuszczał, że ktoś taki jak pani może być naszym współpracownikiem". A ja znowu w szloch. Podpisałam wtedy, iż nie będę nikomu mówiła, że z nimi rozmawiałam, po czym wróciłam do domu i szczegółowo o wszystkim opowiedziałam Kubie. A oni dowiedzieli się, że złamałam przyrzeczenie, bo nas podsłuchiwali.

W teczce IPN-u znalazłam donosy współpracownika SB, naszego przyjaciela, pseudonim „Irena". W marcu '68 pisał między innymi: „przez wiele lat Kuba określany był jako filmowy Don Juan otoczony

rojem dziewczyn". To akurat wiedziałam i odczuwałam. I dalej: „był bardzo znanym, dobrze zapowiadającym się reżyserem. Jest, a przynajmniej był, bardzo przystojnym mężczyzną. Oczytany, z dużą wiedzą teoretyczną o filmie. U krytyków ma w tej chwili opinię dobrego fachowca, który z dobrego scenariusza może zrobić bardzo dobry film". No, to akurat ładnie napisał, ale reszta donosów była już bardzo nieprzystojna. Niełądnie.

Latem w 1969 roku pojechaliśmy na parę dni do Inowrocławia na odpoczynek po kręceniu *Stawki...* Mieszkaliśmy w małym domku blisko sanatorium, gdzie chodziliśmy na kąpiele. Obecnie czytam w dokumentach IPN-u, że wszyscy kąpielowi byli esbekami, zgarniętymi dla nas z Bydgoszczy. Właścicieli naszego domku wysłali na wakacje na koszt SB i przez ścianę nas podsłuchiwali.

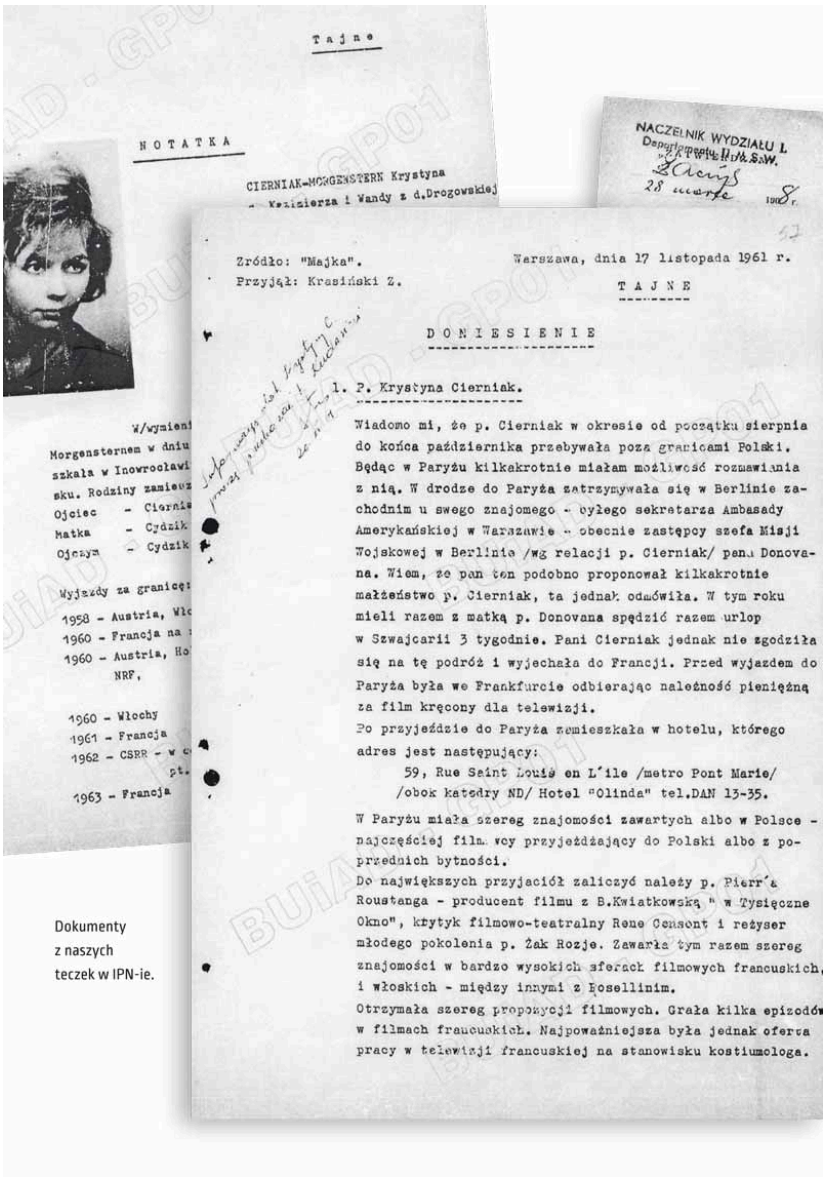

Tajne

NOTATKA

CIERNIAK-MORGENSTERN Krystyna
- Kazimierza i Wandy z d.Drozowskiej

NACZELNIK WYDZIAŁU I
Departamentu II MSW
28 marca 19

W/wymieni
Morgensternem w dniu
szkała w Inowrocławi
sku. Rodziny zamieszk
Ojciec - Ciernia
Matka - Cydzik
Ojczym - Cydzik

Wyjazdy za granicę:
1958 - Austria, Wło
1960 - Francja na
1960 - Austria, Ho
NRF,
1960 - Włochy
1961 - Francja
1962 - CSRR - w c
pt.
1963 - Francja

Źródło: "Majka".
Przyjął: Krasiński Z.

Warszawa, dnia 17 listopada 1961 r.

TAJNE

DONIESIENIE

1. P. Krystyna Cierniak.

Wiadomo mi, że p. Cierniak w okresie od początku sierpnia do końca października przebywała poza granicami Polski. Będąc w Paryżu kilkakrotnie miałam możliwość rozmawiania z nią. W drodze do Paryża zatrzymywała się w Berlinie zachodnim u swego znajomego - byłego sekretarza Ambasady Amerykańskiej w Warszawie - obecnie zastępcy szefa Misji Wojskowej w Berlinie /wg relacji p. Cierniak/ pana Donovana. Wiem, że pan ten podobno proponował kilkakrotnie małżeństwo p. Cierniak, ta jednak odmówiła. W tym roku mieli razem z matką p. Donovana spędzić razem urlop w Szwajcarii 3 tygodnie. Pani Cierniak jednak nie zgodziła się na tę podróż i wyjechała do Francji. Przed wyjazdem do Paryża była we Frankfurcie odbierając należność pieniężną za film kręcony dla telewizji.

Po przyjeździe do Paryża zamieszkała w hotelu, którego adres jest następujący:

59, Rue Saint Louis en L'ile /metro Pont Marie/
/obok katedry ND/ Hotel "Olinda" tel.DAN 13-35.

W Paryżu miała szereg znajomości zawartych albo w Polsce - najczęściej film. wcy przyjeżdżający do Polski albo z poprzednich bytności.

Do największych przyjaciół zaliczyć należy p. Pierr'a Roustanga - producent filmu z B.Kwiatkowską " w Tysiącznę Okno", krytyk filmowo-teatralny Rene Consont i reżyser młodego pokolenia p. Żak Rozje. Zawarła tym razem szereg znajomości w bardzo wysokich sferach filmowych francuskich, i włoskich - między innymi z Rosellinim.

Otrzymała szereg propozycji filmowych. Grała kilka epizodów w filmach francuskich. Najpoważniejsza była jednak oferta pracy w telewizji francuskiej na stanowisku kostiumologa.

Dokumenty
z naszych
teczek w IPN-ie.

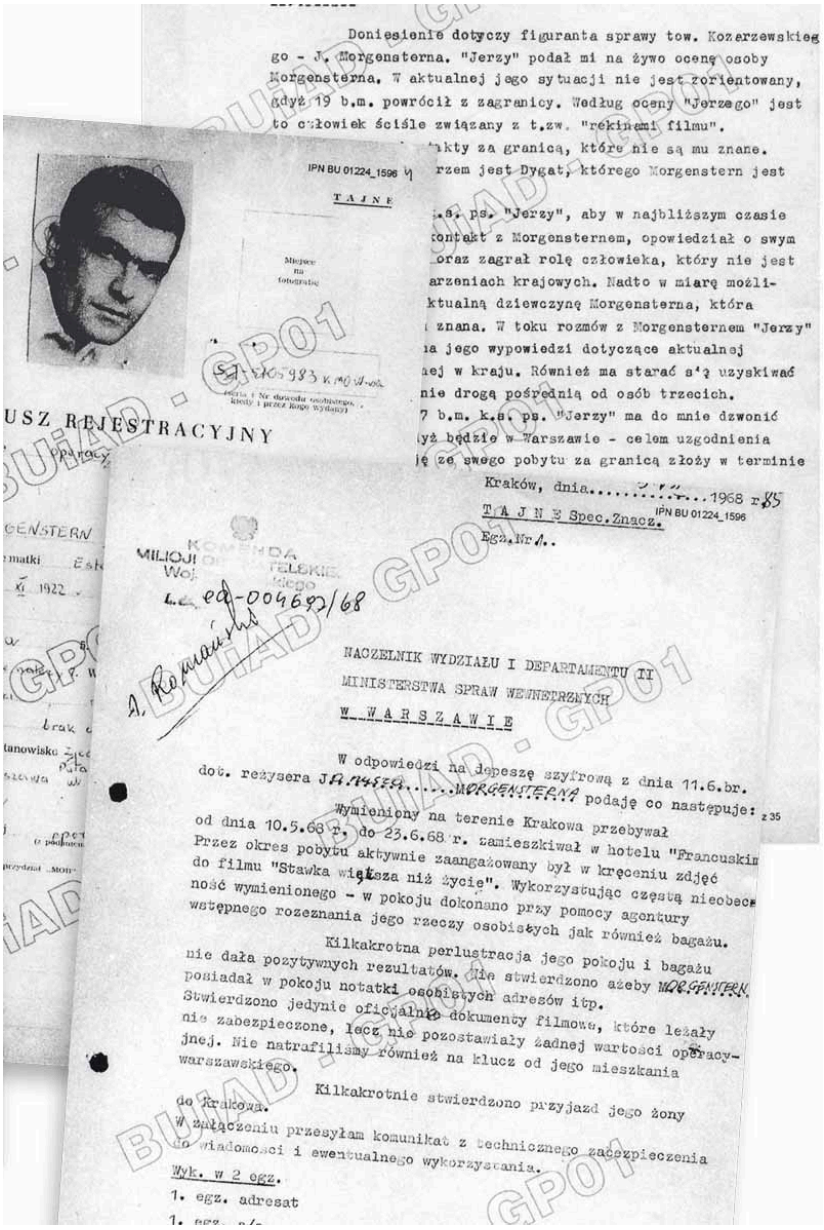

Doniesienie dotyczy figuranta sprawy tow. Kozerzewskiego - J. Morgensterna. "Jerzy" podał mi na żywo ocenę osoby Morgensterna. W aktualnej jego sytuacji nie jest zorientowany, gdyż 19 b.m. powrócił z zagranicy. Według oceny "Jerzego" jest to człowiek ściśle związany z t.zw. "rekinami filmu".

IPN BU 01224_1596

TAJNE

Miejsce na fotografię

USZ REJESTRACYJNY

Kraków, dnia.....1968 r.

TAJNE Spec.Znacz.

Egz.Nr 1..

NACZELNIK WYDZIAŁU I DEPARTAMENTU II
MINISTERSTWA SPRAW WEWNĘTRZNYCH
W WARSZAWIE

W odpowiedzi na depeszę szyfrową z dnia 11.6.br. dot. reżysera JA.....MORGENSTERNA podaję co następuje:

Wymieniony na terenie Krakowa przebywał od dnia 10.5.68 r. do 23.6.68 r. zamieszkiwał w hotelu "Francuskim
Przez okres pobytu aktywnie zaangażowany był w kręceniu zdjęć do filmu "Stawka większa niż życie". Wykorzystując częstą nieobecność wymienionego - w pokoju dokonano przy pomocy agentury wstępnego rozeznania jego rzeczy osobistych jak również bagażu.

Kilkakrotna perlustracja jego pokoju i bagażu nie dała pozytywnych rezultatów. Nie stwierdzono ażeby MORGENSTERN posiadał w pokoju notatki osobistych adresów itp.
Stwierdzono jedynie oficjalne dokumenty filmowe, które leżały nie zabezpieczone, lecz nie pozostawiały żadnej wartości operacyjnej. Nie natrafiliśmy również na klucz od jego mieszkania warszawskiego.

Kilkakrotnie stwierdzono przyjazd jego żony do Krakowa.

W załączeniu przesyłam komunikat z technicznego zabezpieczenia do wiadomości i ewentualnego wykorzystania.

Wyk. w 2 egz.
1. egz. adresat

Dokumenty z naszych teczek w IPN-ie.

Tajniaków, esbeków było wszędzie mnóstwo. Przy Zbyszku Cybulskim na przykład zawsze było dwóch. Na jednego mówiliśmy Zdzisiek, a na drugiego już nie pamiętam jak. To były takie typowe sympatyczne łajzy. Chodzili za Zbyszkiem do wszystkich restauracji, kawiarni, uczestniczyli w bankietach i bardzo chcieli się z nim przyjaźnić. Ktoś kiedyś powiedział nam, że to są esbecy. Od razu powiedziałam o tym Zbyszkowi, ale on wywrócił tylko oczami

i powiedział: „Stareńka, no co ty, przecież to są moi kumple od lat". Na jednej z imprez podeszłam zresztą do tego Zdziśka i prosto w oczy zapytałam go, czy wie, kto na mnie donosi. Bo już od lat z Kubą zdawaliśmy sobie sprawę z tego, że jesteśmy inwigilowani. A on na to: „Wiem, oczywiście. Naprawdę, powiedzieć ci?". I w tym momencie podeszła do nas grupa znajomych i temat się urwał, niczego się już nie dowiedziałam. A potem jakoś nie było już okazji, żeby wrócić do tej rozmowy.

POD KONIEC lat siedemdziesiątych poznaliśmy – w Hybrydach albo Stodole – Stefana B. Nie był tak rozrywkowy jak my, ale czasem go spotykaliśmy. Znaliśmy go słabo, ale pewnego dnia on w bardzo fajny, ładny sposób zaczął namawiać Kubę, żeby włączył się w opozycję, a na początek, żeby podpisał list w jakiejś sprawie. I ja, i Kuba byliśmy sztywni ze strachu. Baliśmy się. Wiedzieliśmy, że wielu naszych znajomych donosi, i natychmiast zrodziły nam się podejrzenia, że on też, że to jakaś prowokacja SB. Byliśmy bardzo uprzejmi, Kuba powiedział, że się musi zastanowić, że musi więcej wiedzieć, jednym słowem dał mu elegancko do zrozumienia, że nie jest zainteresowany.

I minęło wiele lat, spotykamy się w 1990 roku, on jest już ważną osobą w Solidarności; opowiedziałam mu, jak odebraliśmy oboje z Kubą tamto spotkanie. „Widziałem, że jesteście jacyś speszeni i zaskoczeni" – powiedział na to Stefan. I rozmawialiśmy chwilę o tym, jak to było, że niby wszyscy się wtedy ze wszystkimi przyjaźnili, pracowali ze sobą, pili wódkę i spotykali niemal codziennie, ale jednocześnie nie było pełnego zaufania, chyba że w kręgu najbliższych przyjaciół. Jednak każdy każdego podejrzewał, dlatego na wszelki wypadek nie rozmawiało się w większym gronie o polityce i to była taka niepisana umowa między nami wszystkimi.

12 GRUDNIA 1981 ROKU. Duża grupa znajomych była zaproszona na bankiet pożegnalny kolegi lekarza, który miał na następny dzień wyjechać do państwa kapitalistycznego, by tam leczyć ludzi z na pewno wartościowszych chorób. Mieszkanie było puste, czyli wygodne do tańczenia rock'n'rolla. Pamiętam tylko lodówkę na środku kuchni, gdzie ziębiła się żytnia z przekąską. Dochodziła dwunasta. Tańce trwały dalej, ale zrobił się cichy ruch przy Mietku Rakowskim, który dotychczas był bardzo poważany jako redaktor naczelny „Polityki". Najpierw wyszedł on, a potem jeszcze dwóch znajomych mężów, a żony, nic nie przeczuwając, szalały do rana. Około trzeciej rozbawieni wracaliśmy Wisłostradą, która niby była ta sama, ale nie ta sama. Całe życie Polaków od tego momentu też nie było już takie samo.

Naszym punktem informacyjnym w stanie wojennym był Związek Literatów, tu dowiadywaliśmy się, kto jest internowany. Niektórzy bywalcy Związku byli nawet zawiedzeni, że jeszcze nie są zatrzymani. Oczywiście w środowisku filmowym bojkotowano pracę w telewizji. Kuba otrzymał wtedy wiele ciekawych propozycji do realizacji w TV. Proponowano mu nawet realizację filmu o stanie wojennym. Bardzo go do tego namawiano, zapewne myślano, że się będzie bał z powodu swojego żydowskiego pochodzenia i rozpocznie współpracę. Kuba twardo odmawiał. A skoro on nie chciał, zabrali się do jego żony. Telefonował do mnie Z., nasz znajomy pracujący w telewizji, i tłumaczył, że muszę Kubę zmusić do współpracy, że nie mamy wyjścia z tej sytuacji. Rzuciłam wtedy słuchawką. Dzwonił później jeszcze kilka razy, zawsze odkładałam słuchawkę. Potem znowu coś Kubie proponowali. Najczęściej w Teatrze Telewizji. On nigdy się nie zgadzał, ta sytuacja męczyła go strasznie. Pamiętam, jak wspomniałam o tym Kalinie Jędrusik, szłyśmy wtedy niedaleko naszego domu na Żoliborzu, a ona tak rozdarła się na całą ulicę:

„Nigdy, nigdy, nie pozwól mu, żeby on z nimi współpracował! Nie wolno z nimi!".

Ogromnie się wtedy bałam, że usłyszy nas jakiś esbek.

Mówi się, że to jest teraz inny świat. I to prawda. Niby biegniemy stale w dobrym kierunku, a jednak jest inaczej.

Niedawno stoję na rogu Nowego Światu i Alei Jerozolimskich w Warszawie. Piękne ulice, ale tłok samochodowy i ludzki olbrzymi. Szpilki w ciągu dnia nie wsadzisz.

To samo miejsce czterdzieści lat temu, popołudnie. Jedziemy z Kubą naszym nowym fiatem 127 – wtedy 127 był szczytem luksusu, lepszy niż 126 i 125. Wjeżdżamy w Nowy Świat, a kłócimy się okropnie. Samochód aż się buja od emocji. O co się kłóciliśmy? Nie pamiętam, ale najczęściej chodziło o to, że nie jadę tak, jak by chciał reżyser. Zatrzymuję samochód na środku ulicy. Wysiadam, a drzwi zostawiam otwarte. Kuba robi to samo, też drzwi zostawia otwarte, i dalej krzyczymy do siebie na dwóch przeciwległych chodnikach, że już nigdy nie wsiądziemy razem do samochodu. Po kilku minutach, jak emocje opadły, wracamy do auta z uszami po sobie. I co? I nikt w tym czasie nie przejeżdżał ulicą, nikt nie trąbił, nie miał pretensji. No to był jednak stary świat Nowego Światu. Na jakiej ulicy można teraz tak się kłócić samochodowo?

NAUCZYŁ mnie Kuba reżyser, co to znaczy słowo „casting". W filmie to rzecz podstawowa. Muszą być dobrani aktorzy, tak aby nie zgrzytało. Pierwszy raz usłyszałam to słowo w prywatnym sensie, gdy Romek wychodził od nas po dużym przyjęciu i powiedział do Kuby: „Kuba, casting prima!". A gdy jeszcze dobrze nie kojarzyłam gości, miałam parę wpadek, szczególnie na kolacji na sześć osób. Źle dobrani, albo nie mieli sobie nic do powiedzenia, albo była jakaś awantura, która skupiała się na mnie. Bo nie powinnam kogoś zaprosić, według kogoś innego. Postanowiliśmy małe kolacyjki zlikwidować, a robić raz na rok duże przyjęcie w naszym ogrodzie, tylko dla przyjaciół. Niektórzy dziennikarze nazywają to u nas salonem. Ależ to pretensjonalne słowo i w ogóle nie na te czasy. Kazik Kutz nazywał to jeszcze gorzej: księstwo warszawskie.

Ale wracam do spisywania listy nazwisk na przyjęcie na jakieś osiemdziesiąt osób, zresztą zawsze jest trochę więcej. A więc najpierw ci przyjaciele, co czterdzieści lat są zawsze blisko nas (i niestety jest ich już coraz mniej), a pięliśmy się wszyscy razem najczęściej z trudem, ale w górę. Potem ich dzieci i wnuki, które wypierają już dziadków. Potem są ci, co lubią się nawzajem. No i czwarta grupa, która jest szczególnie ważna dla poprzednich, musi być nowa, ciekawa, ale wnosząca coś ekscytującego, nieznanego. W każdym razie mam zawsze taką nadzieję.

A po każdym przyjęciu widzę ileś oczu nieprzychylnych, bo o kimś zapomniałam. I wtedy jest mi rzeczywiście bardzo przykro. A jeszcze gorzej, jak niektórzy pytają: „No i co, wyleciałem z listy? A przecież moje interesy idą dobrze!". No, tego bym nigdy nie wymyśliła. Przecież tu tylko chodzi o to, czy się lubimy bardziej, czy mniej.

Tak wyglądały organizowane przeze mnie coroczne przyjęcia dla przyjaciół, początek lat dwutysięcznych.

PO ŚMIERCI Kuby uważałam, że już na pewno nigdy nie zrobię sama corocznego spotkania. Ale na następny rok stali goście postanowili namówić mnie, abym kontynuowała coś, do czego wszyscy się przyzwyczailiśmy, a Kuba i tak będzie z nami. No i zrobiłam.

Bałam się tego przyjęcia bardzo. Wystawiłam wszystkie duże zdjęcia z Kubą. W ogrodzie było pełno jego portretów, na wszystkich był roześmiany. I tak jakoś to wyszło, że wszyscy się bardzo dobrze czuli, było sporo przemówień do Kuby, zupełnie nie poważnych, tylko takich serdecznych, z przyjaźni. Był jak co roku razem z nami. To było wspaniałe, i pozwoliło mi myśleć, że mogę organizować kolejne

przyjęcia, oczywiście z nim. I tak robię, wystawiam zdjęcia Kuby, goście są do tego przyzwyczajeni.

Na naszych przyjęciach jest jak dawniej, jest Kuba, jego ulubione menu – obowiązkowo chińszczyzna. Wszystko tak jak z nim. Wszystko. I wszyscy.

Przyjęcie już po śmierci Kuby, towarzyszył nam nie tylko na zdjęciu.

CZY SŁOWO „miłość" znaczy to samo u ludzi i u zwierząt? Obserwuję od paru dni zaloty mojej kotki Misi i pięknego białego kocura sąsiadów. On nieśmiało siedzi na tarasie i czeka, a Misia udaje, że to nie na nią. Ale jednej nocy poszedł na całego. Budzę się, bo coś mi ciężko, patrzę, a tu zwinięci w kłębki kochankowie leżą na mnie. Nawet rozkosznie wyglądali, ale ponieważ krzyknęłam: „Co się tu dzieje!", to tumult zrobił się duży,

a pies, który leżał przy łóżku jako straż miejska, zaczął szczekać jak opętany. A od rana para chodzi po wszystkich płotach i krzyczy radośnie z miłości.

BYLIŚMY szczęśliwym małżeństwem, jednak jak w każdym małżeństwie zdarzały się jakieś „ale". Kuba czasem mówił ni z gruszki, ni z pietruszki: „Ty masz tyle koleżanek, które są dyrektorami, a sama jakoś nie dążysz do tego, nawet w swoim zawodzie". Byłam zdziwiona, bo przecież w moim zawodzie mogę być dyrektorem tylko dla samej siebie, nie to co w zawodzie reżysera czy producenta, jeśli jest się oczywiście aktywnym. Kuba był niesamowicie pracowity. Na planie filmowym chciał robić wszystko, od najprostszych rzeczy, które nie przystoją reżyserowi, aby na końcu dojść do bardzo wnikliwych i interesujących filmów. Mówił: „Muszę nabić sobie ręce".

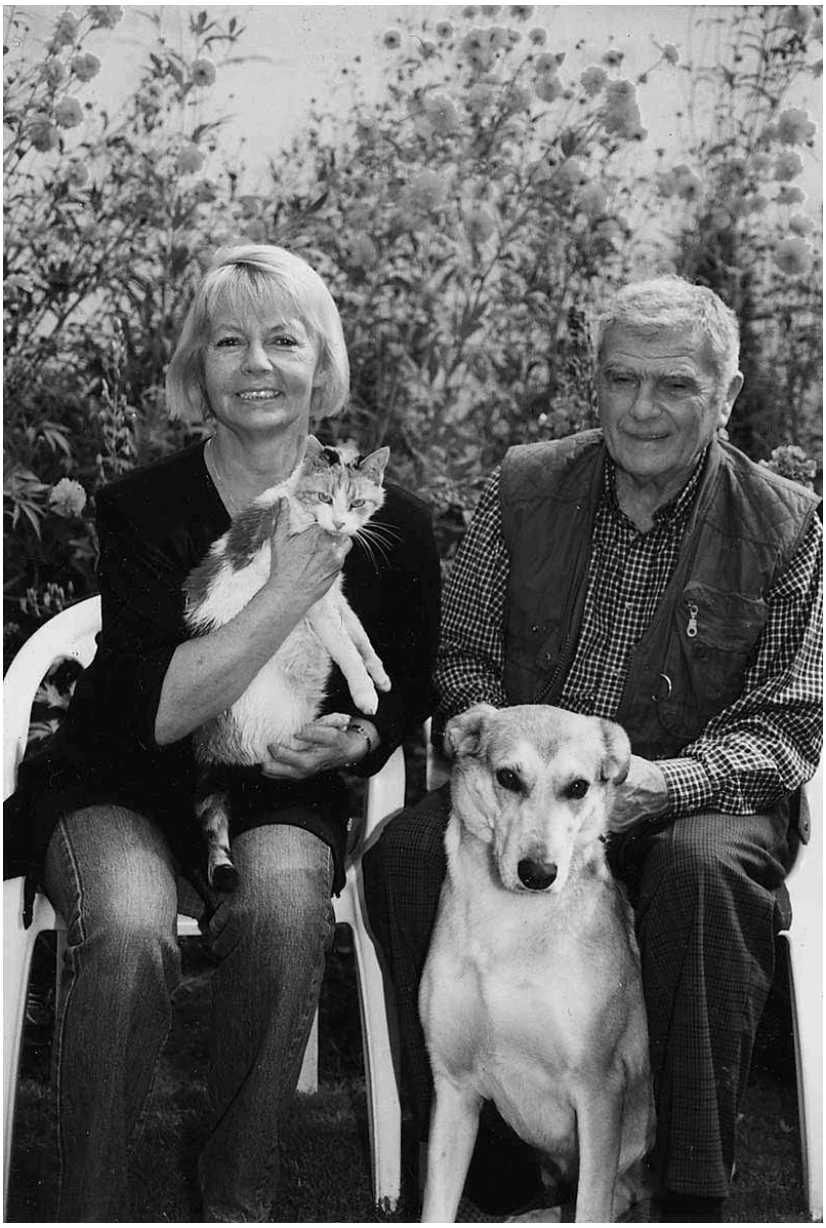

Nasze zwierzęta: kotka Mia Farrow i suczka Kajka.

Pewnego dnia, siedząc w moim pięknym, ukochanym ogrodzie, poskarżyłam się na te zarzuty męża pewnej bardzo mądrej znajomej. Ona na to: „Zaraz, zaraz, to kto odbudował ten dom?". Ja. Byłam dwa lata kierownikiem budowy. Uczyłam się codziennie różnych nowych zawodów – hydraulik, murarz, ślusarz – żeby na budowie naszego domu móc dopilnować młodych robotników i nauczyć ich tego, czego sama się

nauczyłam. Po dwóch latach wspólnej pracy przynieśli bukiet kwiatów w podzięce za te nauki.

A wcześniej, na Rynku Starego Miasta, Kuba z dużym trudem budował nasz mały strych. Nie pilnował pracowników, więc stale coś poprawiałam, zawsze w tym budowlanym pyle. Jak Kuba wracał do domu, pytał, patrząc na mnie z dezaprobatą: „Co ty tak okropnie wyglądasz?!".

Uważam i uważałam, że w małżeństwie trzeba wspierać osobę, która ma trudną, ale przyszłościową pracę. W końcu to on przede wszystkim przynosił pieniądze do domu. Gdy Kuba robił jeden film za drugim, był tak zmęczony psychicznie i fizycznie, że wzięłam na siebie wszystko, co było poza filmem. Uważałam, że to, czy ja zrobię jeszcze jedną tkaninę czy obraz więcej, nie jest tak ważne, jak jego kolejny dobry film, który obejrzą miliony ludzi. Nie czułam się przez to wcale gorsza czy słabsza. Przecież byłam dyrektorem u samej siebie w tak wielu sprawach.

PAMIĘTAM, jak kupowaliśmy nasz dom, Kuba pracował wtedy nad *Polskimi drogami*. Dom był w fatalnym stanie, przed nami mieszkało w nim siedem rodzin, pomieszczenia wewnątrz były podzielone ścianami z dykty, wszędzie spróchniałe belki. Nie wyglądało to dobrze. Umowę podpisaliśmy wczesną wiosną; po jej podpisaniu wyszłam do ogrodu, który wyglądał okropnie, podzielony na siedem działek, jakaś wygódka, stary gołębnik, tekturowe płotki, sterczące druty. Stanęłam po lewej stronie, gdzie teraz jest taras, i ogromnie się ucieszyłam, bo zobaczyłam, że w trawie zaczyna coś kiełkować. W MOIM ogrodzie coś kiełkuje! Poczułam, jak wspaniale jest mieć ogród, poczułam, że to moje miejsce. Bardzo go lubię, Kuba też bardzo go lubił. Tylko miał mało czasu, żeby w nim pracować, odpoczywać, cieszyć się nim. Ogród był dla niego namiastką otwartej przestrzeni, natury, których zawsze potrzebował.

Gdy Kuba wychodził do ogrodu, zawsze mówił, wskazywał, że coś powinnam jeszcze w nim zrobić, zmienić, żebym tylko się nie poczuła ważną i zdolną ogrodniczką. A ogród przearanżowałam już dziesiątki

razy. Najpierw było pełno malw, teraz jest pełno róż. I drzewa – na początku były same owocowe, a ja tylko gdzieś między nimi powtykałam iglaste, myśląc, że będą małe... Nie orientowałam się. Po pewnym czasie więcej było iglastych niż owocowych. Bardzo tego żałuję, bo owocowe tak pięknie kwitły...

Jakież to dziwne – Kuba, umierając, zabrał swoją połowę drzew z naszego ogrodu. Rosły w nim wspaniałe wiśnie, z których w lipcu robiłam pyszne konfitury. Rosły wspaniałe śliwy, z których we wrześniu smażyłam pyszne powidła. Jabłoń o pięknych dwóch rozłożystych konarach. Teraz został jeden. Po śmierci Kuby drzewa rodzą o połowę owoców mniej. Albo w ogóle. Zresztą nie mam teraz ochoty robić przetworów. Mąż nie powie mi już: „Twoje konfitury są tak dobre, jak były przed wojną".

To nawet dobrze, że te drzewa sobie poszły za Kubą.

KIEDY w 1979 roku zamieszkaliśmy na Żoliborzu, tylko czekałam, aż zjawi się pies do przygarnięcia. Pewnego dnia zadzwoniła koleżanka, że znalazła na ulicy psa, całego ogolonego, a było trzydzieści stopni mrozu. Pojechaliśmy po niego następnego dnia. W samochodzie wymiotował, wył, piszczał. Z początku Kuba nosił go po domu na rękach, jak dziecko. Ale w końcu do nas przywykł. Nazwaliśmy go Kajtek. Może nie był bardzo dobrze wychowany, bo na przykład obsikiwał mi wszystkie doniczki z kwiatami, które stały na podłodze – uważał, że to park. Kajtek miał na ulicy ksywę „Erotoman". Wiedział, gdzie i kiedy na Starym Żoliborzu suczki mają cieczkę. Siedział pod tymi domami, czasem całymi godzinami, w mróz i zawieruchę, słońce i deszcz, czekając na jedno spojrzenie wybranki. Musiałam się nauczyć jego mapy na pamięć i zabierać w ostatnim momencie przed zamarznięciem lub spaleniem przez słońce. Bardzo przeżyliśmy jego śmierć – tak jak wszystkich naszych zwierzaków – bo to dla nas małe ludziki.

Przyszło lato i pojechaliśmy do Bułgarii. Znajoma ekipa kręciła tam film i producent znalazł na ulicy maleńką kotkę, której matkę

ukamienowano. Żeby wywieźć ją z Bułgarii do Polski, oszukaliśmy, mówiąc, że gra w filmie. Nazwaliśmy ją Mia Farrow na cześć aktorki, która grała wtedy główną rolę w filmie Romka *Rosemary's Baby*. To ta kotka kilka lat później u stóp Romka urodziła córkę – Tess, i obie spędziły u nas jeszcze dziewiętnaście lat, choć za sobą nie przepadały.

Gdy zabrakło kotka i Kajtka, pojechałam do Celestynowa i wzięłam suczkę Kaję. W schronisku powiedziano mi, że nie mam co się zbliżać do jej klatki, bo jest dzika. Nie dość, że podeszłam, to jeszcze przez pręty wyciągnęłam do niej rękę. A Kaja spojrzała mi w oczy i pocałowała mnie w tę rękę. Przez dwanaście lat była moją najwierniejszą i najmądrzejszą przyjaciółką. Kiedy zachorowała na uremię, przez pół roku codziennie podawałam jej sama kroplówki.

Suczka Ami.

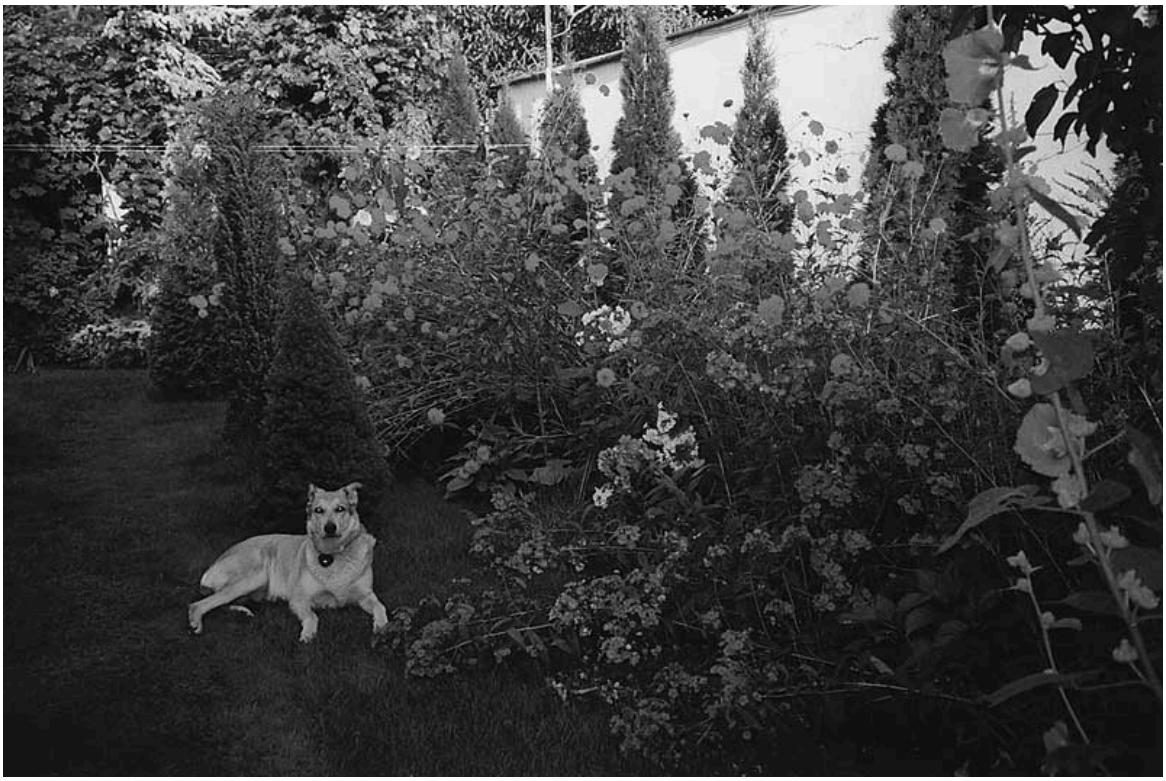

My, nasze zwierzęta, nasz ogród.

Po śmierci Kai znów wybrałam się do Celestynowa i tym razem przywiozłam do domu Ami. Był luty, zimno, a ona była w takim szoku, że przez trzy tygodnie leżała w błocie w ogrodzie i bała się wejść do domu. W końcu udało mi się ją wnieść do środka, ale to nie był jeszcze koniec gehenny. Kolejne dwa tygodnie przeleżała ze strachu pod kanapą. Cała ulica się nią zajmowała, wynosiliśmy ją z domu na rękach na spacer. Do dziś – a jest już ze mną trzynaście lat – nie zrobi siusiu, jeśli na ulicy jest ktoś oprócz nas.

Ami ma trudny charakter, ale przez tyle lat udało nam się ją jakoś ułożyć. Kiedy odwiedzają mnie znajomi, wita ich w progu, głośno szczekając, wygląda groźnie, ale wystarczy wręczyć jej łapówkę, czyli jakiś mały przysmak, i staje się słodkim kanapowym pieszczochem. Uwielbia być w centrum uwagi.

Nasza kotka arystokratka.

Podczas spaceru z Ami wypatrzyłam dwie kotki siedzące na progu jednego z okolicznych domów. Sądziłam, że są wypuszczane na jakiś czas, ale szybko się okazało, że ktoś je wyrzucił. Zaczęłam je dokarmiać, a pewnej nocy obudził mnie straszny koci płacz. Okazało się, że właścicielka – choć nie wiem, czy tak ją można nazwać – zamknęła jedną z tych kotek w przybudówce. Wezwałam ochronę, żeby pomogli mi ją uwolnić. Potem dalej ją dokarmiałam, aż w końcu zaczęła sypiać pod naszymi drzwiami. Pewnego dnia otworzyłam i powiedziałam: „Chcesz wejść, to wejdź. I zostań". Od tego czasu mam Misię. Z Ami najpierw się nie lubiły. Trudno się dziwić, skoro Misia dała Ami na powitanie po pysku. Ale mijają lata i mogłabym przysiąc, że kiedyś widziałam, jak się pocałowały.

STOJĘ na czerwonych światłach. Zimno, zamieć śnieżna. Na pasy wchodzi mężczyzna z dwoma psami. Jeden bardzo przystojny, dobrej rasy, ale smutny. Piękny. Ogon ma schowany między łapami, widać z postury, że bardzo cierpi z powodu pogody.

Obok biegnie typowy kundelek, radosny, ogonek w górę, pyszczek roześmiany pomimo złej pogody. Jak on przyciąga wzrok. Radość życia. Niezależnie od pochodzenia.

Kuba z Ami.

KUBA kochał zwierzęta tak jak ja. Ale jako reżyser miał zawsze własny pomysł na to, jak mają się zachowywać i co robić. Trochę tak jak wobec mnie. I strasznie się obrażał, jeśli koty i psy nie spełniały jego oczekiwań.

W KAŻDY czwartek, mniej więcej o 8.15 rano, Kuba wołał: „Wstawaj, twoi przyjaciele czekają!”. Biegłam i biegnę od dobrych paru lat do okna w kuchni i zawsze widzę duży kontener na śmieci, jak zajeżdża z hukiem przed nasz dom, a przed nim stoi trzech panów w uniformach MPO, którzy kłaniają mi się jak najładniej, a potem przykładają dłonie na szybę z zewnątrz, a ja kładę na ich śladzie wewnątrz. I odjeżdżają. No a ja czekam do następnego czwartku.

Kolejnych znajomych, w makulaturze, też mam od wielu lat. Raz na parę tygodni załadowuję samochód gazetami aż po dach i jadę do mojego punktu skupu na Bielanach. Mąż zawsze mi mówił, że więcej kosztuje mnie benzyna, niż dostanę za te gazety. Rzeczywiście, to jakieś cztery, pięć złotych. Raz powiedziałam: „Pojedź ze mną, a wszystko zrozumiesz”. I pojechał.

Wśród licznych budek pełno dużych skrzynek, a w nich leżą w radosnym upojeniu moi adoratorzy. Kiedy przyjeżdżam, wyskakują, wołając ochoczo: „Księżniczka, księżniczka przyjechała!”. Wracając, Kuba powiedział: „No rzeczywiście, musisz tam jeździć”.

DO NIEDAWNA w naszym kraju nie widziałam grup, które nazywamy żebrakami. Czasem pod kościołem – i to najczęściej kaleki lub ci, którzy kaleki udawali. Teraz, szczególnie w ostatnim czasie, codziennie przez naszą uliczkę przechodzi plejada młodych tak zwanych żebraków, na strasznym kacu. Najczęściej wieczorem. Dzwonek do drzwi. Pędzę na piętro wyżej, aby pertraktować przez okno. Zawsze stoi całkiem młody człowiek, zdezelowany przez życie bon vivanta. „Pani da pięć złotych”. Mówię: „Ale codziennie ktoś z was przychodzi po pięć złotych”. „To nie ja. Ja pierwszy raz u pani”. „A nie wstyd panu tak żebrać?”. „A bo ja wiem?”. „Dobrze, ale ostatni raz pana tu widzę”. „Dobrze, ale jak tak, to chcę dychę”. „O nie!”. Ale wczoraj znów dzwonek i widzę z okna kobietę w białej sukience, bardzo nobliwie wyglądającą. „Pani zejdzie na dół, bo nie będę krzyczeć na całą ulicę”. Schodzę. Pierwsze zdanie, które usłyszałam, było wypowiedziane bardzo energicznym głosem: „Jestem alkoholiczką,

potrzebuję dziesięć złotych, inaczej zwariuję". No, w tej sytuacji pędzę po dziesięć złotych. Ona ogląda długo banknot i mówi: „A co ja za to kupię? Chociaż piętnaście by pani dała". Powiedziałam: „O nie. Muszę mieć te pięć złotych dla następnego". „No trudno" – mówi i odchodzi niezadowolona.

Patrzę przez okno. Raz, drugi. Widzę wrony, które z wielką inteligencją szykują sobie posiłek. Lecą wysoko na drzewo, trzymają w dziobach orzechy i zrzucają je na chodnik, roztrzaskując w ten sposób twardą skorupę. A jeśli to się nie uda, czekają na samochód, który za nie wykona robotę. A potem z apetytem zajadają ten swój obiad czy kolację. Obserwuję je również, idąc ulicą, z pysznymi cukierkami dla kotki, która wybrała sobie życie luksusowego menela.

Przejeżdżam codziennie koło jej okienka – siedliska kotki menelki, w najbardziej ruchliwym miejscu ulicy. Widocznie lubi być w samym centrum Manhattanu żoliborskiego. Ale dzisiaj co widzę: kotka leży wyciągnięta w oknie obok, a na jej starym miejscu kłębi się tłum ptaków różnej maści i wielkości i pożerają wszystko, co sąsiedzi dla niej przynieśli. W tym samym czasie w dużym pełnowymiarowym oknie powyżej siedzi wielki kocur, najedzony, wyczesany, ale bardzo znudzony, i zazdrości koleżance z ulicy jej wolności.

PEWNEGO razu zostałam zaproszona przez Henrykę Bochniarz, wspaniałą panią prezes Konfederacji Lewiatan, na zebranie Kongresu Kobiet. Zachwycona patrzyłam na występujące tam kobiety sukcesu – energiczne i inteligentne. Walczące. Na pewno Kubie o to chodziło, bym była właśnie taka – myślałam. Ale przecież nie zniósłby w domu drugiego dyrektora. Przez rok nie dostawałam żadnych zaproszeń od Kongresu Kobiet. Pomyślałam, że nie zdałam egzaminu. Ostatnio odbieram telefon: „Dlaczego nie przychodzi pani na zebrania, wysyłamy przecież zaproszenia... mailem". „Przecież ja nie używam maila". „To znaczy, że pani jest z innej już bajki". Wyciągnęłam laptopa i dalejże się uczyć. A już myślałam, że do niczego nie jest mi potrzebny.

PIERWSZY raz poczułam siłę kobiet na zjeździe Krystyn. Wymyśliła tę imprezę w 1998 roku znana dziennikarka Krystyna Bochenek. Co roku gościło nas inne miasto – w 2001 roku ponad dwieście Krystyn w Ciechocinku, a po ośmiu latach już niespełna tysiąc w Cieszynie. Przyjeżdżały tam Krystyny z całej Polski, niektóre miały zresztą całkiem inaczej na imię, ale to już inna historia. Pojawiały się tam, bo chciały mieć swoje święto, obojętnie, jakie nosiły imiona. Ale to było też ich święto. Na co dzień zaniedbane, źle ubrane, zapracowane, przyjeżdżały na nasz zlot wystrojone w odświętne kapelusze. Niektóre z nich mają już całe szafy tych kapeluszy i z dumą pokazują je sąsiadkom. Bo w każde imieniny dostają nowy kapelusz. Wieczorem bal. Wszystkie wystrojone, orkiestra gra, wszystkie tańczą. Przeszłam się w tym tłumie Krystyn i czułam ich wielką siłę. Gdyby im wtedy dać szabelki – pomyślałam – wywalczyłyby wszystko.

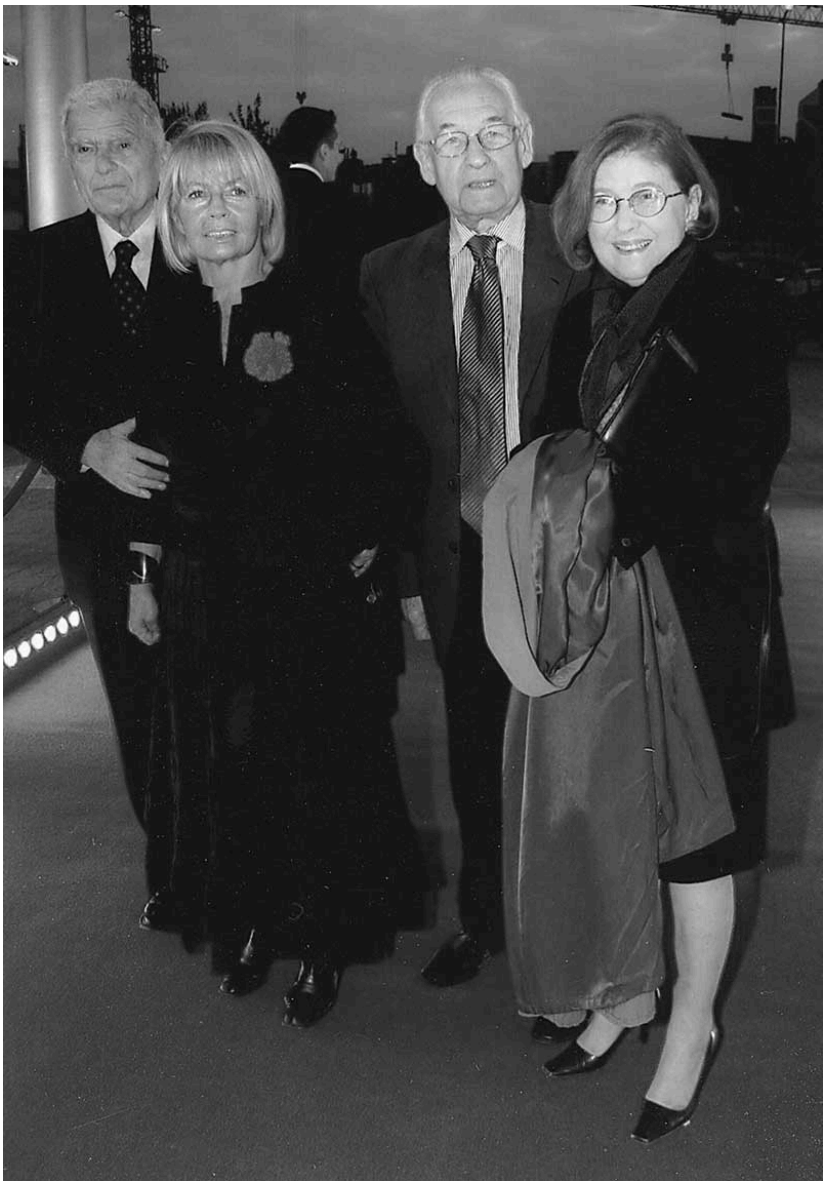

Z Krystyną Zachwatowicz i Andrzejem Wajdą na jednym z filmowych gdyńskich festiwali, początek lat dwutysięcznych.

Kuba odznaczony Złotym Medalem „Zasłużony Kulturze Gloria Artis", z Krystyną Jandą i Januszem Gajosem, 2005.

Kobiety zawsze były silne, ale dziś potrafią już połączyć swoje siły i działać w jednej sprawie. Mężczyźni będą jeszcze zaskoczeni zmianą ich stylu myślenia.

A teraz z innej bajki. Ostatnio uczestniczyłam w innym spotkaniu, weszłam na salę i dech mi zaparło, ponieważ we wszystkich rzędach siedzieli sami znajomi mężczyźni z zupełnie siwymi głowami. Srebrna masa przede mną. Przecież wszyscy byli brunetami. Kiedy tak posiwieli? I to wszyscy naraz. Jeden punkcik był czarny. Kobieta. Ta się na szczęście nie poddała.

ZAWSZE uważałam, że słowo „wdowa" jest jakieś złowrogie, mroczne. W życiu nie przypuszczałam, że pewnego dnia będzie się tak mówiło

o mnie. Lata temu założyłam się z moim mężem, że to ja pierwsza umrę. Nie pamiętam o co, ale niestety przegrałam ten zakład. Wiedziałam tylko, że tak bardzo cierpi się po śmierci najbliższej osoby, i egoistycznie wolałam, żeby to on cierpiał, a nie ja. Nie udało się. Teraz już wiem, że wdowy lubią dzielić się między sobą doświadczeniami. Niestety mnie często przepowiadały przykrą, smutną przyszłość. Słyszałam: „Zobaczysz, jeszcze po pogrzebie będą dzwonić wasi dotychczasowi przyjaciele i znajomi. A potem cisza". Przeraziłam się, bo całe życie z Kubą lubiliśmy ludzi i wszystko, co się z nimi wiąże. Spotkania, teatr, film, przyjęcia, wernisaże. Ależ tyle rzeczy jest do zobaczenia i omówienia. Na szczęście przyjaciele i znajomi mi nie uciekli. Przyjmują mnie, tak jakbym nadal była z Kubą, za co im bardzo dziękuję. Otrzymuję tyle wyrazów serdeczności, nawet często od nieznanych mi dotychczas ludzi. I stwierdzam teraz, że większość dzisiejszych wdów jest bardzo dzielna. Chcą udowodnić sobie i innym, że są coś warte, nawet bez drugiej połowy.

NASZE CHAŁUPY

MINĘŁY właśnie pierwsze letnie wakacje, które spędziłam już bez Kuby. Kuba mówił zawsze: „Ty będziesz żyła sto lat". A ja odpowiadałam: „W pojedynkę nie odnalazłabym się już w życiu". Tak jak chodziliśmy i jeździliśmy zawsze razem, tak teraz też wypada razem, prawda?

Bałam się jechać do Chałup po prawie pięćdziesięciu latach przyjazdów tam z Kubą. Dlaczego właśnie Chałupy mnie tak bolą? Bo widzę je w tak jasnych, kolorowych, radosnych barwach. To moje Chałupy. To nasze Chałupy.

W ciągu lat, tam na Helu, widać całą rewolucję społeczną, obyczajową, kulturalną, jaka się dokonała. Trudno powiedzieć, które czasy były lepsze. Oczywiście dla mnie te stare minione lata były najwspanialsze, bo byli z nami wspaniali ludzie, nasi przyjaciele.

Ależ my wszyscy garnęliśmy się co roku do tego najbardziej prymitywnego i najbardziej urokliwego miejsca nad polskim morzem! W latach sześćdziesiątych, siedemdziesiątych i jeszcze później śmietanka twórców kultury i sztuki leżała na pięknym piasku i wdychała wspaniały jod, który w ciągu trzech dni najbardziej zmęczonych wycieczkowiczów stawiał na nogi.

W Chałupach mieszkały same rodziny rybackie, a my prosiliśmy, aby przyjęli nas pod swój zapadający się dach, z wygódkami na zewnątrz. Cały rok szykowaliśmy się na te dwa miesiące lata. Ciągle o tym rozmawialiśmy. Istniała nawet moda chałupska – każdy miał w Warszawie dużą walizę z rzeczami na sezon wakacyjny. Właściwie do dzisiaj mam wszystkie stroje z tamtych czasów. Jeśli się jeszcze nie rozpadły, to wciąż są na czasie. Na plażę uszyłam sobie sama bikini. Przypominam sobie siebie na okładkach bardzo ważnych pism właśnie w tym moim rękodziele. Potrzebowałam mało materiału, bo spódniczki i sukienki były tak króciutkie, że trzeba było uważać, aby się za bardzo nie pochylać. W ciągu dnia wszyscy gromadzili się w grajdołach na plaży. Byliśmy tylko my z Warszawy,

a czasem ktoś doskoczył z Krakowa, najczęściej aktorzy. Widzę te grajdoły z parawanami, wiatr, Konwickiego, Łapickiego, Dygata z Kaliną, grafika Henryka Tomaszewskiego z żoną malarką, Teresą Pągowską, dyrektora Teatru Ateneum Janusza Warmińskiego z żoną Aleksandrą Śląską pod piękną parasolką – aktorka była tak nierealna w swojej urodzie, jakby wyszła prosto z jakiegoś pięknego filmu. Właściwie cała plaża należała do nas. Czasem przechodził jakiś nagus, ale wystarczyło, że jedna z nas wybuchała głośnym śmiechem, i nagus uciekał w popłochu.

Pewnego lata nagusom pozazdrościli dwaj nasi koledzy – Janusz Głowacki i Marek Piwowski – i stworzyli grajdoł nudystów. Co się wtedy działo! Stali się prawdziwymi celebrytami. Jeszcze długo wypominały im ten wyczyn prasa i... milicja.

Na podwórku u Grzebielucha, u którego mieszkali Staś Dygat i Kalina Jędrusik, podgrzewało się duży gar kartofli, kiełbasy i wszystkiego, co było pod ręką, na wieczorny bankiet. Może trudno teraz uwierzyć, ale na tym ściernisku bawiła się wspaniała polska artystyczna elita. Z Warmińskim i Śląską jedliśmy obiady w małej rybackiej chatce, która co roku była coraz niższa. Tam Śląska mi tłumaczyła, że jej receptą na piękną i młodą cerę jest tylko krem Nivea.

Codziennie po południu Tadzio Konwicki wzywał wszystkich na spacer po lesie. Jaka szkoda, że nikt nie nagrywał tych rozmów na najwyższym poziomie intelektualnym, toczonych w potwornym tempie.

Między godziną 16 a 20 trzeba było być w słynnej kawiarence Zatoka. Przy samej szosie stała budka – każdego roku coś tam dochodziło – a to ławka, a to stolik albo daszek z falistej blachy, ważny, kiedy padało. Zatoka to był centralny punkt informacyjny na Wybrzeżu. Zjeżdżali do nas znajomi z Juraty czy z Dębek, żeby dowiedzieć się, co się gdzie dzieje.

Na deptaku chałupskim był jedyny telefon pod chmurką. Bez żadnego daszka. To były intrygujące chwile. Jedyna możliwość kontaktu ze światem. Oczywiście tylko polskim. Słyszeliśmy wszystko, co kto mówił i do kogo. To było bardzo atrakcyjne. Natomiast, kiedy wiał mocny wiatr lub deszcz lał się strumieniami

na nasze głowy, stawało się mniej przyjemne. Teraz młode pokolenie idzie sobie ulicą i mówi, mówi przez te komórki i nie wie, jak ma dobrze, choćby telefonicznie.

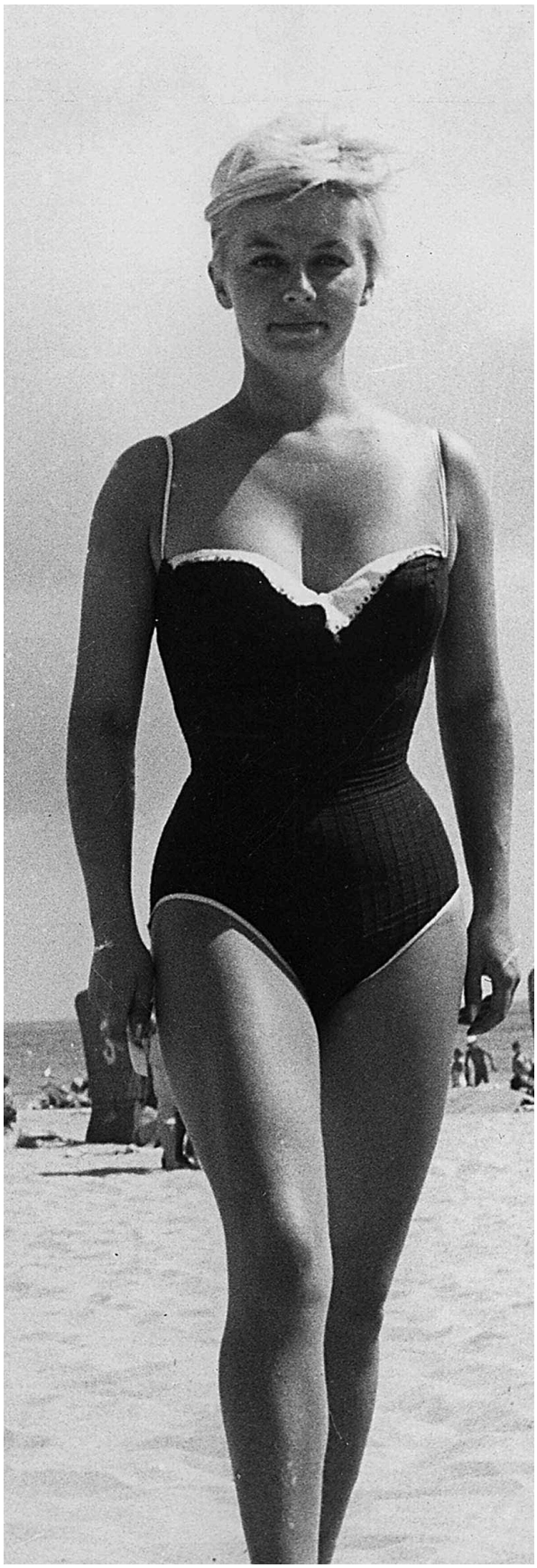

Ja na plaży, lata sześćdziesiąte XX w.

PAMIĘTAM, jak szłam sobie kiedyś przez Chałupy – opalona, szczupła, młoda, zadowolona z siebie – a Kalina, wtedy pulchniutka, mówi: „Jak ty wyglądasz?! Taka chuda... Niedobrze. Nikt się z tobą już nie umówi". Pięćdziesiąt lat później wszyscy mi mówią, jak dobrze wyglądam. No to jak ja w końcu wyglądam? Która ocena jest prawdziwa? Przecież po śmierci męża powinnam wyglądać źle.

Nad Bałtykiem, lata sześćdziesiąte XX w.

PRZEZ te prawie czterdzieści lat wakacji w ciężkim PRL-u w Chałupach najtrudniejsze było zapakowanie samochodu. Trzeba było zabrać wszystko jak na bezludną wyspę – ledwo sami wchodziliśmy do auta. My, no i pies, niestety średnio co dwanaście lat inny, ale kolor zawsze złoty, prawie labradory, cudowni przyjaciele. Teraz też tyle rzeczy zabieram do Chałup. Nie wiem, czy to potrzeba, czy przyzwyczajenie?

Chałupy, słynna kawiarenka Zatoka i nasza wakacyjna ekipa, koniec XX w.

WIĘKSZOŚĆ z naszych zaprzyjaźnionych par, z którymi byliśmy w Chałupach, przyjeżdżała tam z małymi dziećmi, z którymi teraz – czterdziestolatkami, znów leżałam w grajdole na plaży, tyle że w roku 2013. Ale jest nam tam bardzo dobrze. Musieliśmy się tylko przyzwyczaić do tłumu ludzi na ulicy, na plaży i w dodatku do domów z łazienkami. My, starzy bywalcy Chałup, musieliśmy się przekształcić mentalnie w momencie kapitalistycznego wyskoku Juraty i Jastarni, gdzie powstały piękne, na światowym poziomie hotele. Na miejscu naszego Domu Zdrojowego w Jastarni, gdzie chodziliśmy na fajfy ze wspaniałymi tańcami. Panowie często grali tam w pokera. Właśnie w tym Domu Zdrojowym poczułam pierwsze zwycięstwo nad moim mężem. Poker go fascynował, a jeszcze bardziej, jak wygrywał. Więc powiedziałam: „Albo ja,

albo karty", no bo widywałabym go rzadko. A potem zawsze, gdy miał ochotę zagrać, to wszystko w nim buzowało z tej chęci.

W Chałupach z Ami.

Zbyszek Cybulski parę razy znalazł na chodniku dwa albo pięć złotych. No i do końca życia przeglądał całą trasę pod nogami, bo a nuż coś znajdzie. Mówił do mnie: „Stareńka, ale widzisz, czasem można coś znaleźć". Myślę, że całe życie szukał „tego czegoś", a zamiast „tego" znajdywał mały pieniążek. Może większość naszego pokolenia nie mogła tego znaleźć.

Wśród przyjaciół, z którymi przez co najmniej trzydzieści lat spędzaliśmy razem wakacje w Chałupach, był Waldek Świerzy, znakomity plakacista. Na plaży grajdoł obok grajdoła, oba czerwone parawany, wynajęte pokoje obok siebie przez ścianę. Kuba kupował rano gazetę dla nas i dla nich, a parę dni temu słyszę, że Waldek umarł (2013). Cały mój świat zamiera. Na jego pogrzebie zobaczyłam, że Waldek i Kuba, tak jak na plaży, leżą blisko siebie.

Nasze wakacje w Chałupach – Kuba, ja i Ami, początek lat dwutysięcznych.

A JAK WYGLĄDAŁY nasze ostatnie wyjścia z Kubą na plażę? Szliśmy piękną drogą, niosąc parawan, duży czerwony parasol, krzesło dla Kuby, materacyk i ręcznik plażowy dla mnie, torbę z olejkami, jedzeniem i piciem, no i z nami pies, ostatnio Ami. Ważny był kamień, którym wbijało się kije od parawanu. Taki kamień miał zawsze Miecio Jahoda. Jak mu się nie podlizywaliśmy, to nie pożyczał. Dwa lata temu z przyzwyczajenia rozglądałam się po plaży, szukając wzrokiem Miecia. Ale pusto. Miecio umarł w 2009 roku.

Pamiętam, jak kiedyś było bardzo zimno, choć to sierpień. Jedynym człowiekiem, który kąpał się w zasięgu naszego wzroku, był właśnie Miecio. Szczękając zębami, ktoś zapytał, co on tam robi w wodzie. A ktoś inny odpowiedział: „Na pewno myśli, że a nuż znajdzie tam na dnie dziesięć złotych". Ta złośliwość była rewanżem za podrywanie wszystkich kobiet. Bo Miecio prywatnie był zawsze bardzo zainteresowany romansami swoimi i swoich znajomych.

Nie zapomnę, jak pewnego letniego dnia Miecio dzwoni do mnie i mówi: „Kuba idzie Nowym Światem i je lody". No to właściwie wszystko w porządku, pomyślałam sobie. Ale w miarę upływu czasu zaczęłam kombinować: przecież w tej informacji musi być jakaś puenta. Przecież Miecio nie mógł mi podać wiadomości bez podszeptu jakiegoś skandalu. Wobec tego zapewne delikatnie daje mi znaki. No i w momencie kiedy Kuba przekroczył próg domu, miałam już w głowie nieprawdopodobne wiadomości na temat jego spaceru po Nowym Świecie z lodami w ręku. A potem... Potem nastąpiły długie dni milczącego nieporozumienia.

Ale wrócę jeszcze do Chałup.

ROZKŁADANIE się na plaży na te parę godzin nie było łatwe. Oczywiście Kuba występował w roli dowódcy, jak na planie filmowym, i krzyczał, że źle

ustawiam parawan. Ja krzyczałam: „Przestań mnie reżyserować!”, a w końcu rzucałam wszystko obrażona. Wtedy on zabierał się do wbijania patyków, ale robił to tak nieudolnie, że natychmiast go wyśmiewałam, a wtedy mówił: „Ja tylko daję ci szkic”.

KU MOJEMU zdziwieniu parę razy po oficjalnych spotkaniach związanych ze śmiercią Kuby podchodziły do mnie nieśmiało kobiety i na ucho pytały: „Jak pani udało się tak długo utrzymać tak dobre małżeństwo?”. Odpowiadałam zawsze tak samo. Powtórzę więc raz jeszcze: „Najważniejsze to dobra reżyseria. Kuba reżyserował filmy, ale ja reżyserowałam nasze życie prywatne”. Wychodzi na to, że przez te pięćdziesiąt lat też byłam dobrym reżyserem ciepła małżeńskiego.

PRZEZ dziesięć lat zajmowałam się działalnością charytatywną, należąc do Soroptimistu i Rady Polek. Pomagałam na przykład hospicjum onkologicznemu na Ursynowie. Dzięki mnie i Radzie Polek hospicjum dostało poloneza i fiacika 126p. Fiacik woził jedzenie chorym, którzy mieszkali w swoich domach.

Dlaczego akurat działalność charytatywna? Umarła moja matka. Przecięła się pępowina. Byłam zrozpaczona. Uważałam, że za mało okazywałyśmy sobie przyjaźni. Chciałam nadrobić to w pracy dla innych.

Miałam ochotę być z ludźmi i zająć się czymś pożytecznym. Załatwiam tylko cudze sprawy. W swojej sprawie nigdy bym nie wystąpiła. Wstydziłabym się. W cudzej wiem, że jestem wiarygodna. Załatwiłam komputery dla schroniska dla zwierząt, bo kocham zwierzęta i widzę, co się dzieje w schroniskach. Załatwiłam radia i obrazki dla hospicjum, żeby pacjenci, leżąc, nie patrzyli na gołe ściany, bo wiem, że każdy z nas może tam trafić. Nabrałam w tym załatwianiu

wprawy. Na stole w kuchni mam notatki, do kogo i w jakiej sprawie zadzwonić.

LISTOPAD, 2013 ROK. Trzeci raz rozdaję Nagrody im. Janusza Morgensterna młodym filmowcom debiutantom. Co roku wręczam je w jego urodziny, 16 listopada. Pierwszym nagrodzonym filmem w 2011 roku był *Daas* Adriana Panka, i kolejno: w 2012 roku *Dziewczyna z szafy* Bodo Koksa i *Dzień kobiet* Marii Sadowskiej, w 2013 roku *Olena* Elżbiety Benkowskiej, *Mazurek* Julii Kolberger, *Matka* Łukasza Ostalskiego (w 2014 roku *Piąte: Nie odchodź* Katarzyny Jungowskiej, w 2015 – *Disco polo* Macieja Bochniaka, a w 2016 – *Ostatnia rodzina* J.P. Matuszewskiego). W 2013 roku nie było jednego bardzo dobrego debiutu fabularnego, więc sięgnęłam po trzy krótkometrażowe. Aby uatrakcyjnić wieczór, poprosiłam Szkołę Filmową w Łodzi o przysłanie studenckiego filmiku Kuby *Rzodkiewki* z 1954 roku, siedemnaście minut. Trafiłam w dziesiątkę. Film zrobiony w komunie, pokazujący śmieszności systemu. Sala była zachwycona, okazało się, że czasy się zmieniły, a śmieszności pozostały. Film jest nadal aktualny. Nawet dziwiliśmy się, że w tym czasie pozwolono Kubie to nakręcić. I tu jego wypowiedź w wywiadzie parę lat temu:

Morgenstern nagradza debiutantów z perspektywami

Dziś w warszawskim kinie Kultura Krystyna Morgenstern, żona zmarłego przed trzema laty reżysera „Do widzenia, do jutra" i „Jowity", wręczy nagrodę im. Janusza „Kuby" Morgensterna. Dostanie ją Katarzyna Jungowska za film „Piąte: nie odchodź".

TADEUSZ SOBOLEWSKI

Nagroda, ufundowana przez PISF (30 tys. zł), jest przeznaczona dla debiutanta i nosi nazwę Perspektywa - jak studio filmowe, którym Morgenstern kierował od 1978 r. - Kuba zawsze patronował młodym. Chciałam, żeby nagroda dla obiecującego debiutu fabularnego pochodziła właśnie od niego - mówi Krystyna Morgenstern.

Powiedziała kiedyś: „My jesteśmy z Kubą jak jedna osoba". Byli słynną parą. Ich pracownia na strychu przy Rynku Starego Miasta była jednym z tych miejsc, w których tworzyła się kulturalna ekosfera, która potem promieniowała na kino, literaturę, teatr, plastykę. Bez tego nie da się pojąć powojennej kultury. U Morgensternów w latach 60. można było spotkać Cybulskiego, Kobielę, Polańskiego, Konwickiego, Słonimskiego czy Głowackiego. Ja zapamiętałem z tamtego czasu postać Krystyny Morgenstern, wówczas Krystyny Cierniak - w Kabarecie Starszych Panów śpiewała „Hymn Skautów Oceanicznych".

Mówił jej: ja się nie wtrącam do twoich gobelinów, zaproszę cię na premierę filmu. - To było wojenne pokolenie dumnych mężczyzn - opowiada Krystyna Morgenstern. - Nie było w ich stylu słuchać swoich partnerek. Ja, absolwentka ASP, specjalizowałam się w tkaninach. Mówiłam mu: ty masz milionową widownię, a mój gobelin obejrzy najwyżej kilkadziesiąt osób. Uznałam, że muszę przede wszystkim dbać o niego, stworzyć mu dom, którego nie miał.

Właśnie złożyła w Wydawnictwie Literackim wspomnieniową książkę, jeszcze bez tytułu. - Różne perypetie. Portrety znajomych. O Romku Polańskim nieznane anegdoty. O tylu fajnych rzeczach, które przeżywaliśmy. A wszystko opowiadane w nawrotach skojarzeń, prosto, niemal naiwnie - mówi. Prowadzi zaległe sprawy męża. Kiedy po premierze „Miasta 44" mówiono, że od czasu „Kanału" nie było u nas takiego filmu o powstaniu, przypominała: byli przecież ogromnie popularni, telewizyjni „Kolumbowie" Morgensterna. Przygotowuje projekt, którego nie zdążył zrealizować sam Morgenstern - z serialu stworzyć pełnometrażowy film kinowy. Poszukuje reżysera, który się tego podejmie.

Nagrodę wymyśliła, żeby szukać w młodym kinie podobnych klimatów jak w filmach Kuby - oryginalności, świeżości, lekkości. Szukać filmu, który spodobałby się Kubie.

Jakie cechy powinien mieć? Witalność, energię, elegancję formy? Nie epatować brutalnością, co nie oznacza braku ostrości czy ironii - to przecież Morgenstern filmem „Trzeba zabić tę miłość" według scenariusza Janusza Głowackiego na początku lat 70. otworzył w polskim kinie nurt krytyczny. Morgenstern należał do reżyserów, którzy zawsze realizują film z myślą o publiczności. Nagroda jego imienia ma iść trochę pod prąd dzisiejszym modom - to nie ma być „inne spojrzenie", raczej inteligentne kino środka.

Laureatami byli dotąd: Adrian Panek za „Daas", Marysia Sadowska za „Dzień kobiet", Bodo Kox za „Dziewczynę z szafy". W ubiegłym roku - troje reżyserów debiutujących krótkimi fabułami: Elżbieta Benkowska („Olena"), Julia Kolberger („Mazurek") i Łukasz Ostalski („Matka"). Każdy z tych filmów jest próbą uchwycenia nowego czasu. „Daas" Panka, osnuty wokół losów Jakuba Franka, XVIII-wiecznego samozwańczego mesjasza, twórcy nowej, synkretycznej religii (jest on także bohaterem nowej powieści Olgi Tokarczuk) - to mimo kostiumu film o dzisiejszym świecie, o niestabilnej, „płynnej rzeczywistości", w której zanika pojęcie prawdy. „Dziewczyna z szafy" jest współczesną bajką o „wieloświecie", w którym ludzie kultywują swoją prywatność i każdy ma swoją „szafę", w której się zamyka. Ale u Bodo Koxa ta ponowoczesna samotność wcale nie musi być zła - jest ucieczką przed brutalnością świata. Z kolei „Mazurek" Julii Kolberger to demaskatorska komedia o fatalnym wielkanocnym przyjęciu. Takie małe „Kto się boi Virginii Woolf" po polsku. Pani domu postanawia „dołożyć gościom". Wywleka prawdę, której ofiarą padają wszyscy obecni, łącznie z nią samą i z gościem z Zachodu, podstarzałym absztyfikantem ich córki. 30-minutowa fabuła obnaża konsumpcyjną moralność, asertywne związki bez kompleksów, gdzie rozwiedzione pary spotykają się przy jednym stole, jakby nigdy nic, obchodząc święta, które już nic nie znaczą.

- W tym roku braliśmy pod uwagę pięć filmów - mówi Krystyna Morgenstern. - Wiele przemawiało za „Hardkor Disko", gdzie odtrącony syn dokonuje zemsty na pokoleniu rodziców. Ale to film nie dla mnie, szukałam czegoś bardziej „ludzkiego". Przypadkiem trafiłam na „Piąte: nie odchodź" Katarzyny Jungowskiej, który później był pokazywany na Warszawskim Festiwalu Filmowym. I widziałam, jak poruszał ludzi.

To familijny melodramat, a właściwie baśń o ojcu i córce. On - oschły, zamknięty w sobie, po śmierci żony związany z inną kobietą. Ona - zabiegająca o jego uczucia, uciekająca w fantazje, które ojciec lekarz nazywa paranoją. W „Opowieści wigilijnej" trzeba było interwencji świata nadprzyrodzonego, żeby skruszyć zatwardziałe serce Scrooge'a. Jak opowiedzieć bajkę o przemianie serca dziś, w świecie kompletnie odczarowanym? Jak uaktywnić staroświeckiego Anioła Stróża z obrazka? Jungowska usiłuje tę przemianę urealnić. Tak, by uwierzył w nią również nienaiwny widz. I na moment tak się staje. To, co realne, i to, co nadprzyrodzone, okazuje się w końcu tym samym. ●

17 XI 2014 r. - Gazeta Wyborcza

Prasowe Informacje o filmowej Nagrodzie im. Janusza Kuby Morgensterna, 2014.

KUBA MORGENSTERN:

„Szkoła Filmowa w Łodzi była na początku lat pięćdziesiątych wentylem wolności.

To był inny świat. Kiedy spotykałem się z kolegami, którzy studiowali wówczas na przykład na Uniwersytecie Warszawskim, widziałem w ich oczach strach. Bali się własnego zdania, nie mówili tego, co naprawdę myśleli. Tymczasem w Szkole Filmowej w Łodzi w tych samych zniewolonych czasach nikt się nami specjalnie nie przejmował. Byliśmy zapewne odbierani przez ówczesną władzę jako potrzebna w każdym okresie trochę szalona awangarda. Uważano nas za nieszkodliwych wariatów z ulicy Łąkowej".

LATO, 2011 ROK – MOST PONIATOWSKIEGO. Wracam z Kubą z Anina, ze strasznego koszmaru medycznego, po paru tygodniach jego pobytu na OIOM-ie. Jestem wciąż jeszcze przerażona, ale szczęśliwa, że wracamy do domu. Jesteśmy w połowie mostu Poniatowskiego – piękny widok, piękna pogoda. Tryskam radością. „Jak cudownie jest żyć, prawda Kuba?" – mówię do niego. Spojrzał na mnie obojętnie. Zawstydziłam się. Kilka dni później już nie żył.

Minął rok. Jadę tą samą trasą, już sama. Wracam od lekarza, który powiedział: „Pani jest zagrożona". Na moście przypomniałam sobie mój okrzyk „Jak cudownie jest żyć". Oczywiście wtedy, kiedy ma się okazję żyć, pomyślałam. Jestem zagrożona.

Doświadczają tego codziennie miliony ludzi na świecie, więc dlaczego nie ja? W ciągu paru minut spada się w czarną czeluść. Nawet

jeśli okaże się, że nie jest tak źle, to już nigdy nie będzie tak samo.

OD ZAWSZE karetka pogotowia wywoływała u mnie panikę i szybko przypominałam sobie, gdzie są najbliżsi. Ależ inaczej jest teraz, wycie karetki nie robi na mnie już najmniejszego wrażenia. Dziwne, ale jak będzie jechała po mnie, to chyba też przyjmę ją bez emocji.

Cieszę się, że przez te wiele lat tyle przeżyłam. Chwil radosnych, ciekawych, ale i okrutnych. No i wspaniałych. Po roku życia z wiadomością o zagrożeniu – wiadomo, o co chodzi – siedzę na twardej ławce w oczekiwaniu na badanie kontrolne. Patrzę na drzwi, za którymi będzie się decydowało o moim przyszłym życiu. Co parę minut wychodzi pacjent lub pacjentka i z daleka widać, jaką ma diagnozę. Albo smutek i ociężałość w całym ciele i beznadziejność w ruchach, albo – i to jest wspaniałe – niebywała radość, która działa na oczekujących, jeszcze niepewnych swojej przyszłości. Po paru godzinach oczekiwania wchodzę do gabinetu i mówię do lekarza to, co zaobserwowałam. „Wyjdę uśmiechnięta czy nie?" – pytam. „Uśmiechnięta" – słyszę odpowiedź. Jak dobrze jest żyć.

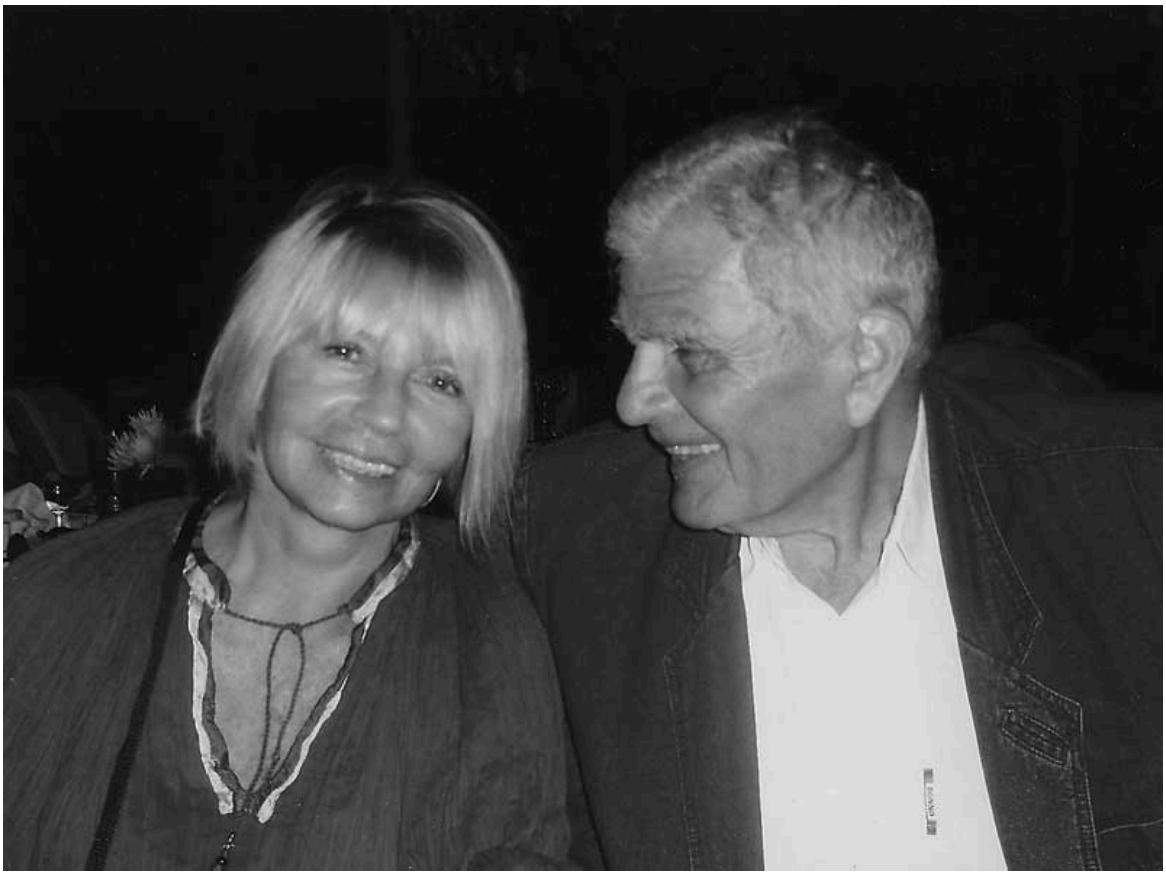

My szczęśliwi, uśmiechnięci w Chałupach, początek lat dwutysięcznych.

MAJ, 2014 ROK. Mam sen. Pędzimy z Kubą na jakiś koncert, jesteśmy spóźnieni. Wbiegamy do holu, przed nami duże drzwi do sali koncertowej. Kuba wpada za nie, drzwi zamykają się za nim gwałtownie, a ja zostaję sama na korytarzu. Pomyślałam: Nieładnie, nie wziął mnie ze sobą.

Trzy dni później jadę do Inowrocławia. Piękny pejzaż, cisza, spokój, jadę całkiem wolno gminną drogą. Raptem słyszę przerażający huk. Tir wbił się w mój samochód. Jeszcze kilka centymetrów i byłaby ze mnie miazga. Niezbyt przytomnie rozejrzałam się wokół, co się stało? Kierowca tira wrzeszczał na mnie, że za wolno jechałam, chciał mnie wyprzedzić, przeze mnie ma teraz krzywe lusterko i co powie na to szef.

Wtedy zrozumiałam intencje Kuby. On mnie nie zabrał na ten koncert we śnie, bo miałam jeszcze żyć, z czego się bardzo cieszę.

Ale to nie jest koniec tej historii. Trzy miesiące później, w sierpniu 2014 roku, jadę autostradą do Chałup. Zgłodniałam. Zaparkowałam na poboczu w niewłaściwym miejscu. Po paru minutach w tylnym lusterku widzę pędzący samochód z pulsującymi światłami. Jedzie prosto na mnie. Pierwszy odruch – zwiewam. A tu już lecą mężczyźni w pomarańczowych strojach służb drogowych, machają do mnie i krzyczą: „Pani Krystyno, to my panią wyciągaliśmy z tego rozbitego samochodu. Czy znów jedzie pani do Inowrocławia?". Okazuje się, że przypadkowo stanęłam blisko miejsca mojego wypadku. Czy to są sceny w ogóle realne? Jak oni mogli mnie pamiętać trzy miesiące później? Jak to możliwe, że z takiego wypadku wyszłam bez najmniejszego uszczerbku, a chodziło tylko o te kilka centymetrów? Czy rzeczywiście ukochana osoba może się nami opiekować, obojętnie w jakiej jest przestrzeni? Odczuwam to bardzo realnie i poddaję się tej opiece.

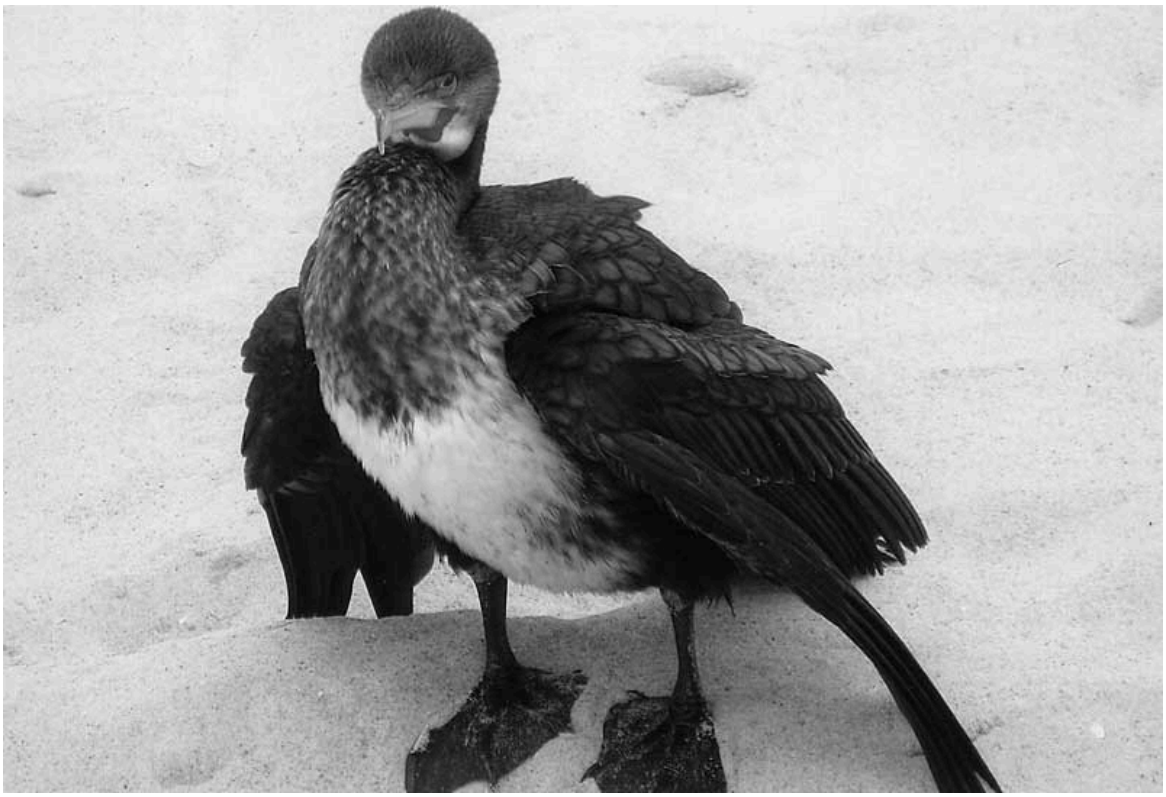

Może to był Kuba?

JURATA 2012 ROK. Pusta plaża. Piękna. Z daleka widzę małą czarną kulkę. Zbliżam się do niej, ale nie potrafię rozpoznać kształtu. Czy to kaczka, czy mewa? Nie wiem, ale bardzo sympatyczna. Zaczęła iść za mną, no to idziemy razem. Mówię do niej, a ona tylko człapie. Pomyślałam, że może kaleka. Nagle stanęła i zasnęła. Usiadłam obok niej na piasku. Jak już sobie pospała, a ja się napatrzyłam na morze, wracamy wspólnie do hotelu. Mówię do niej: „Muszę już iść. Do widzenia, do jutra". Popatrzyła mi w oczy i odfrunęła w pięknym stylu. Całkiem zdrowa. Bardzo się ucieszyłam. A może to był on?

Zawsze ostatniego dnia pobytu w Chałupach szliśmy z Kubą na spacer wzdłuż plaży. W drodze powrotnej patrzyłam na wodę i myślałam: Chciałabym wrócić tu za rok. Za każdym razem w tym samym miejscu. Podczas naszych ostatnich wspólnych wakacji w Chałupach w 2010 roku Kuba schodził ostatniego dnia z plaży i zatrzymał się dokładnie w tym samym miejscu, w którym ja się zwykle zatrzymywałam. Zrobiłam mu wtedy zdjęcie. Jego ostatnie zdjęcie w Chałupach. Jego ostatnie zejście z plaży.

Idę Krakowskim Przedmieściem, uświadamiam sobie, że niestety już nie mam powodu się spieszyć, a całe życie strasznie się spieszyłam, bo Kuba czekał i okropnie na mnie krzyczał, że znowu przyszłam za późno.
O którejkolwiek godzinie bym wracała z miasta, zawsze było za późno… Tak mi już zostało – pędzę do domu[*].

[*]Dom na Żoliborzu, w którym przeżyliśmy z Kubą tyle lat, w którym zamknięta jest część historii naszego wspólnego życia i część historii polskiego filmu, postanowiłam przekazać Muzeum Kinematografii w Łodzi – dom w przyszłości będzie jego filią.

Kalendarium artystyczne

JANUSZ KUBA MORGENSTERN

1950	*Wczasy akademickie* / etiuda szkolna / reż. Jerzy Kaden / **współpraca reżyserska**
1954	*Opowieść atlantycka* / film fabularny / reż. Wanda Jakubowska / **asystent reżysera** *Rzodkiewki* / etiuda szkolna / **scenariusz i reżyseria**
1956	*Kanał* – film fabularny / reż. Andrzej Wajda / **współpraca reżyserska**
1957	*Prawdziwy koniec wielkiej wojny* / film fabularny / reż. Jerzy Kawalerowicz / **współpraca reżyserska**
1958	*Popiół i diament* / film fabularny / reż. Andrzej Wajda / **II reżyser**
1959	*Lotna* – film fabularny / reż. Andrzej Wajda / **II reżyser**
1960	*Do widzenia, do jutra* / film fabularny / **reżyseria** *Przygoda w terenie* / film krótkometrażowy / **reżyseria**
1961	*Morderca składa wizytę* Jan Kos / Teatr TV / **reżyseria** *Ambulans* / film krótkometrażowy / **reżyseria**

1962	*Jutro premiera* / film fabularny / **scenariusz i reżyseria**
	Diagnoza Maciej Słomczyński / Teatr TV / **reżyseria**
	Znowu „łut szczęścia" Lech Pijanowski i Janusz Jaxa / Teatr TV / **reżyseria**
	Od szóstej do szóstej Philip McDonald / Teatr TV / **reżyseria**
1963	*Murowane alibi* Colin Robertson / Teatr TV / **reżyseria**
	Cała prawda Philip Mackie / Teatr TV / **reżyseria**
	Śmierć jest twoim przeznaczeniem A. Atkinson / Teatr TV / **reżyseria**
	Tadeusz Kulisiewicz / film dokumentalny / **realizacja**
	Dwa żebra Adama / film fabularny / **reżyseria**
1964	*Życie raz jeszcze* / film fabularny / **reżyseria**
	Arszenik i stare koronki Joseph Kesserling / Teatr TV / **reżyseria**
	Leon Kruczkowski / film dokumentalny / **współrealizacja** z Grzegorzem Dubowskim
1965	*Wróg jest wszędzie* / spektakl Teatru TV / odcinek 1 / seria 1 / *Stawka większa niż życie* / **reżyseria**
	Potem nastąpi cisza / film fabularny / **scenariusz i reżyseria**
1967	*Jowita* / film fabularny / **reżyseria**
1967–1968	*Stawka większa niż życie* / serial telewizyjny / **reżyseria** odcinków:
	Wiem, kim jesteś (1)
	Ściśle tajne (3)
	Żelazny krzyż (6)
	Podwójny nelson (7)
	Wielka wsypa (8)

Genialny plan pułkownika Krafta (9)

W imieniu Rzeczypospolitej (10)

Bez instrukcji (13)

Akcja – „Liść dębu" (16)

1968

Czy państwo gracie / etiuda szkolna / reż. Juan Manuel Torres-Sáenz / **opieka pedagogiczna**

Spowiedź / etiuda szkolna / reż. Janusz Zaorski / **opieka pedagogiczna**

Śniadanie na trawie / etiuda szkolna / reż. Jerzy Sztwiertnia / **opieka pedagogiczna**

Te inne miejsca / etiuda szkolna / reż. Andrzej Titkow / **opieka pedagogiczna**

1970

Kolumbowie / serial telewizyjny / **reżyseria**

1971

Dalej i dalej / etiuda szkolna / reż. Piotr Andrejew / **opieka pedagogiczna**

Miłość / etiuda szkolna / reż. Ryszard Bugajski / **opieka pedagogiczna**

Styl dowolny / etiuda szkolna / reż. Janusz Dymek / **opieka pedagogiczna**

W tym / etiuda szkolna / reż. Andrzej Bednarek / **opieka pedagogiczna**

Zdarzenie / etiuda szkolna / reż. Feliks Falk / **opieka pedagogiczna**

Trąd / film fabularny / reż. Andrzej Trzos-Rastawiecki / **opieka artystyczna**

1972

Listopad / etiuda szkolna / reż. Piotr Andrejew / **opieka pedagogiczna**

Dama pikowa / film fabularny z cyklu Klasyka światowa / **scenariusz i reżyseria**

Trzeba zabić tę miłość / film fabularny / **reżyseria**

1973	*Dzień kobiet* / etiuda szkolna / reż. Tadeusz Walendowski / **opieka pedagogiczna**
	Zasada… / etiuda szkolna / reż. Jerzy Domaradzki / **opieka pedagogiczna**
1974	*Co z tego* / etiuda szkolna / reż. Mariko Koyama / **opieka pedagogiczna**
	Godziny wieczorne / etiuda szkolna / reż. Helena Włodarczyk / **opieka pedagogiczna**
	I tak dalej… / etiuda szkolna / reż. Stanisław Suchoń / **opieka pedagogiczna**
	Wielkanoc / etiuda szkolna / reż. Ewa Kot / **opieka pedagogiczna**
	S.O.S. / serial telewizyjny / **reżyseria**
1976–1977	*Polskie drogi* / serial telewizyjny / **reżyseria**
1979	*Mysz* / film fabularny / reż. Wiktor Skrzynecki / **opieka artystyczna**
	Godzina „W” / film fabularny TV / **reżyseria**
1980	*Mniejsze niebo* / film fabularny / **scenariusz i reżyseria**
1981	*Gdy miasto śpi…* Aleksander Czchaidze / Teatr TV / **reżyseria**
1982	*Zoo* / etiuda szkolna / reż. Małgorzata Potocka / **opieka pedagogiczna**
1985	*Mosty nieznane* / etiuda szkolna / reż. Mikołaj Haremski / **opieka pedagogiczna**
	Święto / etiuda szkolna / reż. Robert Tutak / **opieka pedagogiczna**
1986	*Biały smok* / film fabularny Polska–USA / **współreżyseria** z Jerzym Domaradzkim

1988 *Kornblumenblau* / film fabularny / reż. Leszek Wosiewicz / **opieka artystyczna**

1990 *Korczak* / film fabularny Polska–Niemcy / reż. Andrzej Wajda / **producent**

Femina / film fabularny / reż. Piotr Szulkin / **producent**

Europa, Europa / film fabularny Francja–Niemcy / reż. Agnieszka Holland / **producent wykonawczy**

1991 *Tak, tak* / film fabularny Polska–Francja / reż. Jacek Gąsiorowski / **nadzór produkcyjny**

1993 *Skok* / nowela z filmu fabularnego Polska–Węgry

Do widzenia wczoraj. Dwie krótkie komedie o zmianie systemu / reż. Janusz Majewski / **producent**

Kolos / film fabularny Polska–Norwegia / reż. Witold Leszczyński / **producent**

1994 *Pokój Anny* / etiuda szkolna / reż. Ewa Gaulis / **opieka pedagogiczna**

1995 *Madame Modjeska* Richard Hellesen / Teatr TV / **reżyseria**

Złote dno / film fabularny Polska–Rosja / reż. Marek Nowicki / **producent**

1996 *Panna Nikt* / film fabularny / reż. Andrzej Wajda / **producent**

1997 *Ciemna strona Wenus* / film fabularny / reż. Radosław Piwowarski / **producent**

1998 *Cztery pory roku* Israel Horovitz / Teatr TV / **reżyseria**

Równy podział Ronald Harwood / Teatr TV / **reżyseria**

Złoto dezerterów / film fabularny / reż. Janusz Majewski / **producent**

Żona przychodzi nocą / film fabularny Polska–Rosja / reż. Aleksander Czernych / **kierownictwo artystyczne**

1999 *Herbatka u Stalina* Ronald Harwood / Teatr TV / **reżyseria**

Palce lizać / serial telewizyjny / reż. Radosław Piwowarski i Michał Kwieciński / **producent wykonawczy**

2000 *Chłopaki nie płaczą* / film fabularny / reż. Olaf Lubaszenko / **producent**

Noc Świętego Mikołaja / film fabularny z cyklu Święta polskie / reż. Janusz Kondratiuk / **producent wykonawczy**

Żółty szalik / film fabularny z cyklu Święta polskie / **reżyser i producent wykonawczy**

2000–2001 *Przeprowadzki* / serial telewizyjny / reż. Leszek Wosiewicz / **opieka artystyczna**

2001 *Poranek kojota* / film fabularny / reż. Olaf Lubaszenko / **producent**

Requiem / film fabularny / reż. Witold Leszczyński / **koproducent**

Trąd w pałacu sprawiedliwości Ugo Betti / Teatr TV / **reżyseria**

2002 *Zemsta* / film fabularny / reż. Andrzej Wajda / **producent**

Wszyscy święci / film fabularny z cyklu Święta polskie / reż. Andrzej Barański **/ producent wykonawczy**

2003 *Królowa chmur* / film fabularny z cyklu Święta polskie / reż. Radosław Piwowarski / **producent wykonawczy**

Biała sukienka / film fabularny z cyklu Święta polskie / reż. Michał Kwieciński / **producent wykonawczy**

Żurek / film fabularny / reż. Ryszard Brylski / **konsultacja artystyczna**

2004	*Długi weekend* / film fabularny z cyklu Święta polskie / reż. Robert Gliński / **producent wykonawczy**
	Piekło niebo / film fabularny z cyklu Święta polskie / reż. Natalia Koryncka-Gruz / **producent wykonawczy**
2005	*Komornik* / film fabularny / reż. Feliks Falk / **producent**
	Barbórka / film fabularny z cyklu Święta polskie / reż. Maciej Pieprzyca / **producent wykonawczy**
	Przybyli ułani / film fabularny z cyklu Święta polskie / reż. Sylwester Chęciński / **producent wykonawczy**
2006	*Czeka na nas świat* / film fabularny / reż. Robert Krzempek / **koproducent**
	Miłość w przejściu podziemnym / film fabularny z cyklu Święta polskie / reż. Janusz Majewski / **producent wykonawczy**
2008	*Stary człowiek i pies* / film fabularny / reż. Witold Leszczyński i Andrzej Kostenko / **producent**
2009	*Mniejsze zło* / film fabularny / **scenariusz, reżyseria, producent**
2011	*Róża* / film fabularny / reż. Wojciech Smarzowski / **koproducent**
	Uwikłanie / film fabularny / reż. Jacek Bromski / **rola profesora Andrzeja Zielenieckiego**
2012	*Big Love* / film fabularny / reż. Barbara Białowąs / **opieka artystyczna**
	Ixjana / film fabularny / reż. Józef Skolimowski i Michał Skolimowski / **koproducent**
2012–2013	*Taniec śmierci. Sceny z Powstania Warszawskiego* / film fabularny / reż. Leszek Wosiewicz / **koproducent**

2013 *Tajemnica Westerplatte* / film fabularny / reż. Paweł Chochlew / **opieka artystyczna**

NAGRODY I ODZNACZENIA

1991 Nagroda Przewodniczącego Komitetu Kinematografii dla producentów filmowych

1997 Krzyż Komandorski z Gwiazdą Orderu Odrodzenia Polski

2001 Przyjęcie w poczet członków Europejskiej Akademii Filmowej

2002 Statuetka „Gwiazda Telewizji Polskiej" z okazji 50-lecia TVP

2005 Złoty Medal „Zasłużony Kulturze Gloria Artis"

2008 Polska Nagroda Filmowa „Orzeł", kategoria: Osiągnięcie życia

2010 Specjalna Nagroda Honorowa na Nowojorskim Festiwalu Filmów Polskich

„Platynowe Lwy" za całokształt twórczości na 35. Festiwalu Polskich Filmów Fabularnych w Gdyni

Nagroda Honorowa „Jańcia Wodnika" na Ogólnopolskim Festiwalu Sztuki Filmowej „Prowincjonalia" we Wrześni

2011 W Alei Gwiazd Łódzkiej Drogi Sławy (ul. Piotrkowska) odsłonięcie gwiazdy poświęconej Morgensternowi (7 kwietnia)

Nagroda „Kryształowy Dzik" na IV Festiwalu Reżyserii Filmowej w Świdnicy

WYSTAWY TKANINY ARTYSTYCZNEJ

1962	*Tkanina artystyczna* / Warszawa, Zachęta
1963	*Wystawa rzeźb i tkanin Okręgu Warszawskiego* / Warszawa, Zachęta
	Wystawa sztuki użytkowej / Warszawa, Zachęta
1964	*Wystawa ogólnopolska tkaniny, ceramiki i szkła* / Warszawa, Zachęta
1965	*Les tissus polonais artistiques contemporains* / Lozanna
	Wystawa własna / Londyn, Cassel Gallery
1966	*Gobelin i kobierzec polski* / Sopot, BWA
1967	*La tapisserie polonaise* / Namur, Bruksela, Charleroi
1969	*Wystawa Tkanin Pracowni Doświadczalnej* / Warszawa, Dom Plastyka
	La tapisserie polonaise contemporaine / Tunis
	Il Moderno Tessuto Artistico Polacco / Florencja
	Polska tkanina awangardowa / Poznań, BWA, Arsenał
1970	*III Festiwal Sztuk Pięknych* / Warszawa, Zachęta
1972	*Polish tapestry* / Kopenhaga
	Contemporary Polish Weavers / Londyn, Edynburg, Manchester
1975	*25 Lat Pracowni Doświadczalnej Tkactwa Artystycznego* / Warszawa, Zachęta

1982 *Wystawa Pracowni Doświadczalnej Tkactwa* / Warszawa, Dom Plastyka

2005 *Wystawa zbiorowa* / Centralne Muzeum Włókiennictwa Łódź

NAGRODY

1970 Medal Brązowy na III Festiwalu Sztuk Pięknych w Warszawie

CENTRALNE MUZEUM WŁÓKIENNICTWA W ŁODZI

zakupiło cztery tkaniny

TKANINY W ZBIORACH PRYWATNYCH:

Paryż – dwie, Marsylia – sześć, RFN – trzy, Nowy Jork – cztery, Nowy Meksyk – jedna, Los Angeles – cztery, Johannesburg – jedna, Londyn – jedna

W książce Spirosa Zakasa i Margaret Miner *Lifespace* (Macmillan, New York 1977) umieszczone zdjęcia dwóch tkanin.

Wzmianki i recenzje z wystaw tkanin umieszczone w codziennych i specjalistycznych gazetach warszawskich.

Gobeliny Krystyny Cierniak-Morgenstern

Baran, mój znak Zodiaku

Drzewko mądrości

Wiosna

Anioł XXI wieku

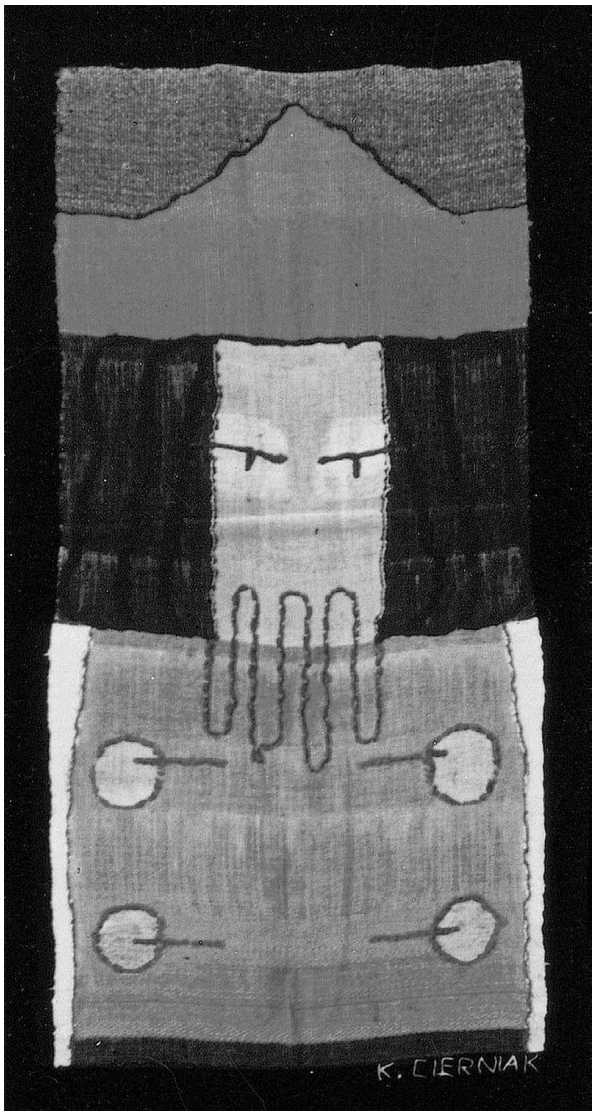

Król

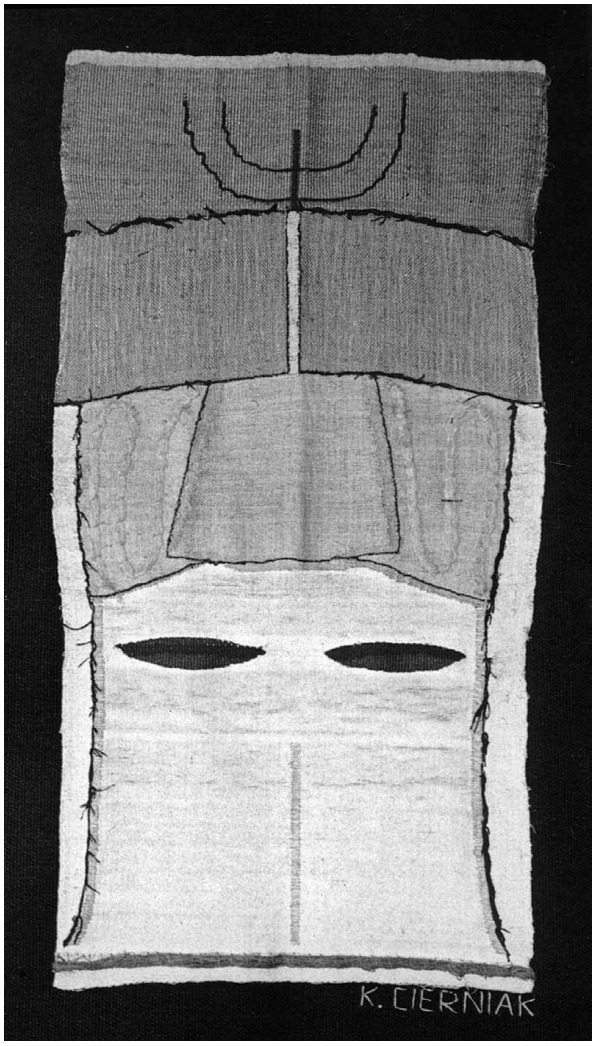

Królowa

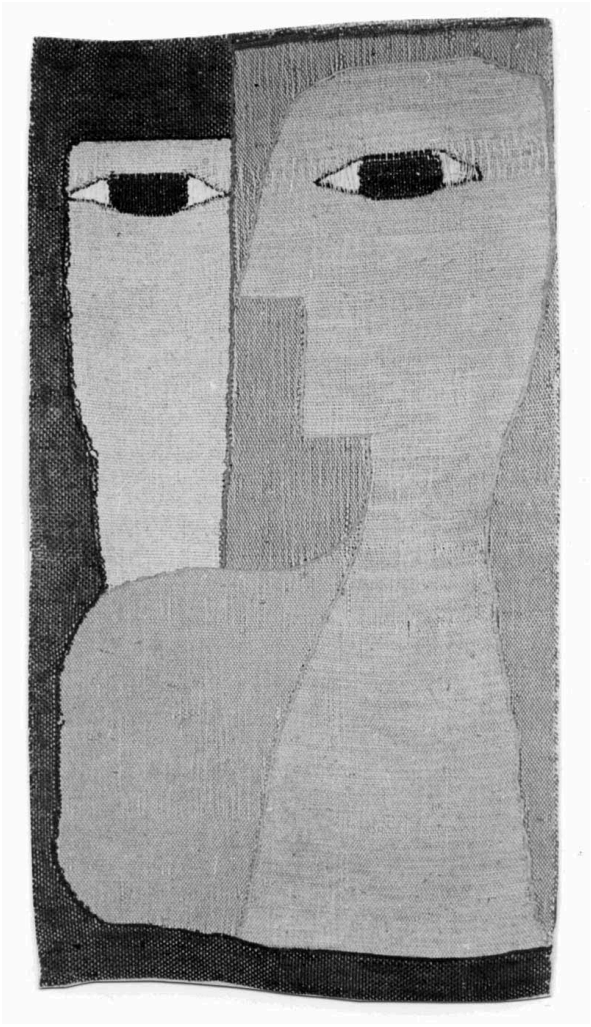

On i Ona

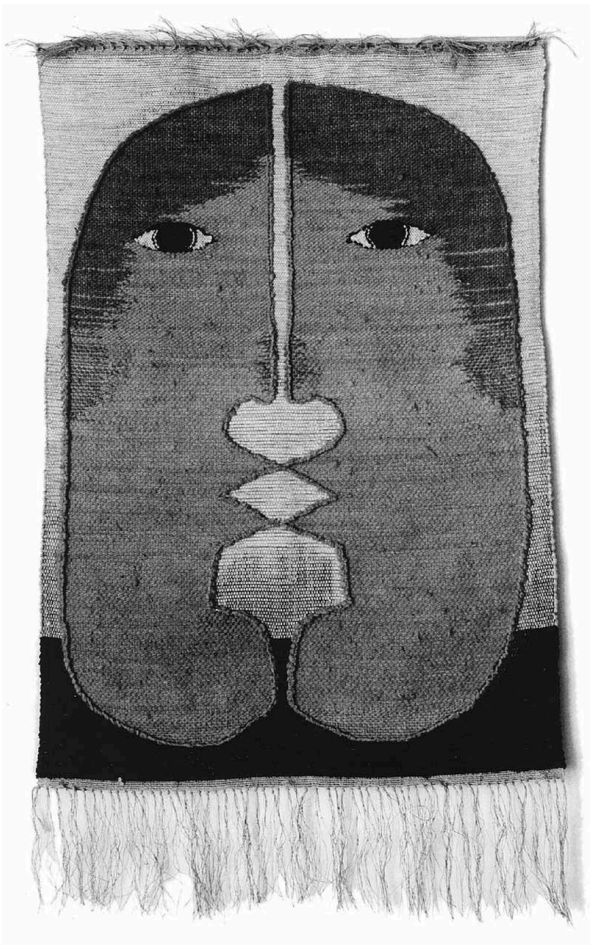

Pocałunek

Źródła wypowiedzi Janusza Kuby Morgensterna

s. 20–23, 33:

Do wyboru miał Sybir lub wojsko, wybrał wojsko. „Kiedyś to wszystko opiszę”, rozmowa z Januszem Morgensternem, „Newsweek”, 12.09.2011.

s. 113–115, 119–120, 142–149, 167, 174–176, 260:

Anna Fuksiewicz: *Portrety X Muzy. Janusz Morgenstern*. Program II Polskiego Radia.

Anna Fuksiewicz: *Sezon na Dwójkę. Postać i filmy Janusza Morgensterna.* Program II Polskiego Radia.

Podziękowania

Wydawnictwo Literackie dziękuje Programowi II Polskiego Radia za udostępnienie nagrań audycji z udziałem Janusza Morgensterna. Dzięki temu jego słowa stały się ważną częścią wspomnieniowej opowieści, a książka wyjątkowym dwugłosem niezwykłego małżeństwa Krystyny i Janusza Morgensternów.

Krystyna Cierniak-Morgenstern. *Portret I*

Informacje o zdjęciach i dokumentach

archiwum Krystyny i Janusza Morgensternów: s. 6, 11, 12, 13, 14, 15, 18, 22, 24, 25, 26, 29, 30–31, 39, 40–41, 42, 43, 44, 45, 46, 48, 50, 51, 52, 54, 56, 58, 59, 60, 62, 73, 74, 75, 78, 79, 84, 91, 93, 110–111, 117, 118, 123, 124, 126, 128, 129, 137, 141, 151, 152, 154, 162, 177, 179, 181, 183, 188–189, 191, 192, 194, 195, 199, 206, 208, 211, 220–221, 227, 229, 231, 235, 236–237, 238, 239, 244, 247, 248, 250, 252, 255, 258–259, 262, 265, 266, 268–269, 282–285

fot. Zofia Nasierowska: s. 7, 101, 127, 184

fot. Łopatyńska: s. 16

Inspekcja Pana Anatola, reż. Jan Rybkowski, 1959, fot. Mikołaj Sprudin, licencja Studio Filmowe Kadr; s. 83

fot. K. Komorowski: s. 100

Studio Filmowe Zebra, fot. Renata Pajchel: s. 131

fot. Tadeusz Kubiak: s. 161

fot. Jerzy Matuszkiewicz: s. 164

Filmoteka Narodowa, fot. Jerzy Troszczyński: s. 168

rys. Szymon Kobyliński: s. 172

rys. Jan Zahorski: s. 172

fot. Renata Pajchel: s. 173

Na planie *Deszczowego lipca*, reż. Leonard Buczkowski, 1957, fot. Tadeusz Wieżan, © Studio Filmowe Kadr: s. 204

Gobeliny Krystyny Cierniak-Morgenstern: *Wiosna* (1964 r.) s. 282, *Drzewko mądrości* (1970 r.) s. 283, *Portret I* (1965 r.) s. 296 ze zbiorów Centralnego Muzeum Włókiennictwa w Łodzi.

Autorka dziękuje wszystkim, którzy przez lata wzbogacali prywatne archiwum fotograficzne jej i Kuby Morgensterna, dzięki czemu mogła ilustracyjnie wzbogacić książkę. Dziękuje tym, których pamięta, oraz tym, do których po latach nie potrafiła dotrzeć.